Nr. 5—6 MAJ — CZERWIEC 1936 ROK XI



ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ", ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW, KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW I WILEŃSKIEGO TOW. WALKI Z ALKOHOLIZMEM I INNYMI NAŁOGAMI „MENS"
pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Str.

Cena 1 zł.

Prenumerata z przesyłką: roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalna 1.50.
Ogłoszenia: 1 str. 100 zł., ½ str. 60 zł., 1/4 str. 35 zł., 1/8 str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł.
Konto pocztowe P. K. O. Nr. 270.
REDAKCJA: Warszawa, ul. Fałata 4 m. 1, tel. 843-04, godz. 18—19.
ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Oboźna 4 m. 28, telef. 511-07.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

Edward Cros.—Epilog Wyzwolenia. Warszawa 1936. Gebethner i Wolff. Str. 30.

Dr. Franciszek Małkiewicz. — Wiejski Ośrodek Zdrowia. Referat wygłoszony na posiedzeniu Sekcji Higjeny Wsi w dniu 6 listopada 1935 r. Odbitka ze „Spraw Lekarskich" z Nr. 4—5. Str. 12.

Stanisław Czerwiński.—Sterylizacja i przerywanie ciąży w świetle walki z przestępczością. Warszawa 1936. Str. 12.

Prof. Dr. Aleksander Safarewicz. — Uwagi do projektu Ustawy Eugenicznej. Odbitka z Pamiętnika Wileńskiego Tow. Lekarskiego. Rok XI. Zeszyt 6. Wilno 1936. Str. 9.

Dr. Stanisław Sielicki.—Działalność Poradni Przeciwgruźliczych w Polsce w roku 1934. Dodatek: najważniejsze dane statystyczne, dotyczące zdrowotności publicznej. Warszawa 1936. Str. 96.

Harcmistrz Wiktor Szyryński. — Wycieczki Harcerskie. Z cyklu „Wyścig pracy". Na zlecenie Głównej Kwatery Harcerzy. Warszawa 1936. Str. 130.

Im Zeichen Ottilie Hoffmanns. — Jahresbericht der Ortsgruppe. Bremen e. B. des Deutschen Frauenbundes für alkoholfreie Kultur. vom März 1935 bis dahin 1936. Str. 14.

Ruys de Beerenbrouck †. — Berlin. Hoheneck — Verlag. Str. 8.

Sprawozdanie z działalności Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism. — W okresie między VI-te ma VII-em ogólnem zebraniem Członków Związku. (26 czerwca 1935—26 maja 1936). Warszawa 1936. Str. 28.

Dr. Ed. Claparède. —Poradnictwo zawodowe, zadania i metody. Tłómaczyła Marja Sokalowa. Wydanie drugie. Warszawa 1936/37. Wydawnictwo „Ligi Pracy". Str. 116.

Piotr Drzewiecki. — O wychowanie gospodarcze. Wydanie drugie. Wydawnictwo „Ligi Pracy". Warszawa 1936/37. Str. 16.

Andrzej Bieniek. — Wstąpię do szkoły handlowej. Wydanie siódme. Wydawnictwo „Ligi Pracy". Warszawa 1936/37. Str. 32.

Regulamin Obrad Kolegjum Zarządu Miejskiego (Magistratu). Nakładem Związku Miast Polskich. Warszawa 1936. Str. 16.

T R Z E Ź W O Ś Ć

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I INNEMI NARKOMANJAMI,
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ",
ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,
KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW
i WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM
i INNYMI NAŁOGAMI „MENS".

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 5—6 MAJ — CZERWIEC 1936 Rok XI

PAN PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ O ZNACZENIU TRZEŹWOŚCI.

TRZEŹWOŚĆ JEST PODSTAWOWYM ELEMENTEM ZARÓWNO W PRACY ZAWODOWEJ, ZWŁASZCZA W PRACY KOLEJARZY, KTÓRZY DŹWIGAJĄ CZĘSTO WIELKĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA POWIERZONE IM ŻYCIE LUDZKIE, JAK RÓWNIEŻ W ŻYCIU SPOŁECZNEM.

I. M O Ś C I C K I.

Aforyzm powyższy wpisał Pan Prezydent do Księgi Pamiątkowej Abstynenckiej Ligi Kolejowców.

JUBILEUSZ X-LECIA URZĘDOWANIA PANA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ.

Dnia 3.VI b. r. Stolica i Kraj cały obchodził uroczyście Jubileusz X-lecia sprawowania urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej przez Profesora IGNACEGO MOŚCICKIEGO.

Towarzystwo Trzeźwość wzięło udział w tych uroczystościach. — Liczna delegacja członków naszego Towarzystwa — około 80 osób — z orkiestrą Mokotowskiego Koła Trzeźwości na czele uczestniczyła w hołdzie złożonym Panu Prezydentowi na dziedzińcu zamkowym wieczorem

dn. 3 czerwca przez organizacje społeczne Stolicy — delegacja nasza złożyła adres następującej treści:

Najdostojniejszemu
Prezydentowi Rzeczypospolitej
Panu Profesorowi
IGNACEMU MOŚCICKIEMU
w dniu Jego jubileuszu
składają hołd czci i przywiązania
wraz z życzeniami najserdeczniejszemi
Zarząd Główny, członkowie i sympatycy
Polskiego Towarzystwa
walki z alkoholizmem „Trzeźwość"

Warszawa, dnia 3.VI. 1936 r.

(Około 150 podpisów.)

Adres na czerpanym papierze wykonał artystycznie p. Stefan Bernaciński.

O RÓŻNORODNOŚĆ WALKI Z ALKOHOLIZMEM.

(Przemówienie, wygłoszone na Akademji Trzeźwości w Warszawie dn. 9.II. 1936 r.).

Szanowni Słuchacze! Rok rocznie obchodzimy nasze święto. Rok rocznie zbieramy się w tej oto sali i rok rocznie opuszczamy to zebranie z uczuciem radości, że coraz jest nas więcej, że coraz to nowe i młodsze twarze widzimy na naszych zgromadzeniach.

W imieniu tych właśnie młodych adeptów chcę poruszyć pewne zagadnienie, dotyczące metodyki naszej walki z alkoholizmem. Już w zeszłym roku jeden z naszych przyjaciół Prof. Orzęcki powiedział, że my bezwzględnie mamy słuszność, ale obok słuszności nosimy w sobie jakiś smętek. Natomiast nasi przeciwnicy nie mają słuszności, a jednak noszą w sobie zarodek wesołości.

Przeciętny obywatel, żyjący w czasach ciężkich, ucieka od smętku, chociażby ten smętek był związany ze zdrowiem i poszukuje wesołości, nie bacząc na to, że ta wesołość może pochodzić ze źródła zatrutego.

Ja w mem przemówieniu zwrócę uwagę na drugi brak, cechujący naszą metodykę, na jednostajność metod naszej walki z alkoholizmem.

W tej chwili staje mi przed oczyma, jeżeli nie prawdziwa, to dobrze ułożona przypowieść o cesarzu Austrji, Franciszku Józefie II. Znamy wszyscy sylwetkę tego monarchy z portretów ostatnich dziesiątków lat jego życia. Znamy wszyscy tego dostojnego starca o wielkich siwych bokobrodach.

Franciszek, Jego Apostolska Cesarsko Królewska Mość nie zawsze był stary. Wstąpił na tron, jako 18-letni młodzieniec. Jako takowy za-

chowywał się oczywiście czasem w sposób nieodpowiedni do wysokiego stanowiska, które piastował w hierarchji swego państwa. Pewne sfery dworskie uradziły wobec powyższego, by zwrócić uwagę monarchy na pewne jego niewłaściwości. Tej delikatnej misji podjął się nikt inny, tylko Jego Eminencja kardynał Wiednia. Monarcha wysłuchał w skupieniu udzielonych sobie rad i w uprzejmych słowach podziękował za nie wysokiemu dostojnikowi Kościoła.

Wieczorem kardynała opanowały pewne refleksje; począł się zastanawiać, czy jego wystąpienie było na miejscu i czy nie pociągnie za sobą pewnych niepożądanych konsekwencyj. Jakież było zdziwienie kardynała, gdy raptem doręczono mu miły liścik od cesarza wraz z wielkim homarem ładnie przybranym, pływającym w sosie majonezowym.

Kardynał, jak każdy człowiek, miał jedną słabość, lubił namiętnie homara w majonezie. Tym razem spożył go jeszcze z większym apetytem, jako dowód przyjaźni monarchy.

Drugiego dnia wieczorem znów posłaniec cesarza przyniósł homara. To samo nastąpiło dnia trzeciego, czwartego i t. d. przez cały tydzień. Kardynał tłomaczył to spoczątku nieporozumieniem i niezrozumieniem rozkazu cesarza przez sfery dworskie. Homarów odrzucić nie mógł i spożywał je, ale już z mniejszym smakiem.

Następnej niedzieli Franciszek Józef II, zwrócił się do kardynała z uprzejmem zapytaniem: „Wasza Eminencjo, jakże smakują Jego Eminencji homary"? — „Nadzwyczajnie, Wasza Apostolska Wysokość, tylko trochę za często jestem przedmiotem pamięci Jego Cesarskiej Mości".

„Tak", rzekł młody monarcha, uśmiechając się pod wąsem, „jednostajność nuży" i ukłoniwszy się głęboko kardynałowi, odszedł.

Kończę moje krótkie przemówienie życzeniem, byśmy też nie wpadali w jednostajność i starali się urozmaicać metody zwalczania nieprzyjaciela.

Prof. Dr. Mieczysław Michałowicz.

PRZESTĘPCZOŚĆ NIELETNICH.

(Referat, wygłoszony dn. 30.IV. 1936 r. w Tow. „Trzeźwość" w Warszawie).

Zagadnienie przestępczości nieletnich co raz bardziej w dobie obecnej interesuje nie tylko kryminologów, prawników i lekarzy, lecz i społeczeństwo, albowiem w tej przestępczości tkwi główne i pierwotne źródło przestępczości ogólnej. Słusznie twierdzi prof. Jules Jolly w swej pracy „Criminalité de l'enfance", że dla skutecznej walki z tą straszną klęską społeczną niezbędnem jest, jak zawsze i wszędzie, przedewszystkiem wyświetlić i ustalić przyczyny tego wysoce smutnego zjawiska naszego życia społecznego.

Przestępczość w wieku od lat 16—21 według danych statystycznych wszystkich państw kulturalnych wzrasta niepomiernie. W r. 1881 liczba przestępców nieletnich stanowiła od 10 do 15% wszystkich sądzonych przez różne sądy pierwszej instancji; w r. 1901 — od 14 — 19%, w r. 1921 od 20 — 25%. Zauważono również powiększenie się w tym

okresie wieku samobójstw. W r. 1881 w Paryżu przeciętna liczba samobójstw stanowiła 19 rocznie, w r. 1901 — 48, w r. 1921 — 67,1.

Ustalony został też wśród nieletnich wzrost recydywistów, zajmujących się prostytucją i sutenerstwem [1]).

Przedstawiciele francuskiej kryminologji wskazują następujące przyczyny, powodujące powiększenie przestępczości wśród nieletnich:

a) Wyludnienie wsi i nadmierny rozwój dużych miast i centrów przemysłowych kosztem wsi. Wobec powyższego prof. Jolly uważa powrót do życia wiejskiego za jeden ze sposobów walki z przestępczością [2]). Wyludnienie wsi i rozwój miast jest wynikiem wielu i bardzo skomplikowanych i złożonych warunków spółczesnego życia społecznego, praktykowane zaś w niektórych państwach przesiedlenie wychowańców instytucyj opieki społecznej do obywateli wiejskich, nie przyczyniło się do znacznego rozwoju życia wiejskiego i zmniejszenia przestępczości.

b) Dezorganizacja życia rodzinnego wskutek śmierci jednego z rodziców, rozwodu, zaginienia, skazania sądowego i separacji.

Prawie połowa dzieci sądzonych za różne przestępstwa należy do rodzin zdezorganizowanych. Według twierdzenia głównego Inspektora zakładów poprawczo-wychowawczych w Paryżu M. Passez na 1200 dzieci, umieszczonych w tych zakładach, 900 należy do rodzin zdezorganizowanych [3]).

c) Ogólny upadek moralności, który, zdaniem Dr. A. Guillot'a, jest główną przyczyną dezorganizacji i nawet zupełnego rozpadnięcia rodziny. Dzieci takich rodzin zajmują się włóczęgostwem, prowadzą życie rozpustne i stanowią kontyngent, z którego rekrutują się przestępcy nieletni. Guillot na dowód powyższego przytacza wypadek z własnej adwokackiej praktyki, charakteryzujący stan moralny społeczeństwa spółczesnego. — Razu jednego bronił on 15-letniego chłopca, który był oskarżony o zadanie ciosu nożem swojej kochance-prostytutce. W sprawie tej przyszła do niego babka oskarżonego, kobieta z dobrego towarzystwa, która, opowiadając o swoim wnuku, powiedziała, że to bardzo dobry chłopak (bien gentil, petit garçon). Kiedy adwokat na to odparł, że ten bardzo dobry chłopiec, zajmuje się sutenerstwem, babka odpowiedziała: „Panie mecenasie, wszak to nie on jeden".

Celem skutecznej walki z tą klęską prof. Jolly uważa za niezbędne wybudowanie dostępnych dla pracowników fizycznych mieszkań wygodnych i higjenicznych, któreby się przyczyniły do rozwoju w rodzinach robotniczych zamiłowania do swego ogniska domowego [4]); podniesienie poziomu moralności wśród ludu, zapomocą wychowania, wykształcenia i przykładu z góry, oraz polepszenie jego dobrobytu materjalnego w takim stopniu, ażeby można było zadość uczynić wszelkim niezbędnym wymaganiom życiowym.

---

[1]) Guillot: „Les prisons de Paris".

[2]) Jolly: „Criminalité de l'enfance".

[3]) Albert Rivière, główny sekretarz „Societé général des prisons" twierdzi, że mieszkanie kątem (taudis) są głównemi dostawcami gości dla szynków, a szynk — to źródło chronicznego alkoholizmu.

[4]) M. Nourissori, powołując się na statystyczne dane, stwierdza, że poradnie prawnicze w Paryżu sporządzają rocznie od 7.000 do 10.000 próśb o rozwód.

d) Nieodpowiednie warunki powszechnego i zawodowego szkolnictwa.

Szkoły nasze, twierdzi, prof. Jolly, nauczają wielu przedmiotów zupełnie zbytecznych, lecz prawie całkiem nie troszczą się o wychowanie dziecka, nie kształcą jego charakteru i mało zaznajamiają go z tem, jak się należy zachowywać względem siebie samego i względem otoczenia.

Zawodowe nauczanie wśród tej warstwy społecznej, która przeważnie daje największą liczbę nieletnich przestępców coraz bardziej się zaniedbywa i prawie się zupełnie kasuje, a to z powodu rozwoju wielkiego przemysłu i jego zmechanizowania z jednej strony, z drugiej, — z powodu dążenia młodzieży do najrychlejszego otrzymania płatnej pracy i osiągnięcia tym sposobem niezależności materjalnej. Główna zaś przyczyna tkwi w egoizmie rodziców, którzy dążą ku temu, ażeby dzieci już najrychlej mogły otrzymać płatne zajęcia, celem wyzyskania ich zarobków i dla tego starają się ulokować dzieci na takie posady (jak naprz. subjekt handlowy, goniec, woźny, sprzedawca gazet i t. p.), które nie wymagają specjalnego wykształcenia, a przeto pozbawiają dzieci wiedzy zawodowej, tak niezbędnej w dobie obecnej.

c) Masowy alkoholizm. Zasadnicza przyczyna tego smutnego zjawiska społecznego tkwi, jak to słusznie twierdzą prof. Jolly, Forel, Stokis i wielu in., w niesprzyjających warunkach społecznego życia spółczesnego. Liche, niehigieniczne mieszkania, marne odżywiania, przepracowanie, ciągła denerwująca troska o jutro, wszystko to razem wzięte wywołuje ciężki, przygniatający nastrój duchowy, którego człowiek chce bądź co bądź choć czasowo się pozbyć i podnieść swój tonus duchowy. Alkohol w tych wypadkach jest środkiem dobrze wypróbowanym, działa szybko i skutecznie, gdyż powoduje natychmiastowe wzmożenie ciśnienia naczyniowego, co wywołuje przyjemne uczucie ciepła w całym organizmie, miłe samopoczucie i wesoły nastrój duchowy; jednak już przy lekkim stanie upicia się występuje osłabienie trafności i ścisłości wyobrażeń i uczuć; czynności hamujące działają coraz mniej sprawnie, zatraca się uczucie porządności, wstydu i t. p.

Nadużycie alkoholu osłabia i niszczy siłę woli i wywołuje nieprzezwyciężony pociąg i skłonność do dalszego nadużycia. Alkoholik staje się człowiekiem niedołężnym, zdziczałym, bezwolnym i toczy się na dół po pochyłej płaszczyźnie ku przepaści!

Według zdania prof. G. Bonjean'a i dr. Garnier'a, przestępczość nieletnich, wzniecająca tak poważne obawy, jest ściśle związana z alkoholizmem. Dziewięć dziesiątych przestępców nieletnich w wieku do 16 lat, według danych, przytoczonych przez dr. Garnier'a, pochodzą z rodziców alkoholików. Taki przestępca, prawie jeszcze dziecko, według badań, dokonanych przez prof. Bonjean'a, przeraża swoją nieobyczajnością, cynizmem, bezwstydnością i t. d. Jest to istota popędliwa, nieokiełznana, impulsywna i agresywna, przyczem agresywność ta jest skierowana wyłącznie do wyrządzania szkody.

Alkoholizm wstępnych jest głównym czynnikiem powstania tego rodzaju zdegenerowanych fizycznie i psychicznie osobników.

Nałogowy pijak cierpi na ogólny rozstrój wszystkich organów,

nic przeto dziwnego, że potomstwo alkoholików odziedzicza wszelkie ułomności fizyczne i moralne swoich rodziców.

Czy nie należałoby w tych warunkach przyjść do wniosku, że wychowanie dzieci nałogowych alkoholików jest beznadziejne?

Odpowiedź twierdząca byłaby dowodem nieznajomości psychologji dziecka. Już sama skłonność dziecka do naśladowania daje potężny środek w ręce wychowawcy, nawet względem osobników ciężko dziedziczne upośledzonych. Oczywiście zadanie wychowawcy nie jest łatwe. Wykonanie tego zadania wymaga wielu wysiłków moralnych, wymaga zastosowania specjalnej pedagogiki, t. zw. moralnej ortopedji, odrębnego programu, opracowanego przy udziale psychologów, pedagogów-socjologów i lekarzy.

„Dziecko, według trafnego określenia starożytnych Greków, jest ojcem dorosłego“.

Wrażenia i uczucia, doznane w wieku dziecinnym, niespostrzeżenie wywierają wpływ i na dorosłego i często podświadomie kierują jego czynami, wywołując w jego psychice dewiajację, podobną do tej, która zmusza strzałkę kompasu do uchylenia się od należytego kierunku.

W tajemniczej głębi duszy ludzkiej pozostają odziedziczone z lat dziecięcych sympatje i antypatje. W mglistej dali wspomnień przechowują się obrazy, które wywarły w czystej duszy dziecięcej uczucie przestrachu i wstrętu, słowa i spojrzenia, które boleśnie zraniły młodocianą duszę.

Jeżeli wspomnienia z lat dziecięcych nie pozostawiły nic pogodnego, ciepłego i dobrego, jeżeli nie dają one możliwości wybrnięcia myślom i uczuciom z pośród niemoralnych i wstrętnych widm, to w wieku dorosłym, trudno jest żądać czystych i moralnych bodźców... Jeszcze gorzej bywa, gdy w sercu maleńkiej istoty niema żadnych wspomnień oprócz zwierzęcych — wówczas bodźcem jego czynów w wieku dojrzałym będą wyłącznie: żądza i strach zwierzęcy!

Ciężko, lecz trzeba się przyznać, że są wypadki, gdy główne niebezpieczeństwo dla dzieci tkwi nie tylko w braku rodziny, lecz przeciwnie, w jej istnieniu. Nie tylko dziecko opuszczone lub porzucone, jak się mówi, „na cztery wiatry“, narażone jest na wszelkie złe wpływy ulicy, lecz dotyczy to i dziecka, czasem zbyt związanego z rodziną. Nie zawsze to bywa rodzina zła, — *często tylko nieszczęśliwa!*

Życie o głodzie i chłodzie, bezskuteczne poszukiwania kawałka chleba, brak jakichkolwiek zdrowych wrażeń, zapomnienie poszukiwane wyłącznie w alkoholu, — wszystko to razem wzięte, stwarza atmosferę, zgubnie działającą na zdziczałe, głodne dziecko: kłótnia pijanego ojca, jęki pobitej przezeń matki, ciągłe wzajemne rozjątrzenia pozostawiają głębokie ślady w spostrzegawczym i subtelnym umyśle dziecka.

Bez Boga, bez naiwnych dziecinnych urojeń, bez czystych duchowych radości, wsród ohydnych wyrażeń, nierządnych i brudnych obrazów, podpędzany pięściami i kijem, rośnie młode, dzikie *zwierzątko* i nic dziwnego, że w niem „malitia suplet aetatem“, jak słusznie mówili starożytni prawnicy.

Jeżeli taki ma wpływ na dziecko rodzina nieszczęśliwa, to czy warto mówić o wpływie rodziny złej, zdeprawowanej, która sama pod-

żega i zmusza dziecko do popełnienia przestępstwa i korzysta z wyników czynu przestępczego, dokonanego przez dziecko.

Ochrona dzieci, obrona ich przed deprawującymi i gwałcącymi ich duszę i niszczącymi ich ciało czynnikami, stanowi najpoważniejszy i święty obowiązek nie tylko państwa, lecz i społeczeństwa i to celem radykalnego zwalczania przestępczości ogólnej.

*

* *

W walce z przestępczością nieletnich, Anglicy osiągnęli nadzwyczajne wyniki i z dumą mówią o swoich wychowawczo-poprawczych szkołach rzemieślniczych, jako o zakładach, dzięki którym wiele dzieci, które popełniły przestępstwa, bądź miały skłonność do przestępczości, przekształciło się na zdrowych i uczciwych obywateli. Stworzenie takich zakładów wymagało wielkiego wysiłku duchowego i materjalnego, lecz osiągnięte wyniki stokrotnie wynagrodziły te starania, albowiem dały bezwzględną pewność, że istniejące w Angji sposoby walki z przestępczością nieletnich mają charakter realny, znajdujący potwierdzenie w danych statystycznych, wskazujących na ciągle zmniejszającą się liczbę skazanych[1]).

W walce z przestępczością nieletnich ustawodawstwo angielskie zwróciło przedewszystkiem uwagę na środowisko społeczne, z którego przeważnie rekrutują się dzieci-przestępcy i zdecydowało, że należy w miarę możności, usuwać z tego środowiska i nie dopuszczać do popełnienia przestępstwa te dzieci, których warunki życiowe tak się złożyły, że stwarzają podłoże, sprzyjające rozwojowi i utrwaleniu przestępnych skłonności. Takie dzieci w Anglji umieszcza się w specjalnych szkołach, gdzie pozostają w ciągu kilku lat i otrzymują ogólne wykształcenie podług programu szkół elementarnych, oraz niezbędną dla urządzenia swego przyszłego życia wiedzą fachowo-rzemieślniczą.

Obecnie Anglja posiada cztery rodzaje szkół dla nieletnich: 1) poprawcze szkoły (Reformatory Schools), 2) rzemieślnicze szkoły (Industrial Schools), 3) szkoły dla leniwych z krótkoterminowym pobytem (Truant Schools) i 4) dzienne szkoły rzemieślnicze (Day Industrial Schools). Co do porządku dziennego, systemu nauczania i wychowania, karności i gospodarstwa między powyższemi szkołami niema żadnej istotnej różnicy.

Ustawa żąda, żeby układ życia we wszystkich tych szkołach w zupełności odpowiadał przeciętnemu trybowi życia prywatno-rodzinnego. Różnica między wychowankami szkół poprawczych i rzemieślniczych polega nie na ich większej, czy mniejszej przestępczości, lecz zależy przeważnie od ich wieku. Do szkół poprawczych należy kierować chłopców i dziewczęta od lat 12 do 16, jeżeli popełnili przestępstwo zagrożone karą więzienia, albo karą cięższą, do szkół rzemieślniczych — dzieci obojga płci od lat 6 do 14, które aczkolwiek jeszcze przestępstwa żadnego nie popełniły, pozostawione jednak w tem środowisku i w tych wa-

---

*) Dane statystyczne umieszczone w „Fifty-first Report for the year 1921 Part. II".

runkach, w których się znajdują, niechybnie czyn przestępczy popełnią. W szkołach tych dzieci mogą pozostawać tylko do lat 19.

Do t. zw. „Day Industrial Schools“ sędzia skierowuje te dzieci, które uchylają się od obowiązku uczęszczania do szkół elementarnych. W szkołach tych dzieci pozostają od godziny 6-tej do 18-tej, otrzymują trzy razy dziennie pożywienie i na noc wracają do domu.

Szkoły dzienne, zdaniem M-r Legge, b. inspektora szkół poprawczych, mają doniosłe znaczenie w walce z niedbalstwem rodziców i występnem wychowaniem, a ponadto służą, jako awangarda głównej armji poprawczych i rzemieślniczych szkół.

Do szkoły rzemieślniczej sąd małej sesji (Summary jurisdiction Act) ma prawo umieszczać dzieci do lat 14 na żądanie każdego obywatela, jeżeli zostanie udowodnione: a) że dziecko zajmuje się jawnie żebractwem, czy też zbieraniem jałmużny pod postacią śpiewania, lub grania na instrumentach muzycznych na ulicach, lub dziedzińcach i t. p.; b) kierownik szkoły może żądać przez sąd umieszczenia w szkole rzemieślniczej ucznia upartego i nieposłusznego (refractory), jak również i w wypadkach, gdy jedno z rodziców ucznia zostało skazane na karę więzienia, lub na karę cięższą; c) jeżeli rodzice, lub opiekun oświadczą przed sądem, że nie są w stanie czuwać nad nieletnim, a sąd uzna to za odpowiednie, może skierować takie dzieci do szkoły rzemieślniczej; d) jeżeli rodzice prowadzą życie niemoralne i mogą przeto mieć deprawujący wpływ na dzieci i t. p.

Ponadto Anglja posiada specjalnych urzędników (boys beadles), których obowiązkiem jest odszukiwanie dzieci-włóczęgów i doprowadzenia ich do sędziego.

Najdonioślejszem w dziedzinie działalności zakładów poprawczo-wychowawczych w Anglji jest urządzenie t. zw. „pomocniczych domów pracy“ dla chłopców (Auxiliary Homes, Working boy‘s homes). Kiedy wychowanek ma opuścić szkołę rzemieślniczą jest on właściwie jeszcze dzieckiem (16 lat). Gdyby nawet otrzymał on doskonałe fachowe wykształcenie i był bardzo zdolny, to przy obecnych warunkach niełatwo byłoby mu zdobyć zarobek, który wystarczyłby na codzienne utrzymanie. Wobec powyższego nasuwa się nieunikniona potrzeba nie tylko zdobycia pracy, lecz jeszcze i znalezienia schroniska, gdzie chłopak mógłby się przyzwoicie ulokować. We wspomnianych domach pracy, chłopiec znajdzie nie tylko pomieszczenie, lecz i przyjacielską rękę i dobrą radę, tak dla niego niezbędną na początku samoistnego życia. Takie domy stanowią ogniwo, łączące byłe spokojne bez trosk życie w szkole z surowem życiem poza szkołą i dają chłopcu pewną obronę dopóki nie stanie twardo na nogach, tembardziej, że w tych domach może on otrzymać wszystko niezbędne dla codziennego życia i to w warunkach więcej sprzyjających, niż gdyby miał do czynienia z krewnymi i przyjaciółmi, często cierpiącymi większą, niż on nędzę. Takie domy stanowią obecnie w Anglji integralną część szkół rzemieślniczych (jeden dom na kilka szkół) i ponadto dają one możność urzeczywistnienia kontroli wychowanków w przeciągu trzech lat po ukończeniu szkoły, albowiem na mocy ustawy, wychowanek, który źle się prowadzi, może być przymusowo z powrotem skierowany do szkoły na trzy miesiące. Pomocnicze domy istnieją i dla dziewcząt, lecz w mniejszej liczbie, albowiem dziewczęta

zazwyczaj otrzymują posady (służba domowa), związane z mieszkaniem i utrzymaniem, chyba że opuszczą posadę z własnej, lub cudzej winy.

W szkołach angielskich dla nieletnich nauczyciele obowiązani są wykładać rzemiosła nie tylko praktycznie, lecz i teoretycznie. Podczas wykładów teoretycznych wychowanków szkół zaznajamiają z zasadami techniczno-naukowemi danego rzemiosła, przyczem poważne znaczenie nadają rysunkom i kreśleniu, które znakomicie ułatwiają rzemieślnikowi możność dokładnego przedstawienia pewnego przedmiotu w jego całości i w detalach.

Specjalną uwagę zwrócono w szkołach również na fizyczne wychowanie dzieci, między innemi i na gry: w tenisa, golfa, krokieta i t. p. Gry te, zdaniem znanego dr. med. Raymond'a, nie tylko wpływają dodatnio na rozwój fizyczny, lecz zmuszają przyjmujących udział w grze do podporządkowania woli osobistej, woli kolektywnej, przepisom gry, co wyrabia w młodzieży pojęcie obowiązku i uczucia poszanowania cudzych praw; nienormalność zaś w wieku dziecinnym polega przeważnie na wadliwem funkcjonowaniu woli.

W szkołach angielskich ponadto starają się zaszczepić wychowankom zamiłowanie do muzyki, śpiewu, ochędóstwa i t. p.

Bardzo poważnym pomocniczym środkiem podtrzymania poczucia karności, zdaniem inspektora Legge, jest system stosowania stopni (mark systems). Ze stopniami połączone są różnorodne przywileje i nagrody dla wychowanków, w szczególności nadanie zewnętrznych odznak w postaci szewronów, lub galonów na ramionach.

M-r Robertson, główny inspektor szkół poprawczych, twierdzi, że w szkołach tych starają się nie stosować specjalnych rygorów względem nieletnich zdeprawowanych, natomiast umieszczają ich z dziećmi normalnemi, przyczem żądają od wychowawców szczególnej baczności i dozoru, żeby nie miały dzieci upośledzone złego wpływu na dzieci normalne. „Nie ciemnica, nie twarde łoże wychowują zdeprawowane dzieci, zdaniem tegoż M-r. Robersona, lecz widny pokój, wygodna pościel i wykwalifikowany nauczyciel pedagog".

Na mocy danych statystycznych w r. 1928 liczba przestępstw, popełnionych przez recydywistów i nałogowców zmniejszyła się o 8%. Prawie połowę wszystkich dzieci, umieszczonych w szkołach rzemieślniczych stanowią dzieci nieślubne, sieroty i porzucone przez rodziców.

Szkoły powyższe, aczkolwiek znajdują się pod kontrolą państwa i otrzymują zapomogi od skarbu, to jednak gmachy szkolne buduje się wyłącznie za ofiarowane przez obywateli sumy. Za dzieci umieszczone w tych szkołach obowiązani są płacić rodzice po 5 szlg. tygodniowo za dziecko umieszczone w internacie, od — 1 do 2 szlg. — w szkole dziennej. Wrazie ubóstwa rodziców, za dziecko płaci kuratela parafjalna.

Jedną z najpoważniejszych przeszkód dla praktycznego urzeczywistnienia walki z przestępczością nieletnich, a tem samem z przestępczością ogólną, stanowi kwestja finansowa.

Ochrona najważniejszego interesu społecznego — jego wewnętrznego zdrowia i mocy, jego organizacji, na których opierają się jego dobrobyt i przyszłość, wymaga odpowiednich środków materjalnych.

Trudna nie przypomnieć sobie zdania wypowiedzianego niegdyś przez znanego lekarza-filozofa Kabanisa: „Człowiek dużo zrobił dla kul-

tury zwierząt i roślin, lecz prawie zupełnie zaniedbał wychowanie siebie samego, jakgdyby więcej zależało na tem, żeby posiadać duże i silne woły, nie zaś mocnych i zdrowych ludzi, pachnące brzoskwinie i cudownie rozmalowane tulipany, nie zaś mądrych, uczciwych i dobrych obywateli".

Stanisław Czerwiński.

ŻYCIE UCZUCIOWO-POPĘDOWE JAKO DŹWIGNIA W WALCE Z ALKOHOLIZMEM *).

Ilekroć zastanawiam się nad alkoholizmem, tyle razy zjawia się przed oczami mej wyobraźni człowiek, przygnieciony wielkim i ciężkim kamieniem. Kamień ten przyciska go do ziemi, unieruchamia, więzi, rani cieleśnie i duchowo jak dyby, lub kajdany, czyni zeń swego niewolnika, służkę, a jednocześnie wiernopoddańczego wyznawcę swego gnębiciela. Człowiek, przywalony tym głazem martwym, z trudem i wysiłkiem podnosi się na nogi, zdaje się, że go nienawidzi, przeklina, ale zamiast go zrzucić z pleców, przymocowuje go jeszcze silniej do swych barków i dźwiga dalej i stęka i jęczy i narzeka, wlokąc ciężko nogi przez życie, pada znowu i tak bez końca!

Zaiste! Dziwnym jest wpływ tego kamienia na człowieka! Alkohol jest przecież bardzo prostem ciałem chemicznem, złożonem z dwóch cząsteczek węgla, sześciu wodoru i jednej tlenu. A przecież to niezłożone chemicznie ciało martwe ma tak wielki wpływ na ustrój i duszę ludzką, że zostało podniesione przez człowieka do godności zawrotnej, sięgającej Olimpu, Dyonizosa czy Bachusa, stało się symbolem w wielu ceremonjach religijnych i opatrzone zostało w sposób zaprawdę magiczny nazwą „trunku niebiańskiego", lub „djabelskiego", otwierającego wrota do rzekomego szczęścia i zapomnienia.

Ten zimny głaz, sterczący jak garb na plecach ludzkości, piastowany przezeń jak talizman szczęścia, ogrzewany własnem ciałem, uduchowiony wyobraźnią, odnajdującą w nim rzekomo tajemne siły, rzutowane z własnej duszy jako chęci, życzenia i niepokoje, jest typowym przykładem istnienia bałwochwalstwa w dobie dzisiejszej.

Bo czyż trzeba szukać ze świecą wyznawców Bachusa, czy potrzeba rzucać hasło alkoholicy wszystkich krajów łączcie się? czy każda gmina w Polsce i w innych krajach nie jest jednocześnie i gminą Bachusa?

Nieskończone zastępy rekrutów ciągną bezustannie ku progom świątyni złego nałogu, a przekroczywszy go, stają się bałwochwalcami i niewolnikami złego bożka, szerzącymi zarazę wśród innych i przekazującymi swe piętno potomstwu. Kult alkoholu zaczyna się od dzieciństwa — przykład działa bezpośrednio; pasowanie na wyznawcę odbywa się zwykle w okresie pełnoletności, albo i wcześniej, tak, że na ujaw-

---

*) Odczyt wygłoszony dn. 31 marca 1936 r. w cyklu wykładów dla inteligencji z zakresu alkohologji, urządzonym przez Polskie Towarzystwo Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość" w Krakowie.

nienie się skutków działania pozostaje bardzo długi szmat życia. Skutki te nie każą długo czekać na siebie. Podnoszą się siły pierwotne, utajone w głębinach ludzkiej duszy, wyzwolone od kontroli wyższych władz psychicznych, które w oparach alkoholu obezwładnione i rozbrojone, nie mogą przeciwstawić się zbuntowanym popędom i impulsom. Pełnowartościowa osobowość — ten najwspanialszy wyraz twórczości jaki znamy — zostaje rozbita uderzeniami kamiennego młota, traci swe człowieczeństwo, gaśnie w niej iskra boska i upodabnia się coraz bardziej do owego młota, którym jest niszczona.

Skutki alkoholizmu i ich zasięg znamy wszyscy zbyt dobrze z życia codziennego. Wiemy, że trucizna ta uderza przedewszystkiem w samego człowieka ulegającego nałogowi, paraliżując jego zdrowe dążenie do istotnego szczęścia; po drugie łamie ona, niszczy i deprawuje udział jednostki w budowie życia społecznego, gromadnego, narodowego i państwowego, wreszcie paczy, zniekształca i rujnuje jego potomstwo, nakładając na nie znamię charłactwa duchowego i cielesnego.

Zdawałoby się, że przekonywanie kogokolwiek z ludzi o szkodliwości alkoholu jest zbyteczne, z tego choćby względu, że każdy miał możność w swem życiu zetknięcia się conajmniej z bezpośrednimi skutkami działania tej trucizny. I niewątpliwie niewielu się znajdzie takich, którzy by nie zetknęli się ze szkodami płynącemi z alkoholizmu, czy to w ramach rodziny, czy na polu społecznem, czy wreszcie w młodem pokoleniu, wyprodukowanem przez alkoholików.

Mimo to, większość ludzi przymyka oczy i nie chce widzieć nagich faktów, nie życzy sobie zaprzątać głowy przemyśleniem całej sprawy do końca i spojrzeć odważnie prawdzie w oczy. Skutki alkoholu dopiero wtedy kłują w oczy tę większość, gdy ich dotyczą bezpośrednio, lub gdy ujawnią się z taką siłą, że wstrząsną i zastraszą.

Świątynia Bachusa jest pilnie strzeżona, rzuca na ludzi dziwny czar, nakłada swym wyznawcom przemyślne wędzidła, niszcząc ich krytycyzm, dając w rękę słomiane berło wszechmocy, stwarzając symbol, ów groźny symbol szczęścia, który każdy widzi w barwach takich, jakich chce.

A walka z symbolami jest jedną z najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych, zwłaszcza z symbolami takimi, w których tkwi pojęcie t a b u, a więc takimi, które są jednocześnie złe i dobre, straszne, odpychające i tajemnicze — przyciągające, zdolne sprowadzić nieszczęście lub szczęście, zniewolić lub wywyższyć. Wszystkie te wyliczone i im podobne możliwości są znamienne dla działania alkoholu i budzą w ludziach lęk, wstręt, niepokój, a jednocześnie zainteresowanie i nieodpartą chęć próby poddania się temu działaniu. A potem, gdy pryśnie czar, gdy nastąpi smutna rzeczywistość, powstaje konflikt, wyrzut sumienia drażniący jak zadra, poszukiwanie wyjścia z konfliktu, ucieczka od nieszczęścia własnego i ponowne rzucenie się, wbrew podszeptom rozsądku, w objęcia tabu.

Ci, którzy widzą spustoszenia jakich dokonywa alkohol, którzy rozumieją ogromny zasięg jego działania i którzy myślą o przyszłych pokoleniach, skupiają się coraz liczniej w zwarte szeregi, gotowe do walki z groźnym i nieustępliwym wrogiem człowieczeństwa.

Każda walka to zmaganie się sił, które przeciwstawiają się sobie

na określonym terenie, w pewien znamienny sposób. By przeto móc walczyć skutecznie z tak niebezpiecznym wrogiem jak alkohol, należy dążyć do dokładnego poznania i zrozumienia źródła tych sił, które ma się zwyciężyć, uzbrojenia przeciwnika, jego taktyki i terenu, na którym walka ma się toczyć.

Sprobujmy kolejno rozejrzeć się w tych dziedzinach, zdać sobie sprawę z warunków tej walki i na podstawie tej analizy przemyśleć: w jakie środki należy wyposażyć tych, którzy ofiarnie chcą walczyć, by zapewnić im zwycięstwo.

Człowiek używa alkoholu, oczekując zmiany nastroju przykrego na przyjemny, którego pożąda. Jest to zatem ucieczka i ratunek przed przykrościami istotnemi lub rzekomemi, których źródłem jest, albo wrodzona niezdolność radowania się czy odczuwania radości w życiu, albo też nagromadzenie się przykrości, smutków i trosk życiowych za wielkie dla danego człowieka. Zwrócenie się do alkoholu jako do pocieszyciela, umożliwiającego, jak to się zwykło mówić, „zalanie robaka, który gryzie", dokonuje się na drodze przezwyciężania najmniejszego oporu, a więc bez wysiłku woli, a raczej automatycznie, odruchowo, popędowo. Jest to zatem akt woli częściowy, oparty na impulsach popędowych — ucieczki za wszelką cenę od przykrości — bez udziału całkowitej osobowości, a więc *wyraz prymitywny walki z przykrością*. Człowiek taki bowiem nie czyni poszukiwań w różnych możliwych kierunkach, odsuwa na bok wszelkie motywy rozumowe, nie stara się na drodze wysiłku znaleźć inne rozwiązanie, a żąda jedynie natychmiastowego usunięcia przykrości.

A więc *źródło sił, kierujących człowieka ku alkoholizmowi, leży w bardzo głębokich warstwach psychiki ludzkiej i czerpie swą moc w świecie uczuć i popędów.*

że świat uczuć i popędów posiada wielką siłę i przypomina kocioł parowy o dużem ciśnieniu, który musi być ciągle doglądany, by nie wybuchł, o tem wszyscy wiemy. Jedynie nie doceniamy wielkości tej siły, niezawsze należycie zdajemy sobie sprawę ze zjawisk, w których siła ta jest czynna i niedostatecznie zużywamy możności wpływania na tę siłę w różnych okolicznościach życia. Zanadto polegamy na naszych władzach rozumowych i sądzimy, że jeżeli uda nam się przekonać kogoś rozumowo o niesłuszności jego postępku, tem samem człowiek taki jest zabezpieczony na przyszłość od powtórzenia go. Tymczasem rozum nasz dokonał zaledwie drobnej części tej pracy, jaka musi być użyta na przekształcenie człowieka w taki sposób, by po raz drugi danego postępku nie ujawnił, by mógł zapanować nad chęcią ponowienia go. Główna praca, która może dać przekształcenie człowieka, odbywa się w płaszczyźnie innej niż rozumowa, w tych głębiach ludzkiej psychiki, gdzie królują uczucia i popędy.

Musimy zatem dobrze zapamiętać, że we wszystkich zjawiskach, w których ujawnia się nasza walka z przykrościami, mamy do czynienia ze światem uczuć i popędów przedewszystkiem. Wszystkie nasze reakcje, w których nie bierze udziału cała osobowość, kierowane są siłami, utajonemi w uczuciach i popędach. Alkoholizm jako prymi-

tywny wyraz walki z przykrością należy również do zjawisk uczuciowo-popędowych.

A jakież jest uzbrojenie i taktyka uczuć i popędów? — Przedewszystkiem są one zupełnie różne od uzbrojenia i taktyki rozumu. Rozum przewiduje i ma możność dopasowywania naszych postępków do każdej zmieniającej się sytuacji. Reakcje rozumowe są powolne, zrównoważone, są zawsze pośrednie, nigdy nie przekraczają pewnych granic, są poprzedzone rozważaniem motywów, wyborem jednego z nich i są ciągle modyfikowane w czasie rozwijania się akcji. Cel postępku rozumowo jest jasny i dostępny dla zrozumienia go przez innych ludzi.

Zupełnie inaczej przedstawia się broń sił afektywno - popędowych. Reakcje są tu bezpośrednie, działanie jest błyskawiczne, niema walki motywów, gdyż istnieje tylko jedyny motyw — zadosyć uczynienia za wszelką cenę żądaniu uczucia, lub popędu. Są to działania o krótkiem spięciu, np. ból — krzyk, lub płacz, strach — ucieczka, gniew — napaść, w których bezpośrednio po zjawieniu się określonego uczucia występuje odpowiednia reakcja popędowo-ruchowa. A więc zostaje tu pominięta instancja wyższa — rozumu, impulsy popędowo-afektywne nie odrazu i nie należycie są uświadamiane, a sama reakcja może nawet zadziwić, zaskoczyć całą osobowość. Osobowość człowieka nie chce jej często uznać za swoją, gdyż stoi ona w tak wielkim rozdźwięku z jego rozumem, etyką, estetyką, że człowiek nie wierzy, by mógł coś podobnego zrobić.

Jak więc widzimy siły afektywno-popędowe uzbrojone są w wielki dynamiczny ładunek, zdolność wymykania się z pola świadomości, w broń działającą z ukrycia, niewidoczną przez czas długi, a więc podstępną dla naszego rozumu, zdolną sparaliżować czynności rozumowe, a nawet podsunąć im do opracowania coś nieistotnego, by tem łatwiej wyprowadzić je w pole i zaskoczyć.

Szczególnie ostre i bezwzględne są takie reakcje uczuciowo-popędowe, które biorą początek w niezadowoleniu uczuciowem i nienasyceniu popędowem. A z niemi właśnie mamy do czynienia w alkoholiźmie.

Widzimy więc, że walka z alkoholizmem rozgrywać się musi na terenie afektywno-popędowym, że źródła sił, które należy zwyciężyć leżą tam, gdzie powstają impulsy popędowe i stany afektywne, że wreszcie uzbrojenie tych sił i ich taktyka są odrębne od rozumowych, przewyższają rozum swą prężnością i zaskakiwaniem i wywołują w świadomości złudzenie zwalczania sił głównych wroga, pozostawiając jej w rzeczywistości jakiś drobny ich ułamek, który demonstruje tylko coś ważnego i odciąga uwagę od właściwego frontu.

Poznawszy teren walki, taktykę i broń przeciwnika, musimy z kolei rzeczy zadać sobie pytanie, jakimi rozporządzamy środkami, które moglibyśmy przeciwstawić wrogowi, w jaki sposób środki te należy stosować i którym dać pierwszeństwo.

Wszystkie środki jakiemi rozporządzamy w walce z alkoholizmem dadzą się ująć w trzy wielkie grupy:

I. Do pierwszej grupy zaliczyłbym wszystkie te środki, które

mają na celu o c h r o n ę człowieka przed ujemnymi wpływami środowiska. A więc takie zmiany w warunkach zewnętrznych życia ludzkiego, które najwięcej dają człowiekowi przyjemnych przeżyć, a pozwalają uniknąć jak największej ilości przykrych, czyli starają się ułagodzić, nie drażnić, omijać te siły popędowo-afektywne, które grożą przejściem na wiarę alkoholową. Do środków tych należą takie:

a) które u m a c n i a j ą s i ł y r o z u m u przez uświadomienie co do skutków działania alkoholu, wzmocnienie opieki nad dzieckiem i dążenie do wychowania odpornego młodego pokolenia, przez poznanie typów szczególnie skłonnych do alkoholizmu,

b) które zmniejszają, u s u w a j ą g r o m a d z e n i e s i ę p r z y k r o ś c i w ż y c i u, a więc: zabezpieczenie człowieka przed nędzą, przed bezrobociem, wprowadzenie godziwych rozrywek, podniesienie kultury i t. d. i wreszcie takie,

c) które utrudniają lub u n i e m o ż l i w i a j ą n a b y c i e a l k o h o l u wogóle lub w większem stężeniu, w pewne dni, lub po określonych godzinach i t. p.

II. Do drugiej grupy środków należy zaliczyć tę bardzo jeszcze skromną co do rozmiarów w a l k ę o p r z y s z ł e z d r o w e p o k o l e n i e n a d r o d z e e u g e n i c z n e j. A więc niedopuszczanie do związków małżeńskich między ludźmi, którzy mogą obarczyć potomstwo zadatkami, sprzyjającymi rozwinięciu się alkoholizmu i popieranie małżeństw, mogących produkować potomstwo odporne na alkohol.

III. Trzecia wreszcie grupa obejmuje takie środki, które d z i a ł a j ą b e z p o ś r e d n i o n a ż y c i e a f e k t ó w i p o p ę d ó w j e d n o s t k i i zdolne są przekształcać je w taki sposób, że siły stamtąd idące mogą być zużyte w innym kierunku, jako napęd pożyteczny, a nieszkodliwy.

I i II-ga grupa obejmuje, właściwie mówiąc, ś r o d k i z a p o b i e g a w c z e, uprzedzające rozwijanie się alkoholizmu, zadanie ich bowiem polega na niedopuszczaniu człowieka do alkoholu i ochronę przed takimi wpływami zewnętrznymi, które torują drogę alkoholizmowi.

Właściwa broń do walki z istniejącym lub utajonym alkoholizmem kryje się dopiero w III-ej grupie środków. Tu bowiem chodzić będzie o takie przekształcenie wewnętrzne jednostki, o takie przesunięcia w stosunkach zachodzących między jego siłami pierwotnemi niższemi, a wtórnemi wyższemi, by mógł się on ostać o własnych siłach przeciw szkodliwym wpływom świata otaczającego. Tu kryje się właściwa walka o umocnienie osobowości człowieka, o lepszą dolę jego na ziemi, o uniezależnienie go i doprowadzenie do doskonałości.

Środki zapobiegawcze wyliczone w I-ej grupie są zorganizowane w walce z alkoholizmem dotychczas najlepiej i najwszechstronniej.

Środki eugeniczne znajdują się obecnie w okresie ich wytwarzania i doświadczania, a zasięg ich wpływów jest jeszcze bardzo nieduży.

Środki zaś wyliczone w III-ej grupie są dotychczas najmniej uwzględniane, stosowane przygodnie, raczej nieświadomie, bez należytego zrozumienia ich wartości, bez poważniejszych prób w ich zorganizowaniu i systematycznem stosowaniu.

Spróbujmy zdać sobie z nich nieco lepiej sprawę i przyjrzyjmy się tym zjawiskom życiowym, w których pierwszorzędną rolę odgrywają wpływy, działające bezpośrednio na życie afektywno-popędowe.

Stańmy oko w oko z tłumem, gotowym do buntu przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, z ową ogromną rzeszą nędzarzy, helotów, bezrobotnych, złamanych i zdeprawowawnych życiem, przybitych troską o chleb codzienny i t. p. Każdy z tych ludzi bezsilnych wobec życia, miotanych sprzecznemi tendencjami z dnia na dzień, staje się wielką siłą w masie, z tą chwilą, kiedy trybun ludowy rzuci w tłum zarzewie nadziei. Mówca, który chce tłum poprowadzić, nie będzie mu przemawiał do rozumu, nie wysunie żadnych logicznych argumentów, ale musi sięgnąć do życia afektów i popędów. Ludzi tych łączy niedola i pożądanie lepszego bytu. O tem im będzie przedewszystkiem mówił. A kiedy nastrój tłumu zostanie wytworzony, wówczas zrodzi się w nim pytanie, dlaczego tak jest źle, będzie poszukiwał przyczyny swej biedy i przyjmie za przyczynę istotną tę, którą mu wskaże mówca. A raz przyjąwszy określone zjawisko za przyczynę, będzie natychmiast dążył do jej usunięcia, i dokona tego zawsze w jednaki sposób, niezależnie już od wskazań trybuna. Czynności dokonywane przez tłum będą nosiły charakter działań prymitywnych, o krótkiem spięciu.

Przejdźmy do świątyni wypełnionej wiernymi, których tu zgromadził ból, zawody życia, utrata wiary we własne siły, wyrzuty sumienia i poszukiwanie spokoju i ukojenia. Świątynia — symbol sił pozaziemskich — jednoczy ludzi, jak pomost ogromny, łączący ziemię z zaświatem, stwarza poczucie małości i znikomości trosk ludzkich, któremu wiąże zebranych w jeden wspólny nastrój — oczekiwania pomocy skądinąd. Wchodzi kapłan na kazalnicę, zna dusze ludzkie, wie że ludzi trzeba poruszyć do głębi, trzeba przeorać ich warstwy życia uczuciowego, trzeba obudzić w nich uczucie nadziei poprzez skruchę i żal za zmarnowane siły w życiu i wskazać im drogę do przerodzenia się, do zużycia darów duszy w innym kierunku, przy pomocy miłosierdzia i łaski. Ludzie wychodzą ze świątyni zdolniejsi do życia, uzbrojeni w siłę płynącą ze źródeł afektywno-popędowych, skierowaną na tory pożyteczne, twórcze.

Przypatrzmy się działaniu wielkich wodzów i potężnych charakterów na masy ludzkie. Jak łatwo i trwale potrafią oni przekuwać ludzi obojętnych lub nawet wrogo ustosunkowanych do życia na optymistów, ile wlewają w nich energji, ile budzą do życia mocy utajonych w człowieku. A wszystko to środkami pozornie bardzo małymi, a w żadnym wypadku nie drogą mozolnych i dociekliwych rozumowań, ale swoją postawą niezłomną, swą wiarą, swą siłą charakteru, zdolną przenikać bezpośrednio do głębokiego nurtu życia afektów i popędów.

Z temi samemi zjawiskami spotykamy się w teatrze, na wojnie, w stosunku lekarza do chorego, w szkole, wreszcie w każdem zetknięciu się ludzi ze sobą.

Chodzi tu o oddziaływanie człowieka na człowieka pozarozumowe, o możność przenikania bezpośredniego do wnętrza obcej duszy, do jej świata afektywno-popędowego i dokonywania tam przekształceń tak niezwykłych, że graniczących niemal z cudem.

Ta zdolność przenikania bezpośredniego pozarozumowego do taj-

ników ludzkiej duszy jest zjawiskiem powszechnem i może prowadzić do takich przekształceń, których najtęższy argument rozumowy wytworzyć nie jest zdolny.

Mamy tu do czynienia ze zjawiskami sugestji, rozumianemi w najszerszem znaczeniu tego słowa. Zasięg tych zjawisk jest przeogromny, gdyż współżycie między ludźmi częściowo oparte jest tylko na czynnikach rozumowych, zaś ogromna reszta to działanie czynników sugestji. Obejmuje ona świat wiary, sztuki, tradycji, zwyczajów i obyczajów, jest głównym czynnikiem w wytwarzaniu poglądów, mody, wszelkich ceremonji, jest podstawą każdego wychowania, na niej jak na filarze wspierają się wszelkie ruchy rewolucyjne, partje, stowarzyszenia, ona budzi w człowieku zaciekawienie do poznawania rzeczy nowych, ona sprzyja utrzymaniu życia społecznego w granicach prawa, w niej ukryte są siły kierujące naszemi sympatjami i antypatjami, ją przywołujemy na pomoc, gdy chcemy pomóc bliźniemu w niedoli, w nieszczęściu lub chorobie, sugestja wreszcie umożliwia nam wytworzenie takiego nastawienia w cudzej psychice, przy którem ułatwione jest działanie dowodów rozumowych.

Nie na tem jednak koniec. Życie afektywno-popędowe ma znaczenie nietylko dla tego, który przyjmuje sugestję, który się jej ma poddać, ale również i dla tych, którzy ją wytwarzają, którzy chcą wpłynąć na przetworzenie wewnętrzne człowieka. A więc rozumowe przesłanki, doprowadzające nas do wniosku, że dane zjawisko należy uznać za szkodliwe, same przez się nie wywołują żadnej zmiany w tem zjawisku, doprowadzą nas jedynie do następnego wniosku logicznego, że z tą szkodliwością należy walczyć. Wynik walki będzie jednak zależał od stopnia, w jakim wezmą w niej udział siły afektywno-popędowe.

Jak zatem widzimy, dotychczasowa analiza szkodliwego zjawiska, jakiem jest alkoholizm, oraz środków walki z nim, wykazuje jasno, że samo zjawisko szkodliwe powstaje w świecie afektywno-popędowym, a jedynie i prawdziwe środki walki z niem musimy znaleźć w tym samym świecie afektów i popędów. Jedyną bowiem dźwignią, zdolną przeciwstawić się sile nałogu i poruszyć ów kamień gniotący barki ludzkie, jest siła afektów i popędów.

Należy zatem zwrócić baczną uwagę na rodzaj sił utajonych w afektach i popędach i dążyć do takiego zorganizowania ich, by można było je systematycznie i celowo w walce tej stosować.

Z punktu widzenia walki z alkoholizmem można podzielić wszystkich ludzi na trzy grupy:

I-sza obejmuje wszystkich niepoprawnych nałogowców, nieuleczalnych, których losy często sprzęgają się ze światem przestępców, kryminalistów, prostytucji i t. p. skaz społecznych.

II-ga grupa — to nałogowcy uleczalni, dający się uratować, wreszcie

III-cia najliczniejsza — to pijący nie nałogowo, nad którymi stale wisi groźba przejścia do nałogu, oraz dzieci i młodzież, które nie zdążyły jeszcze wytworzyć nałogu.

Pierwsze dwie grupy należą do dziedziny medycyny, która środkami ściśle lekarskimi stara się zwalczyć i wykorzenić nałóg. Nie będę nad niemi dłużej się rozwodzić, z tego względu, że walka z alkoholi-

zmem przedstawia się tu najprościej. Należy tylko posiadać odpowiednie fundusze oraz podstawy prawne, by zapewnić należyte wyniki tej pracy czysto lekarskiej. Metody jakie tu stosujemy polegają również na sugestji, w jej najbardziej skoncentrowanej postaci, a mianowicie hypnozie.

Dla społeczeństwa najważniejszą i najgroźniejszą jest grupa III-ia — przyszłych kandydatów na alkoholików, przedewszystkiem dzieci i młodzieży, oraz ludzi z pogranicza, którzy dziś nie są jeszcze alkoholikami, a jutro mogą się nimi stać, tych, którzy upijają się w święta i niedziele, lub w ich wilje, tych którzy codziennie do obiadu, a nawet i do śniadania wypijają 2 - 3 kieliszki dla pobudzenia apetytu, tych którzy po jedzeniu piją 1 - 2 - 3 bomby piwa, którym honor domu każe częstować gości nowym typem coctailu, tych którym zwykły alkohol już nie smakuje, więc preparują denaturat, lub wodę z sokiem, cynamonem i eterem i t. d.

Do tej właśnie grupy „pospolitego ruszenia" niejako, należy zastosować walkę najbardziej bezwzględną i powszechną, a opartą na siłach afektywno-popędowych zorganizowanych przez społeczeństwo.

Jak walczyć? — oto pytanie.

Środkami sugerującymi. Tak, ale jakież to są te środki, mówiąc konkretnie.

I otóż tutaj napotykamy na największy szkopuł, bo gdybyśmy rozporządzali armją ludzi złożoną powiedzmy z 10.000 bojowców, zdolnych do szerzenia takich wpływów sugestywnych, należy przypuścić, że zagadnienie alkoholizmu wkrótce przestałoby istnieć. Ale takich ludzi nie mamy, nie posiadamy takiej zwartej organizacji ideowej, która zdolna by była przeciwstawić się szerzeniu alkoholizmu. By móc stanąć do walki, trzeba zacząć od siebie, trzeba nietylko obojętnie stwierdzić, że alkoholizm jest plagą społeczną, ale dojrzeć w nim plagę jedną z największych, a doszedłszy do tego wniosku, należy znaleźć w sobie siły i odwagę, by wystąpić do walki, a więc wzbudzić w sobie, odnaleźć wiarę w lepszą przyszłość człowieka i chcieć czynnie przyczynić się do polepszenia bytu ludzi na ziemi. Im głębiej sięgnie to poczucie w świat afektów i popędów naszych, tem silniejszą broń zdobędziemy do walki, tem pewniejsze będzie zwycięstwo. To zadanie budzenia ludzi dobrej woli do czynu, mają również na celu i niniejsze odczyty.

Forel, wielki bojownik szwajcarski w walce z alkoholizmem, twórca tego ruchu, znając dobrze duszę ludzką, dał nam przykład i dowody, ile można zdziałać, opierając się na świecie efektów i popędów. Najtęższym bowiem wykonawcą jego idei był alkoholik, który się wyzwolił ze swego nałogu i którego Forel uczynił pionierem całego ruchu, nie dlatego, żeby ten człowiek był mądrzejszy od niego, by więcej umiał, ale dla tego, że poznał on owe głębiny i otchłanie, z których rodzą się impulsy popychające ku alkoholizmowi, że przez własną nędzę i upadek dostąpił poznania tajników świata afektywno - popędowego u innych.

P i e r w s z y m zatem ś r o d k i e m w walce tej jest tworzenie kadrów ludzi oddanych sprawie, to znaczy: r o z u m i e j ą c y c h szkodliwość alkoholu, w i e r z ą c y c h w lepszą przyszłość człowieka po przezwyciężeniu

alkoholizmu i posiadających warunki sugestywne do walki czynnej. Niewątpliwie ludzi takich mamy i znajdziemy ich tu obecnych na sali i złożymy im hołd naszym podziwem dla pracy położonej na tem polu — ale mamy ich mało. Trzeba te szczupłe szeregi uwielokrotnić, trzeba je związać nietylko wspólną ideologją, ale zapalić w nich płomień do walki czynnej i wszczepić pewność, że chcieć — to móc!

Drugim środkiem w tej walce będą wszelkie ośrodki i związki, łączące tych, którzy chcą walczyć z nałogiem. Walka bowiem samotrzeć jest w dzisiejszych warunkach życia bardzo trudną. Człowiek musi się oprzeć na innych, musi nierzadko od nich czerpać siły do tej walki. Wiemy, że tłum, że zbiorowisko ludzi ma wielki wpływ sugestywny; poddanie się takiemu wpływowi umacnia, zwłaszcza wówczas, gdy wiążą poszczególnych członków takiej gromady podobne nastawienia afektywno-popędowe.

Dla tych zaś, którzy nie czują się zdolni do walki bezpośredniej, istnieją liczne możliwości brania biernego w niej udziału, przedewszystkiem drogą dawania dobrego przykładu — abstynencji, który działa b. sugestywnie, a dalej przez dostarczenie środków materjalnych do walki czynnej, organizowania działalności zapobiegawczej i szerzenia propagandy przeciwalkoholowej.

Wykształceni bojowcy muszą iść wśród ludzi i nieść im hasło wyzwolenia, muszą znać duszę ludzką i umieć trafiać do ich świata popędów i afektów, tak jak umieją to czynić przywódcy rewolucyjni, duchowni i wogóde ludzie autorytatywni.

Sprawa alkoholizmu nie może być oderwana od innych spraw palących życia, nie może być tylko zwalczanie, trzeba móc i umieć zastąpić to rzekome szczęście, osiągane w stanie oszołomienia, innem, prawdziwem, pożytecznem, a więc należy mieć takie ideały ludzkości, które przemówią nietylko do wybranych, ale i do tych maluczkich, do tych sponiewieranych przez los.

I to jest trudne. Do tego potrzebna jest szkoła, uzdolnienia, prócz głębokiej wiary.

Ludzie wyposażeni w te wszystkie omówione środki winni walkę swą skierować na najbardziej zagrożone odcinki frontu: dzieci i robotników; tam bowiem mamy tereny niebezpieczne, po których stąpa się, jak po cienkim lodzie w każdej chwili mogącym się załamać.

A więc szkoła przedewszystkiem! Tu walka musi iść poprzez rodziców, którym trzeba narzucić potrzebę ochrony młodego pokolenia przed niszczącym wpływem złego przykładu w domu. Trzeba im uprzytomnić wielkość zła, obudzić w nich grozę zniszczenia, do którego sami przykładają niejednokrotnie rękę. Trzeba zachęcić do zwracania się o poradę do specjalnych poradni lub lekarzy. Taka propaganda powinna mieć miejsce we wszystkich szkołach. Używać by należało nietylko żywego słowa, ale i filmu z odpowiednio dobraną treścią, muzyki, która w sposób wyjątkowy ułatwia przenikanie sugestji do słuchaczy, radja, umożliwiającego szerzenie propagandy przenikającej do najdalszych zakątków Polski, wreszcie muzeów, przemawiających bezpośrednio swą przedmiotowością.

Do akcji tej należy wciągnąć najszersze rzesze wszystkich tych przedewszystkiem, którzy z racji swego stanowiska społecznego lub zajęcia mają ciągle do czynienia z dziećmi i młodzieżą i którym nie są obce oddziaływania sugestywne na masy, lub jednostki. Do tych zaliczyć należy przedewszystkiem liczną rzeszę nauczycieli, pedagogów i wychowawców, którzy tak często mają okazję do poruszania tych spraw przy omawianiu innych dziedzin. Jest więcej niż pożądane, by każde Kuratorjum wymagało od kierowników podległych im szkół urządzania choć raz do roku cyklu wykładów z dziedziny alkohologji dla rodziców, oraz dla uczniów.

Drugi najważniejszy odcinek frontu — to robotnicy, pracownicy fizyczni. Tu głos mają wszyscy ci, którzy pracują społecznie w związkach, zrzeszeniach, stowarzyszeniach i innych korporacjach, gdyż zadaniem ich bezpośredniem jest właśnie dbałość o lepszy los swych członków. Hasło walki z alkoholizmem mieści się bowiem w sposób naturalny w ramach każdego programu partyjnego, każdego światopoglądu zdrowego i trzeźwego. Hasło to wiąże się organicznie z należytą organizacją wszelkiej pracy zawodowej, z rozbudową ośrodków kulturalnych dla tych, którzy łatwo i chętnie skupili by się na odpoczynek po swej ciężkiej pracy wokoło programu, mogącego doraźnie i w znacznym stopniu ulżyć ich niedoli.

Wielka i niemal decydująca rola w tej walce powinna przypaść w udziale świątyniom i kapłanom. Religje, te reprezentantki walki o duszę ludzką, stoją na straży ideałów, prowadzących do doskonalenia się, drogą przezwyciężania wewnętrznego ludzkich braków, pierwotnych zjawisk popędowych i ich bezpośredniego działania. Zadaniem ich jest umacniać i rozwijać człowieka, uszlachetniać i tworzyć harmonijną całość, dającą poczucie szczęścia na ziemi. Tu droga działania jest ta sama co w walce z alkoholizmem, a cel do którego droga ta prowadzi przeciwstawia się odrazu czynnikom destrukcyjnym popędowo-afektywnym. Wreszcie zasięg oddziaływania religji jest tak wielki, że przerasta wszelkie inne dziedziny.

Wdzięczne pole spotykamy i w wojsku, gdzie kształci się tężyznę fizyczną i psychiczną, gdzie każdy uczy się czynnie tej trudnej i wielostronnej nauki, jaką jest nauka obywatelstwa.

Najtrudniejszy i najodporniejszy na wpływy zewnętrzne, to teren rodziny, tej podstawowej komórki wszelkiego życia zbiorowego. Rodzina to mały ustrój społeczny z jej ogromną autonomją, z kryjącymi się w niej tradycyjnymi przesądami, poglądami i przepisami sięgającymi często zamierzchłych czasów, z tak częstem ignorowaniem tego, co stanowi prawdziwy postęp, a hołdowaniem raczej modnym nowinkom. A przecież środowisko rodzinne wyposaża każde dziecko w najbardziej istotne składniki jego charakteru, daje mu na drogę życia zawiniątko, którego nie może porzucić w swej dalszej wędrówce, jako zbyteczne, a co więcej zawartość tego węzełka jest drogowskazem przy zakładaniu przez dziecko własnej rodziny i wyposażenia własnych dzieci. Tu, na terenie rodziny, mimo wszelkie przekształcenia i przesunięcia społeczne, rola kobiety jest dominująca i nią zostanie. Dlatego też, gdyby kobiety zechciały wzbudzić w sobie uczucie potrzeby stoczenia walki z alkoholizmem, zwyciężyłyby niewątpliwie, gdyż takim jest zwy-

kle udział kobiet w walce. Bogatsze są bowiem i liczniejsze pierwiastki uczuciowo-popędowe w duszy kobiet niż mężczyzn.

Nie będę przeliczał wszystkich możliwości terenowych; chodzi mi bowiem tylko o wykazanie, że środków mamy dużo, że każdy w miarę możności może się przyczynić do zwycięstwa i że zwycięstwo to będzie tem łatwiejsze, im więcej nas weźmie w niej czynny udział.

Widzieliśmy, że najważniejszymi środkami w tej walce są czynniki sugerujące, a więc: człowiek, słowo, przykład, wraz z pomocniczymi środkami, jak kino, muzyka, radjo i t. d.

Najdostępniejszym i najłatwiej dającym się ująć w zwarte karby środkiem walki z alkoholizmem jest niewątpliwie słowo, obleczone w formę odczytu, pogawędki, wykładu, przemówienia, lub słowo drukowane. Należałoby to słowo doprowadzić do prawdziwej doskonałości, by nie było ono tylko pustym i czczym manekinem, ale by przenikało głęboko do świata uczuć i popędów, by zdolne było rozkołysać w tym świecie wielki dzwon, bijący na alarm, zwołujący pogotowie sił zdrowych, zcalonych naszemi władzami rozumowemi w kadry straży ochronnej.

Każdy odczyt lub wykład winien posiadać pewien plan, pewien szkielet, ułatwiający to trudne zadanie przebicia się poprzez skorupę rozsądku do gorącego wnętrza uczuć i popędów.

Przedewszystkiem więc należy wykazać te szkody i spustoszenia, jakie czyni alkohol: 1) w życiu indywidualnem danej jednostki, 2) w życiu jednostki jako członka społeczeństwa, narodu i państwa i 3) w życiu pokoleniowem.

Następnie powinno się ująć w pewną całość to, czego człowiek może dokonać, walcząc o pewne określone ideały.

Dalej należy mu te idały podać w odpowiedniej postaci, przemawiającej do danego środowiska.

Potem wykazać, jaką posiada moc życie uczuć i popędów, obrazując je przykładami zaczerpniętymi z tego środowiska.

Wreszcie należy uderzyć bezpośrednio w świat uczuciowo-popędowy, rzucić weń zarzewie walki i żądać wzięcia w niej udziału celem ochrony człowieka przed ostatecznym upadkiem.

Oczywiście, że ten szkic planu jest jedną z licznych możliwości, których może być wiele; w żadnym jednak wypadku nie należy odrywać sprawy alkoholizmu od całokształtu potrzeb życia ludzkiego. Przeciwnie zawsze trzeba wiązać go z niemi w ten sposób, by na miejsce zwalczanego bożka chaosu i zamętu, można było postawić ołtarz całopalny twórczej pracy z widocznem godłem doskonalenia się.

Słowa jednak nie wystarczą, same idee choćby najpiękniejsze są tylko martwem naczyniem, które niezdolne jest niecić ogień w duszach ludzkich.

Potrzeba czynu!

Trzeba obudzić w sobie płomień, który warto jest przekazać dalszym pokoleniom jako znicz, od którego można zawsze zapalić w duszach następców niegasnące pragnienie szczęścia.

Prof. Dr. Stefan K. Pieńkowski.

Kraków, dnia 29 marca 1936 r.

W NIEZMIERNIE WAŻNEJ SPRAWIE.

Numer 11 i 12 „Trzeźwości" przyniósł na swoich kartach dwie, bardzo znamienne i bardzo smutne wiadomości: pierwsza, to „Przemyt alkoholu i tajne gorzelnictwo w Polsce", a druga, to „Sprawa eteryzmu na Śląsku". O obu tych sprawach pozwolę sobie słów parę napisać. Pomijam przemyt z zagranicy, gdyż ten przemyt istnieje w pogranicznych okolicach zachodniej granicy byłej „Kongresówki" jeszcze przed wojną, i przez granicę prusko-austrjacką, jak tylko pamięć ludzka sięgnie przemycano okowitę. Służąc w wojsku rosyjskiem przeszło 50 lat temu, miałem kolegę rodem z powiatu Miechowskiego, gdzieś od Michałowic, który jako podrostek, już od lat piętnastu trudnił się przemytnictwem. Był wzięty do wojska w 1874 roku. Wojnę rosyjsko-turecką przebył jako feldfebel, i po wojnie w tymże stopniu służył na pozaobowiązkowej służbie. No, ten to miał dużo wiadomości z przemytniczego procederu. Mógł ten dzielny zresztą człowiek całe noce opowiadać o różnych, przeróżnych kawałach tego „zawodu". Przemytnicy poprzez zieloną granicę przenosili najrozmaitsze towary, jak tytoń, tkaniny, wina, likiery, konjaki, proch strzelniczy, a już najwięcej to okowity. Był to na pograniczu proceder, którym się trudniło i z którego żyło wiele rodzin. Rozumie się, że nikt z tych przemytników nie miał sobie za ujmę swojego zajęcia; przecież oni nie kradli, a że tam ktoś najął ich, ażeby przenieśli towar to przecież zwyczajna robota. Zresztą, „oczyszczeniem" drogi zajmował się kupiec, zazwyczaj bogaty hurtownik-żyd z miasta. Toteż przemyt gorzałki, czy nawet eteru mnie nie dziwił. Dziwi mnie sprawa druga: potajemne gorzelnictwo i niezmiernie duża ilość tajnych gorzelni. Jakto! więc dwadzieścia tysięcy tajnych gorzelni? Przecież w Polsce jest 12578 gmin, a że chyba połowa tych gmin nie trudni się potajemnym gorzelnictwem, przeto ta reszta ma chyba po trzy gorzelnie na gminę. Ale mało tego, autor artykułu pisze: „Na Wileńszczyznie. Polesiu i Wołyniu prawie w każdej chałupie znajduje się tajemna, rozumie się, mała wytwórnia samogonu, ot na własny użytek". Doprawdy, sprawa samogonu zaszła bardzo daleko. Doprawdy, to już czuć klęskę: masy ludowe zbiedzone, głodne, źle odziane, bose, lub w łapciach zatruwają się samogonem. Tego dawniej nie było. Czyżby tych gorzelników łączyła taka solidarność, że nikt o tym procederze ani słowa nie piśnie. Czyżby się oni rządzili takim wielkim rygorem - dyscypliną, że każdy milczy, a samogon tak bywa ukrywany, że znaleźć go niesposób. Miejscowość, cała wieś, nie mówiąc już o domu, lub innym budynku, gdzie się wytwarza samogon, poprostu cuchnie z daleka, i byle trochę dobrej woli, to ten proceder może i powinien być wytępiony. Za czasów okupacji niemieckiej, potajemne gorzelnictwo zaczęło się u nas szerzyć. Niemcy, gdy przyłapali taką gorzelnię, to ją odrazu likwidowali. Ale Niemcy mieli tu inne zajęcia dla swojej policji niż szukanie potajemnych gorzelni — to też rosły one jak grzyby po deszczu. Ale jak tylko Niemcy się wynieśli to polska policja tak się zgrabnie tą sprawą zajęła, że w krótkim czasie samogonu nawet na lekarstwo by nie znalazł. Tak było u nas w okolicy Warszawy. A nawet, będąc w 1919 roku w Wilnie, rozmawiałem o tych sprawach z miejscowymi ludźmi z Białorusinami

i Polakami, pytałem się ich o to. Odpowiedzieli mi, że Niemcy tak ich obrali, że o tem żeby tu kto pędził samogon mowy być nie może. Jesienią 1922 roku byłem w Grodzieńszczyźnie, byłem i w Grodnie, i w okolicy, po wsiach i maisteczkach chodziłem, z ludźmi tamtejszymi mówiłem, specjalnie o „samogon“ się pytałem, powiedziano mi to samo, co i w Wileńszczyźnie, t. j. że tu nikt samogonki nie pędzi, bo policja śledzi, wykrywa, a sądy surowo karzą. A tu naraz czytam w „Trzeźwości“ artykuł, gdzie pan Michał Godlewski pisze, że dwadzieścia tysięcy potajemnych gorzelni w Polsce istnieje i, że prócz tego, proceder przemytnictwa poprostu kwitnie. A pięć udatnych zdjęć fotograficznych unaocznia to i dokumentuje. Doprawdy! Źle się dzieje w Polsce! Nędza, ciemnota, beznadziejność, zupełne porwanie wszelkich wiązadeł etycznych. Każdy oddzielnie człowiek, a także zespoły ludzkie razem, są w położeniu tonącego, który się łapie za brzytwę i sądzi w rozpaczy, że się uratuje. Źle jest, a będzie jeszcze gorzej, jeżeli złu nie położy się końca, jeżeli się z korzeniem nie zniszczy zła, jak osty i kąkole ze zboża. Czyżby nie można w miastach, w miasteczkach i po większych wsiach urządzić kursów przeciwalkoholowych, czyżby nie można użyć do tego młodzieży ze szkół, nauczycielstwa i t. d.? Czyżby nie można działać na masy przez szkoły, kościoły oraz przez związki młodzieżowe? A przedewszystkiem jarzmo biedy, nędzy, głodu i chłodu, oraz beznadziejności trzeba z ludzi zdjąć, powietrze trzeba oczyścić, człowieka podnieść. Sama policja, sam urzędowy nakaz i zakaz nie dadzą rady. Dwadzieścia tysięcy potajemnych gorzelni dowodzi tego.

A teraz sprawa druga: Eteryzm na Śląsku. Sprawę tę poruszył pierwszy p. dyr. Kazimierz Hrabin. To, co pisze o tem autor podpisany S. M. S. w „Trzeźwości“ (Nr. 11, 12 ub. roku) jest poprostu straszne. Jakże to? Więc cała prowincja jawnie, publicznie, w jasny dzień zatruwa się trucizną, wyniszczającą i oszałamiającą i niema dla tej zbrodni przeciwdziałania. Czyżby społeczeństwo śląskie — polskie społeczeństwo, lud śląski, chłop, robotnik, górnik, hutnik lub też inteligent polski, ci wszyscy mocni ludzie, co przez sześć stuleci umieli zachować wśród najcięższych warunków narodowość, język i obyczaj Polski, nie mogą dziś obronić się przed zgubnym nałogiem, który jest dla nich klęską i zagładą straszną?

„Tam pachnie eter“, tam czuć chorobę, tam gnieździ się klęska, zagłada, nieszczęście i rozpacz. Śląsk, perła Rzeczypospolitej Polskiej, kraj czarnych djamentów, prowincja, gdzie powinien panować dobrobyt, ba, nawet powszechne zadowolenie, oświata, kultura, dobre obyczaje, słowem te wszystkie wielkie walory społeczne, które stanowią o uczłowieczeniu i o uobywatelnieniu, kraju — giną pod uderzeniami nałogu eteryzmu.

Śląsk, aż trzy razy zrywał się do rozpaczliwego boju o swoją Polskość, dziś przyciśnięty nędzą i nałogiem marnieje, ginie, nie broniąc się nawet. Doprawdy, trudno w to uwierzyć, trudno uwierzyć w to, zwłaszcza abstynentowi, dla którego wszelkie oszałamianie się, czy to przez alkohol, czy inne narkotyki, jest obce, a nawet mało zrozumiałe. To też czytając w „Trzeźwości“ artykuł o eteryźmie na Śląsku, trudno mi było pogodzić się z tym smutnym faktem. Przecież to, co przeczytałem, to zgroza, to gorsze od żywiołowej klęski. Zapewne, że każde nie-

szczęście ludzkość przetrzyma, niemniej jednak, gdy pożar się szerzy, gdy powódź wszystko zalewa i topi, lub gdy jakiś straszliwy orkan wali lasy i obala ludzkie osiedla, to i ludzie w obronie życia organizują obronę przed niszczącym żywiołem, gromadzą się, jednoczą, wybierają wodzów, poddają się nawet najsurowszym rygorom, dyscyplinie, i stają do walki, do walki o życie i walkę tę zazwyczaj wygrywają. Eteryzm na Śląsku w takim stanie, jak czytam to w „Trzeźwości", jest klęską żywiołową i do obrony przed tą klęską trzeba zorganizować samoobronę. Do tej samoobrony powinni stanąć wszyscy ludzie: lekarze, duchowieństwo, nauczycielstwo, — trzeba też uczyć, oświecać, uświadamiać. Same oficjalne zakazy i nakazy nic nie pomogą. Przecież istnieje straż pograniczna, której obowiązkiem jest nie przepuszczać z Niemiec do Polski eteru. A czy to wystarcza? Nie wystarcza. Wszak i dziś różni moralizatorzy potępiają pijaństwo i narkotyzowanie się, a czyż to pomaga? akurat tyle, co przysłowiowe kadzidło umarłemu. Najlepszym zakazem na kontrabandę eteru będzie to, że ludzie przekonają się o jego szkodliwości i potrzebować go nie będą. Najlepszym środkiem przeciw przemytnictwu będzie to, jeżeli obywatel Śląska mieć będzie pracę bez wyzysku i gdy będzie mógł bez przemytu uczciwie zarobić na utrzymanie. Boć przecie dawno wiadomo, że bieda, nędza, poniewierka, głód i chłód, niepewność dnia jutrzejszego, oraz beznadziejność życia, są to najgorsi nauczyciele złego, są zarazą szerzącą się jak powódź, która wszystko zalewa. Jest źle, gorzej chyba być nie może.

Od paru dziesiątków lat jestem abstynentem; właściwie, to całe życie należę do ludzi trzeźwych. Bywałem jeszcze przed wojną na wielu zjazdach abstynenckich, bywam i obecnie, o ile tylko zdrowie mi na to pozwala.

Czytałem wiele i czytam stale wszystko, co wpadnie mi do ręki z tej dziedziny, a z pociechą wielką widzę, że sprawa trzeźwości rozrasta się i potężnieje. Intelekt, wiedza, nauka, powaga uczonych i zapał nowych apostołów, wszystko to jest z nami, nawet niepospolita i niecodzienna wytrwałość ideowców trzeźwości — są z nami. Na zjazdach naszych widzimy zarówno osiwiałe głowy mężów nauki, jak i światłą, entuzjazmu pełną i wiary młodzież, co chce i pragnie „iść i czynić", co chce być i jest tym hufcem przodującym w walce o lepsze jutro kraju, narodu, ludzkości. Więc nadzieję mam i wierzę, że te wysiłki zostaną uwieńczone dobrym skutkiem, że „naszem będzie zwycięstwo". Ale gdy się pali, to każdy człowiek, co ogień zobaczy, lub też usłyszy głos pożarnego dzwonu — rzuca swoje zajęcia i leci ratować. A gdy dobiegnie do pożaru, to się nie gapi, nie stoi bezradnie, ale patrzy, gdzie jest komendant straży ogniowej, jemu się melduje i jego słucha rozkazów. To samo ma miejsce w czasie powodzi, lub też innej żywiołowej klęski. Wedle tego, co czytam o eteryzmie Śląska, to rozumiem, że tam jest pożar, w którem ginie największe nasze dobro człowiek. Uważam dalej, że Tow. „Trzeźwość" jest w tym wypadku Strażą Ogniową. Niechże dzwoni na alarm, niech pośle na miejsce pożaru swoje najlepsze oddziały i niech zarządzi natychmiastowy ratunek, niech ten pożar opanuje, niech go umiejscowi, niech go zagasi. I to jest bezpośrednim i natychmiastowym obowiązkiem „Trzeźwości". Gore! ogień się rozszerza, już się zarażają powiaty sąsiednie, ratunek pilny jest koniecznie potrze-

bny. I jeszcze jedno: gdy się palą budowle, tam dla ugaszenia pożaru potrzebna jest woda i narzędzia. Ale gdzie się palą samowiedza, oraz instynkt samozachowawczy ludzi, tam potrzebny jest rozum, rozwaga i wytrzymałość. Albowiem coś się zaczyna źle dziać w domu naszym. Z jednej strony nędza niesłychana, z drugiej strony rozhukany, bezwstydny i bezczelny zbytek, pijaństwo i rozpusta tych, co są bogaci, syci, odziani zbytkownie, co się rozbijają po lakierowanych karczmach, „z a d a j ą c s z y k u" i naigrawając się z ogólnej nędzy. Do tego dochodzi beznadziejność życia, i ta martwota woli, którą się galwanizuje alkoholem, a że niema na to pieniędzy, przeto zastępuje się go namiastką t. z. samogonem, albo zgoła denaturatem. Stąd mamy już dwadzieścia tysięcy potajemnych gorzelni, wytwórczość których wystarczy, aby zatruć krew ludzkiego tu pogłowia na parę pokoleń w przyszłości. A na Śląsku mamy eteryzację, która jeżeli się jej nie położy kresu, spowoduje zwyrodnienie i zidjocenie obecnego i przyszłych pokoleń. Zdaje się, że już instynkt samozachowawczy przestaje działać. A co będzie dalej? Wieści z „n i z i n" są okropne; tak zwane „zabawy" taneczne, zaczynają się pijaństwem, a kończą bijatykami, użyciem noża, kamieni, pałek i t. d. I każdy patrzy na drugich, a widzi najczęściej zły przykład i to mu służy podnietą do złego. Więc też pod ciężarem tej niepewności brniemy dalej; ani wiary, ani zaufania do ludzi niema, pisze mi znajomy adwokat, i pisze, że: „uczciwych, sumiennych ludzi już niema".

Straszne to wszystko i smutne. Złe obyczaje tworzą złe nałogi, a nałogi, to choroby społeczne. Alkoholizm, czyli pijaństwo, jest jedną z najgorszych, gdyż on jest ojcem wszelkiej narkomanji, czy to eteryzmu, czy morfinizmu i t. d.

„Trzeźwość" w imię przyszłości musi koniecznie z tem walczyć.

Tomasz Nocznicki.

E T E R O M A N J A.

(Referat, wygłoszony w Katowicach na Konferencji w sprawie eteryzmu dn. 4 maja 1936 roku).

Jak daleko sięga wiedza w dzieje ludzkości, tak dawno są wzmianki o używaniu przez człowieka środków świadomie przeznaczonych do wywołania przemijających stanów euforji, jakby chwil zapomnienia i szczęśliwości. Takie właściwości odkrył on w napojach wyskokowych i nielicznych roślinach, używanych do dziś jeszcze we wspomnianym celu. Najczęstszemi środkami, używanemi dziś do oszałamiania ustroju są: alkohol, morfina, kokaina, opjum, heroina oraz inne pochodne opjum (pantopon, eukodal, dicodid i t. d.), haszysz, meskalina i nikotyna.

Na pierwszem miejscu stoi alkohol. Jako surogatu alkoholu używa się eteru, który nas dziś szczególnie interesuje. O 50 lat wcześniej niż do celów farmakologicznych, był eter używany do oszałamiania. W Irlandji nastało picie eteru podobno po roku 1840 w czasie kaznodziejskiej kampanji O. Mathew'a przeciwko alkoholizmowi. Lewin (1927) podaje, że północna część Irlandji zużywa więcej eteru, niż cała Anglja. W okolicach tych używają eteru mężczyźni, kobiety i dzieci, mężczyźni

w dawkach od 8—15 gr. Niektórzy z nich znoszą 150—500 gr. eteru w kilku porcjach (jakkolwiek dawka śmiertelna eteru zażytego do wewnątrz wynosi zasadniczo 20 - 30 gr.).

Tak wypijał wedle Lewina chemik Bouquet ½ l., a Rouelle cały litr dziennie. Ażeby palenie, jakie powoduje eter w przełyku złagodzić i zapobiec stratom przez odbijanie, popijają na końcu wodę. Podobne wiadomości o nadużywaniu eteru podaje Cohn z Prus Wschodnich, gdzie się eteromanja epidemicznie rozszerzyła po roku 1887, kiedy nałożono na napoje wyskokowe większy podatek. Wedle tego autora w roku 1887 sprzedano w powiecie i mieście Kłajpedzie 8580 l. eteru. W dniach targowych powietrze przesycone było oparami eterowemi i widziało się nie tylko wielu zataczających się mężczyzn, ale i kobiety. Nawet niemowlęta uspakajano eterem, a jako uniwersalny domowy środek leczniczy polecano go przy wszelkich dolegliwościach.

W Rosji piła eter z małemi dawkami alkoholu biedniejsza ludność rolnicza, nieraz w niebywałych ilościach. Również w niektórych okolicach Norwegji zaczynają obecnie używać eteru, jako środka oszałamiającego zarówno młodzi, jak i starsi, szczególnie w dnie świąteczne. Pojedyńczych eteromanów znajduje się wszędzie, przeważnie są to ciężcy degeneraci, niektórzy z nich nie przyjmują nigdy eteru doustnie, lecz wchłaniają z oddechem pary eterowe. Więcej rozpowszechnione jest picie eteru. Niektórzy nawet przenoszą eter nad alkohol. Duży kontygent eteromanów przedstawiają niewiasty, które, wstydząc się przyjmować zwyczajny alkohol, sięgają po eter, często w formie niewinnych kropli Hoffmana, zwanych popularnie „anodyną", albo „kroplami macicznemi".

W latach ostatnich zaobserwowały władze nasze uporczywy i ciągle wzrastający przemyt eteru z zagranicy na odcinku granicznym powiatu rybnickiego. Gdy przejeżdżałem w ub. r. końmi przez niektóre wioski koło Wodzisławia czułem tak silne opary eterowe, iż miałem wrażenie, że znajduję się w sali operacyjnej. Pracując jednak na przeciwległym końcu Województwa Śląskiego osobiście z eteromanją pozatem się nie zetknąłem tak, że niniejszy referat mogłem opracować tylko teoretycznie, na podstawie dość skąpej literatury, a tem trudniejszej do zdobycia w lublinieckiem odludziu.

Zanim przystąpię do klinicznych objawów zatrucia eterem przypomnę niektóre dane farmakologiczne.

E t e r otrzymujemy przez destylację alkoholu ze stężonym kwasem siarkowym (aether sulfuricus). Jest on cieczą bezbarwną, lotną, o swoistym silnym zapachu, lżejszą od wody, trudno rozpuszczalną w wodzie (1:12), a łatwo rozpuszczającą się w alkoholu, olejach i tłuszczach, o temperaturze wrz. 35° i temp. krz. 117°. — Eter łatwo się zapala, pali się jasnym płomieniem, paruje już przy temperaturze pokojowej, łącząc się z powietrzem na wybuchowe mieszanki, posiada znaczne ciepło parowania, to też szybko ulatniając się, pochłania z otoczenia wiele ciepła. Właściwość tę wykorzystuje się do lokalnego znieczulenia przy mniejszych zabiegach chirurgicznych. Pierwszą większą operację w n a r k o z i e e t e r o w e j wykonali w r. 1846 Morton i Warren. Pary eterowe łatwo przenikają przez błony komórkowe. Przyjęty doustnie eter zaczyna w żołądku odrazu wrzeć, rozpychając go silnie,

co powoduje wypieranie w górę przepony brzusznej, połączone z uczuciem duszenia się, a nawet może spowodować w rzadkich wypadkach pęknięcia żołądka (Tillmans). Wnikając szybko w śluzówkę, powoduje przekrwienie i wzmożone wydzielanie. Wchłanianie eteru z żołądka do krwiobiegu następuje nieco wolniej, niż drogą przez płuca. Pary eterowe, wdychane z powietrzem, łatwo przechodzą przez ściany pęcherzyków płucnych i naczyń włoskowatych płuc do krwi. W krwi pary eterowe rozpuszczają się zgodnie z prawami rozpuszczalności gazów w cieczach.

Wedle t. zw. reguły Meyer - Overtona siła działania narkotyku zależy od wielkości współczynnika między wodą a lipoidami (tłuszczowate związki) komórkowemi, więc najsilniejszem jest działanie narkotyku tego, który stosunkowo najmniej rozpuszczalnym jest w wodzie, a najwięcej w lipoidach. Bogate w lipoidy czerwone ciałka krwi intensywnie pochłaniają pary eteru, zmniejszając równocześnie ich zdolność do łączenia się z tlenem wdychanego powietrza. Z krwią roznoszony jest eter po całym organiźmie narkotyzowanego. Jak wiadomo z wszystkich komórek organizmu najwięcej lipoidów zawierają komórki centralnego systemu nerwowego. To też tam znajduje się podczas narkozy eterowej najwięcej narkotyku. Nie mniej tegoż ciała chemicznego znajduje się w tkance tłuszczowej, w bogatej w lipoidy korze nadnerczy, nieco mniej w uboższych w lipoidy narządach gruczołowych, jak w wątrobie i nerkach, najmniej zaś w ubogich w lipoidy mięśniach i tkance łącznej. Krew zawiera podczas głębokiej narkozy wedle badań Nicloux 0,13 - 0,15% eteru, a w 2 godziny po narkozie już tylko 0,004%. W okresie wydalania eteru z organizmu krew żylna zawiera więcej tegoż ciała, niż krew tętnicza. Wydalanie par eteru z organizmu odbywa się głównie drogami oddechowemi.

Powinowactwo eteru do lipoidów pozwala zaliczyć ciało to do trucizn systemu nerwowego na równi z alkoholem etylowym, silniej odeń trującym alkoholem drzewnym, czyli metylowym, chloroformem, benzyną i t. p. W rzeczywistości jest narkotyk ten trucizną zarodzi komórkowej (protoplazma). Narkotyzujące działanie swoje wywiera on przy dostatecznej koncentracji, na wszystkie przejawy życia organicznego świata. U komórki roślinnej znosi on ruch zarodzi. Ruchy rzęsek nabłonkowych śluzówki gardzielowej żaby ustają na czas działania pary eterowej. Eter hamuje nie tylko pełzakowate ruchy białych ciałek krwi, ale i ruchy rzęsek nabłonkowych, oraz biczyków rzęskowych plemników. Wedle badań Bethego obniża eter wzgl. znosi wrażliwość i przewodnictwo nerwów czuciowych i ruchowych. Większe stężenie eteru powoduje śmierć komórki, tak roślinnej, jak zwierzęcej. Czerwone ciałka krwi ulegają hemolizie. Białko mięśniowe ulega pod działaniem skoncentrowanych par eterowych stężeniu, a mięśnie prążkowane zabiciu. Nie ulega więc wątpliwości, że eter jest trucizną dla każdej żyjącej komórki. Górująca nad inną tkanką wrażliwość systemu nerwowego daje możliwość użycia narkotyków wziewnych do wybiórczego działania na funkcje ruchowe i czuciowe mózgu. Na użyteczne środki znieczulające kwalifikuje je jednak dopiero ta właściwość, że znoszą one najpierw czynność kory mózgowej, następnie ośrodków podkorowych, oraz ośrodków śródmózgowia, potem znoszą pośredniczenie odruchów w centrach rdze-

nia pacierzowego, a dopiero na samym końcu porażają ośrodki rdzenia przedłużonego z ośrodkiem oddechowym.

Te więc własności farmakologiczne nerkotyków wziewnych umożliwiają zastosowanie ich do narkozy chirurgicznej. Objawy narkozy zaczynają się stanem psychomotorycznego pobudzenia przy wyraźnej niezborności czynności ruchowych i wyraźnej dysocjacji procesów myślowych, mówi się dlatego o fazie excytacyjnej narkozy. Osobnik w oszołomieniu eterowem przedstawia podobny obraz, jak przy upiciu alkoholowem. Zauważamy rozszerzenie źrenic, szybkie tętno, zaczerwienienie skóry, szczególnie twarzy, wywołane pobudzeniem ośrodka naczvnioruchowego i szybki, a często głęboki oddech. Przy tem uderza żywość mimiki, rozproszenie uwagi, gonitwa myśli, podniecenie psychoruchowe i potrzeba wyładowania ruchowego. Podmiotowo po krótszem, lub dłuższem uczuciu duszenia się następuje uczucie ulgi, wzniosłości, szczęśliwości i wzmożonego samopoczucia. Nastrój zależnie od usposobienia pogodny, dobrotliwy albo pieniaczy, gniewliwy, skłonny do wybuchów, brutalny, rzadziej płaczliwy, depresywny. W drugiej fazie (porażenia) ruchy stają się niepewne, drżące, twarz obwisła, mowa zamazana, przytomność przymglona, albo zamroczona. W sferze psychicznej rysują się majaczenia. W końcu występuje głęboki sen, po nim bóle głowy i stan, jak po nadużyciu alkoholu, popularnie zwany „kociokwikiem". Kraspelin stwierdził w doświadczeniach psychofizycznych w stadjum pierwszem ułatwienie wyzwalania ruchów. Akt spostrzegania okazał się od początku zwolniony, obie strony życia psychicznego — przyjmowanie wrażeń zewnętrznych i ruchowa innerwacja — ulegają więc zupełnie, podobnie jak przy początkowych stopniach upicia alkoholowego przeciwnej reakcji. Pokrewieństwo eteru z alkoholem, ujawniające się w działaniu na funkcje mózgowe, uwydatnia się we właściwości eteru wywoływania euforji, co czyni zrozumiałem chroniczne nadużywanie eteru. Wogóle można działanie eteru scharakteryzować jako d z i a ł a n i e i n t e n s y w n e a l k o h o l u, s k o m p r y m o w a n e n a k r ó t k i c z a s o k r e s. Dolegliwości wskutek nadużycia eteru rozpoczynają się wedle Lewina zaburzeniem żołądkowem, — dyspepsją, mogą wystąpić również bóle żołądka i wymioty, nieraz pojawia się drżenie ciała, osłabienie mięśni, cukromocz. Ten sam autor wspomina o pewnej niewieście, która codziennie przyjmowała przed jedzeniem eter na kawałku cukru i w ten sposób w ciągu 2 miesięcy zużyła 180 gr. Po tym czasokresie wystąpiły u niej: słabość i drżenie rąk, później i nóg, skurcze niektórych mięśni kończyn dolnych przy chodzeniu, bóle w piersiach, między łopatkami, wymioty, szum w uszach, ból głowy i bicie serca. U eteromanów przy zaniku apetytu występują, jak u alkoholików. ranne wymioty, czynność serca staje się niemiarową i słabą. Charakter niedługo również ulega zmianom, zaznacza się drażliwość, zmienność nastrojów, kapryśność obok zaniku siły woli. Osobnik taki staje się niedbałym i leniwym. Z czasem rozwija się u niego chorobowa tępota umysłowa, kończąca się w ciężkich wypadkach, zupełną niezdolnością do myślenia. Niedomoga serca powoduje zwykle zgon. Taki obraz eteryzmu nakreśla Lewin, przyjmując przytem prawdopodobieństwo stwierdzenia przez dokładniejsze badania pijaków eteru analogicznych zmian anatomicznych, jak przy alkoholiźmie.

Również wedle Sommera (cyt. Schroedera) prowadzi przewlekłe nadużywanie eteru do tych samych zmian w organizmie, jak przewlekły alkoholizm, a więc do marskości wątroby, nefrosklerozy, miażdżycy tętnic, zwyrodnienia tłuszczowego serca i innych organów. Binswanger przypisuje eterowi narówni z alkoholem, chloroformem, chloranem i paraldehydem zdolność do zakłócenia odżywiania ośrodkowego ustroju nerwowego przez zaburzenie ogólnej przemiany materji. Zmiany te mają jednolity charakter. Dotąd nie udało się stwierdzić zmian komórkowych właściwych poszczególnym truciznom. Ponieważ trucizny te, jak wspomniałem powyżej, poza korą mózgową powodują zmiany i w innych warsztatach organizmu mogą one, zdaniem Kraepelina, drogą pośrednią wyzwolić choroby psychiczne, które z pierwotną intoxykacją żadnej już nie wydają się mieć łączności, jak bredzenie mocznicowe, albo żółtaczkowe. Tego rodzaju mechanizm prawdopodobnie przyjąć trzeba przy powstaniu bredzenia drżennego alkoholików, co niektórzy przypisują konsumcji wódek gorszego gatunku z przymieszkami alkoholu metylowego i amylowego, oraz eterycznych olejków. Przeciwko ostatniej koncepcji przemawia jednak fakt, że wedle Lewina i u przewlekłych eteromanów występuje delirium podobne do alkoholowego, połączone często z kurczami. Zmiany psychiczne, powstałe na tle przewlekłej konsumcji eteru są, wedle Heiberga, identyczne z zaburzeniami przewlekłego alkoholizmu. Schröder w nowszej literaturze (Intoxikations — Psychosen 1912) nie znalazł wzmianki o charakterystycznych dla eteromanji psychozach. Bumke w najnowszem dziele zbiorowem twierdzi, że „metatoxycznych" psychoz eterowych podobno nie zaobserwowano. Coraz więcej badaczy psychoz intoksykacyjnych odchodzi od tezy, że choroba wywiązuje się w wyłącznej zależności od trucizny. Wielki nacisk kładą oni na ważność wewnętrznych sił i mechanizmów w człowieku. Odzywają się nawet w najnowszych czasach głosy, przypisujące truciźnie rolę uboczną, a główną osobistej konstytucji. Oczywiście przy takiej grze sił można sobie przedstawić całą skalę obrazów chorobowych zależnych od współudziału jednego, lub drugiego czynnika. Pogląd Gauppa, że nie jedna, lecz więcej przyczyn wywołuje chorobę, narzuca się nie tylko w psychjatrji, lecz i w innych dziedzinach nauk lekarskich. Sterz odróżnia przy exogenicznych uszkodzeniach mózgu objawy zasadnicze i akcesoryczne, względnie fakultatywne. Do objawów zasadniczych zalicza Sterz otumanienie, delirium, zespół amnestyczny, organiczne otępienie i kompleks objawów neurastenicznych, zaś do fakultatywnych — padaczkową drażliwość, stany manjakalno-depresywne, majaczeniowe, paranoidalne i katatoniczne. W powyższem naświetleniu kwestji przez Sterza staje się zrozumiałem zagadnienie przyzwyczajenia z jednej strony i nałogowego pędu do oszałamiania się narkotykiem („Sucht") z drugiej strony. Osoba, którą jakiekolwiek bóle zmuszają ciągle nanowo do zażywania morfiny jeszcze nie jest nałogowcem. Również nie można nazwać kogoś nałogowym pijakiem, jeżeli przyzwyczajony jest do pewnej dawki alkoholu. Widocznie leży w osobowości człowieka, w jego ustroju pewne niedociągnięcie charakteru czy usposobienia, z którego wyrasta nałogowy pęd do narkotyku. Trzeba więc przy problemie niniejszym rozróżniać ogólne zaburzenia właściwe wszystkim ludziom od sposobu działania osobniczego. Ogólne zaburzenia odnoszą się do przyzwyczaje-

nia, indywidualne od nałogowości. Niektóre trucizny bowiem pomiędzy innemi i eter, charakteryzuje właściwość, że w miarę używania jej, następuje coraz większe przyzwyczajenie się do jej działania, wymagające co pewien czas podwyższenia dawki, ażeby osiągnąć ten sam stopień oszołomienia. Takie przyzwyczajenie polega na zdolności organizmu do znoszenia trucizny we wzrastających dawkach wzgl. nabyciu odporności na truciznę. W ten sposób staje się trucizna składnikiem poniekąd normalnym organizmem, którego bez naruszenia gospodarki ustrojowej, usunąć nie można. Tem się tłómaczy przy przyzwyczajeniu wystąpienie, w razie przerwania stosowania trucizny, t .zw. objawów abstynencji, wśród których dominuje gwałtowne pragnienie narkotyku. Istnieje więc pewna łączność między przyzwyczajeniem a nałogiem, ale nie każde przyzwyczajenie prowadzi do nałogu. że nałogowe oszałamianie się nie jest uzależnione od przyzwyczajenia, dowodzi doświadczenie, że wielu nałogowców nie poprzestaje na jednym narkotyku, lecz zdradza pewną skłonność do różnych trucizn oszałamiających.

Po teoretycznem rozpatrzeniu kwestji zatrucia eterem, pozostaje nam wyciągnięcie wniosków praktycznych. Przekonaliśmy się, że eter jest środkiem równie niebezpiecznym, a może nawet niebezpieczniejszym dla organizmu ludzkiego, niż alkohol.

Jeżeli chodzi o leczenie eteromanji, to jesteśmy w takiem samem położeniu, jak przy leczeniu alkoholizmu. Tak opilstwo alkoholowe, jak i konsumowanie eteru jest nie tylko nałogiem, ale i chorobą z zatrucia przewlekłego. Najlepszem leczeniem jest i tutaj zapobieganie chorobie przez abstynencję. Gdy monopol spirytusowy, z którego państwo czerpie poważną część swych dochodów czyni walkę z alkoholizmem z góry iluzoryczną, to rozporządzenie z d. 22 lutego 1928, uniemożliwiające zasadniczo nabywanie eteru w drodze legalnej, stawia nas z góry w walce z eteromanją w lepszej bez porównania pozycji.

Chodzi obecnie tylko o zatkanie nielegalnego źródła dostawy eteru na drodze dyplomatycznej. żadna inna akcja, zdaniem mojem, plagi eteromanji na Śląsku nie wytępi.

Dr. E. Cyran,
Dyrektor Zakładu Psychjatrycznego w Lublińcu.

N E K T A R Y.

W związku z walką z alkoholizmem w Polsce musi się myśleć o wskazaniu korzystnego dla gospodarstw rolnych sposobu zużytkowania ziemniaków, w wielkich ilościach przetwarzanych na wódkę.

W krajach winogron i obfitej uprawy innych owoców, jeśli nie cały, to olbrzymią większość plonu przerabia się na wino. Uprawa winogron na glebach skalistych, na których nic innego nie rośnie, bywa jedynym środkiem utrzymania wielu właścicieli winnic. Nadmiar innych owoców tylko dzięki przeróbce na wina owocowe daje się uratować od zgnicia i wyrzucenia. Gdy zważymy, że winnice zajmują olbrzymie obszary, a wsie toną w sadach, zrozumiemy, że łącznie z propagandą przeciwalkoholową powstaje w tych krajach bardzo poważne zagadnienie

zużytkowania winogron i innych owoców w odpowiedni sposób, choćby nieco mniej zyskowny, niż w przemyśle alkoholowym.

Organizacje przeciwalkoholowe owych krajów nie mogą wobec takiego zagadnienia przejść obojętnie, gdyż nie ulega wątpliwości, że w tych warunkach zaniechanie używania wina spowodowałoby daleko idące zaburzenia gospodarcze. Aby więc właścicielom winnic i sadów ułatwić zbyt owoców, akcja przeciwalkoholowa propaguje masowy wyrób soków owocowych bezalkoholowych, t. zw. nektarów. — Jeżeli wino jest tak tanie, że zastępuje wodę jako napój, to mogą ją zastąpić surowe soki bezalkoholowe. Ludność pijąca zamiast wina nektary, zyskuje podwójnie, bo, nie spożywając trującego alkoholu, ma w nektarach cenne witaminy, jak w samych owocach. Zużytkowanie owoców na wyrób nektarów, jest tak ważnem zagadnieniem gospodarczem, że propagandę na korzyść soków owocowych włączono do *metody walki z alkoholizmem,* jako nieodłączne zadanie ruchu przeciwalkoholowego krajów południowych.

Przetwórstwo owoców na nektary najsilniej rozwinęło się w Szwajcarji i w Niemczech, w krajach wysoko rozwiniętego sadownictwa.

Wzorując się w pracy przeciwalkoholowej na doświadczeniach i metodach zagranicznych, także w Polsce kilkakrotnie próbowano do zadań walki z alkoholizmem wprowadzić szeroko zakrojoną propagandę wyrobu nektarów, co jednak nigdy nie dawało dodatnich wyników.

Działacze przeciwalkoholowi w Polsce, usiłujący na wzór zagranicy spowodować powszechne używanie nektarów, przeoczyli najważniejszy szczegół tej sprawy, a mianowicie, że *punktem wyjścia dla propagandy bezalkoholowego przetwórstwa owocowego jest zagadnienie gospodarcze,* nie mające u nas żadnego znaczenia, a już zupełnie nie istniejące w Finlandji, lub północnej Norwegji. W Polsce przeocza się fakt, że u nas niema z czego tłoczyć soków owocowych. Nie wchodząc w przyczyny, wystarczy stwierdzić, że wszystkie istniejące w kraju sady nie pokrywają bardzo, a bardzo skromnego zapotrzebowania owoców i ich przetworów. Już przy tem skromnem spożyciu, brak owoców jest tak duży, że nie licząc pomarańcz, cytryn, fig i innych owoców południowych, spożywamy rocznie około 100.000 q. owoców sprowadzanych, takich jak jabłka, śliwki, wiśnie, morele, w stanie surowym, suszonym, lub też w postaci przetworów jak marmolady, powidła, kompoty, soki syropowe i t. p. — Z wszelkich owoców dysponujemy tylko nadwyżką jagod leśnych, które wysyłamy zagranicę. Wobec takiego braku owoców, produkowanie w Polsce na wielką skalę nektarów nie odpowiada możliwościom rodzimego gospodarstwa owocowego, więc i nie może mieć widoków powodzenia. — W związku z brakiem owoców wszelkie napoje owocowe muszą być u nas niepomiernie drogie, a w każdym razie za drogie w stosunku do innych napojów bezalkoholowych. Oczywiście istnieje podstawa, by soki owocowe, przedstawiające duże wartości odżywcze, były droższe niż sztuczne lemonjadki, ale u nas nie korzysta się z takich samych wartości odżywczych owoców właśnie dlatego, że są zadrogie, a temsamem niedostępne dla najszerszych warstw ludności.

Zagraniczna propaganda przetwórstwa owocowego, mająca przed sobą główny cel: *zużytkowanie owoców,* posługuje się wszelkiemi możliwymi sposobami zachęty do używania soków owocowych. Łącząc tą pro-

pagandę z akcją trzeźwościową wskazuje się na możliwość wyrugowania nektarami napojów alkoholowych, podsuwa się soki jako napoje *zastępujące* napoje alkoholowe i przydatne do trzeźwego przyjmowania gości. — Zwraca się uwagę nawet na to, że abstynenci, mając nektary, nie potrzebują się żenować z powodu pustki swych gościnnych stołów, bo i oni mogą ustawić na stole flaszki z „płynnym owocem“.

Te i podobne argumenty stosuje się *jako środek do celu,* którym jest bezalkoholowe *zużytkowanie nadmiaru owoców.*

W Polsce ten cel odpada, ale propagatorzy wyrobu nektarów posługują się tą samą argumentacją, jako programowym czynnikiem w walce z alkoholizmem, chociaż istnienie czy nieistnienie nektarów w najmniejszym stopniu nie może zaważyć na powodzeniu w Polsce akcji przeciwalkoholowej. Zapewnienia o roli napojów bezalkoholowych, jaką mają odgrywać w zwalczaniu alkoholizmu, nie mają wartości pewników.

Zastąpienie napojów alkoholowych napojami bezalkoholowymi, a tem samem rugowanie nimi trunków, jest dalekie od fizycznej możliwości.

Gdy chodzi o zastąpienie napojów alkoholowych, to wszelkie najwymyślniejsze nawet sposoby okażą się nieprzydatne wobec prawdy, że napojów alkoholowych *zastąpić nie można niczem*, a pozatem zastępować ich *nie potrzeba.*

Napoje zastępujące alkohol można dostarczać alkoholikom, lub abstynentom.

Co się tyczy pierwszej kategorji spożywców, to wódki, piwa, wina, rumu i t. p. nie można zastąpić żadnym napojem wolnym od alkoholu. Te trunki pija się przecież nie z potrzeby spożywania płynu, ale wyłącznie tylko dlatego, że w nich jest alkohol. Trzeba też pamiętać, że jeść i pić zdoła człowiek tylko tyle, *ile może,* natomiast napojów alkoholowych pija *tyle ile nie może,* bo każda szklanka wypitego napoju alkoholowego powoduje nowe pragnienie i nowe pożądanie picia. To też najbardziej wyszkolony piwosz nie potrafi wypić tyle nektaru, ile wypije piwa. Choćby więc jak chcieć, nie uda się piwoszowi podsunąć kufli z nektarem, bo ich nie zdoła wypróżnić.

Alkoholikom nic alkoholu nie zastąpi. Chyba inny narkotyk.

Trudne do pomyślenia jest zastąpienie napojów alkoholowych nektarami, gdy chodzi o obyczaj pijacki. Kto całemi nocami przesiaduje w szynku, lub do domu zaprasza gości na uczty alkoholowe, ten nie popatrzy nawet na nektary, bo one mu popsują cały plan „zabawy“. Gdyby stoły karczmy zastawić kieliszkami z nektarem, rychło opustoszałaby karczma z tłumu, który tam przyszedł *szukać narkotyku.*

Inaczej ma się rzecz z drugą kategorją spożywców, z abstynentami. Pytanie: „Czem zastąpić napoje alkoholowe“?, gwałtownie upominające się o odpowiedź, nasuwa się wszystkim, którzy jeszcze piją napoje alkoholowe. Z chwilą, gdy ktoś odrzuci alkohol, pytanie to znika, a odpowiedź na nie zupełnie nie zaciekawia. — Znam wielu długoletnich abstynentów, znam ich dzieci, które nigdy nie próbowały alkoholu. Ci ludzie są tak dalecy od myśli „popijania sobie“, że ze zdumieniem słuchają prelekcji o jakiemś zastępowaniu napojów alkoholowych i nie mogą zrozumieć potrzeby zastępowania czegoś, czego zupełnie nie znają.

Abstynent nie pije napojów alkoholowych i na tem sprawa się kończy.

Niema najmniejszej potrzeby uczyć abstynenta pijania jakiegoś innego płynu.

Gdyby stałe, lub okolicznościowe wypijanie pewnej ilości płynów, jakie codziennie lub okolicznościowo wypijają alkoholicy, było koniecznością fizjologiczną, w takim razie abstynenci musieliby mieć jakieś *swoje inne napoje.* Ponieważ jednak trunki alkoholowe pija się nie z potrzeby, ale dla ich specyficznych właściwości, więc abstynent *nie potrzebuje* ich w swem życiu niczem zastępować. Abstynent pije tylko wówczas gdy ma pragnienie, a do tego celu prócz dobrej wody istnieje już u nas dostateczna ilość napojów chłodzących i soków owocowych, więc wyszukiwanie nowych *napojów dla abstynentów* jest niepotrzebną stratą czasu, tem więcej, że wobec zasadniczej powściągliwości od picia, abstynenci polscy nie wypiją rocznej produkcji nawet jednej poważnej wytwórni nektarów.

Spożywaniu napojów chłodzących sprzyja w Polsce bardzo krótki okres naszego lata. W porze wzmożonego pragnienia z przyczyny upałów odchodzą wszelkie napoje chłodzące. Niezaprzeczenie *byłoby korzystniej pijać witaminowe soki owocowe,* niż różne lemonjadki z sacharyną i farbą, ale ze wszech miar pożyteczna w tym kierunku propaganda może być *programowem zadaniem* raczej sadownictwa, czy higjeny, niż akcji przeciwalkoholowej.

Zadanie abstynentów w sprawie witaminowych soków owocowych może się ograniczać tylko do spowodowania, by one były pod ręką w gospodach, restauracjach kolejowych, schroniskach turystycznych i t. p. — Jeżeli dziesiątki tysięcy abstynentów będzie żądało takich napojów, to napewno znajdą się one dla nich, bo jest to rzecz kupiecka mieć towar, cieszący się popytem.

Chodzi tylko o ten właśnie popyt, o licznych konsumentów. — Sztucznie stworzyć go nie można, choćby nawet wszyscy nasi abstynenci zmuszali się do wypróżniania flaszek z nektarem „z poczucia obywatelskiego", by popierać bezalkoholową wytwórczość.

Narzucanie programowi walki z alkoholizmem zajmowania się propagandą napojów „zastępczych", jest metodą niewłaściwą i dla ruchu przeciwalkoholowego niekorzystną, bo skoro za ważną rzecz uzna się konieczność „zastąpienia napojów alkoholowych", aprobuje się tem samem alkoholową zasadę picia dla picia. — Ruch abstynencki walczyć jednak musi nietylko z trunkami, ale także z przekonaniami i obyczajami, jakie ukształtowały się dzięki alkoholizmowi.

Tymczasem w fatalny sposób obyczajom alkoholowym składa hołd zajmowanie się zagadnieniem nektarów z myślą, by było czem gości przyjąć.

Abstynentowi bynajmniej nie licuje chlubić się, że i on ma „swoją" *flaszkę* i swój kieliszek — tylko napełniony „płynnym owocem", że on także może spełniać *toasty,* chociaż bezalkoholowe. Starając się o dostarczenie abstynentom flaszki, tego symbolu alkoholowego pijaństwa, pouczając ich o urządzaniu gościnnych przyjęć z flaszkami, kieliszkami i bezalkoholowymi toastami, nie zawsze zdajemy sobie sprawę, jak dalece robi się tem ustępstwo, zrodzonej przez obyczaj alkoholowy, tęskno-

cie za flaszką, że choćby tylko wspominając o możliwości bezalkoholowego toastowania, sankcjonujemy najwstrętniejszy wykwit obyczaju pijackiego. Przecież toasty i wszystkie zrośnięte z nimi obrzędy wymyślili alkoholicy specjalnie na to, by stworzyć jeszcze jedną „usprawiedliwioną“ sposobność do wypicia jeszcze jednego kieliszka. Toć jest charakterystyczne, że najbezwstydniejsi nawet pijacy zawsze starają się szukać jakiegoś banalnego uzasadnienia i usprawiedliwienia swego picia.

Sprawa przyjęcia gości w domach abstynenckich jest zupełnie krótka. Goście abstynenta, którzy przyszli w przyjacielskie odwiedziny, nie oczekują od niego jadła i napitku. Jeśli zaś goście po to tylko przychodzą, by się dobrze napić, to o takich gości wcale dbać nie warto. Usuwając z przyjęć gości szereg zwyczajów, streszczających się w obżarstwie i pijaństwie, w niczem nie sprzeniewierzymy się polskiej gościnności, bo ta tradycyjna, wybujała gościnność mniej była prawdziwą gościnnością, ile raczej obfitym poczęstunkiem alkoholowym, miłym raczej gospodarzowi niż gościowi.

Propaganda przeciwalkoholowa jest wtedy dopiero zupełnie racjonalna, gdy ruguje nietylko używanie napojów alkoholowych, ale bezkompromisowo ustosunkowuje się do wszystkich alkoholowych naleciałości, które wżarły się w życie rodzinne i społeczne.

Jeżeli zagranicą sprawa nektarów jest tak ważna, że nawet usprawiedliwia stosowanie środków propagandy, niezawsze zgodnych z zasadą abstynencji, to wprowadzanie tego samego w program walki z alkoholizmem w Polsce jest tylko chęcią naśladowania wzorów obcych. W Polsce mamy już taki zwyczaj, że chętnie wzorujemy się na zagranicy, nie zawsze pytając, czy dana rzecz dobra dla Francji lub Grecji, jest także dobra dla nas.

Alkoholizm w Polsce w wielu szczegółach odbiega od norm zagranicznych, więc powinniśmy skierować swe wysiłki raczej na to, by ustalić dla nas odpowiednie metody walki z alkoholizmem, niż naśladować sposoby dla nas nieprzydatne, tylko po to, by po pewnym czasie przekonać się, że przeszczepianie danego systemu na grunt polski jest robotą nieproduktywną, gdyż trafia w próżnię.

Mikołaj Skiba.

KOLOROWY I BIAŁY.

Polanka, otoczona z trzech stron rycynusami, była w tej chwili pusta i cicha, tylko z niedalekiej wioski Yaguasów dochodził przytłumiony odgłos tam-tamu.

Słońce rzucało jeszcze swoje palące strzały, przed któremi zwierz i człowiek chowali się w cień i gąszcz — ale już zaraz miał zapaść szybki podzwrotnikowy zmierzch, również duszny i gorący.

Palmy papagowe stały wyprostowane, nieruchome... najmniejszy powiew wiatru nie orzeźwiał omdlewającej z upału ziemi, suchej i potrzaskanej. Dźwięki muzyki zbliżały się—oparte na dysonansach, piskliwe, przechodzące w niesamowity jazgot — wreszcie ukazał się człowiek, podobny do ciemnoskórego Pana, przy ustach trzymał bambusową flet-

nię i przebierał zręcznie palcami. Obok szedł drugi, ten miał fujarkę z kości czapli, wydającą właśnie te wysokie, skomlące tony. Trzeci — stary, o pomarszczonej twarzy, niósł bęben, obciągnięty małpią skórą i uderzał weń silnie kawałkiem drzewa. Ostatni wreszcie potrząsał gwałtownie czemś w rodzaju kastanietów, zrobionych misternie z wydrążonych orzechów. Dźwięki stawały się coraz niecierpliwsze, coraz głośniejsze.

Polanka zaczęła się zapełniać. Małemi grupkami ściągali mieszkańcy wioski. Mężczyźni natychmiast zasiedli półkolem, kobiety i dzieci zaczęły znosić kawałki drzewa, liście palmowe i gałęzie — po chwili buchnął jaskrawym płomieniem na tle ciemnej nocy stos. Palił się coraz jaśniejszą czerwienią, oświetlając twarze Yaguasów, którzy w milczeniu oczekiwali na coś.

Wtem — bęben zagrzmiał donośniej: zjawił się król plemienia, stary, o długich, czarnych włosach, zebranych w czub i przystrojonych piórami.

On jeden pomiędzy nagim tłumem poddanych, jako znak swej godności — miał koło bioder zawiązany fartuszek z ziarn świętej rośliny, nanizanych na włókna i zakończonych małemi muszlami. Z powagą zasiadł na macie koło ogniska i klasnął w dłonie. W tej chwili wynurzyły się z ciemności postacie kobiece, dźwigające na głowach wydrążone tykwy — pełne „czi-czi".

Na przedzie szła zgarbiona, wyschła babina, której, jako najstarszej przypadał zaszczyt robienia zaczynu z korzenia bulwiastej „jaki". Ona to musiała żuć ów korzeń przez kilka tygodni, aby zrobić zaczyn czi-czi. A gdy zaczął fermentować, przyrządzała napój na dni uroczyste. Dziś właśnie był taki dzień.

Muzyka przyśpieszyła tempo, wojownicy porwali się z miejsc i zaczęli zakreślać wielkie koło, potrząsając dzidami.

Rozpoczął się taniec wojenny.

Fujarki wydawały dźwięki coraz piskliwsze, bęben warczał coraz głośniej, tempo tańca przechodziło w jakiś zawrotny, opętany wir, dzidy uderzały jedne o drugie, twarze pokryły się potem.

Co chwila któryś z tańczących wyrywał się z koła i pił chciwie podawany przez kobiety napój.

Przed królem stała cała miska z orzecha kokosowego, czerpał z niej ciągle, aż upierzona głowa zaczęła się chwiać na wszystkie strony i wreszcie niepomny na swoją godność, zerwał się z maty i puścił w dzikie pląsy.

„Czi-cza" uderzała do głów, śpiew kobiet brzmiał monotonnie, mężczyźni, wydając jakieś nieartykułowane dźwięki, coraz namiętniej rzucali się wokół ogniska. Olbrzymi Mguri przewodził, błyskając sinawemi białkami oczu i szeregiem olśniewających drapieżnych zębów. Oczy te zatrzymywały się chwilami na młodym Tulinczim, który siedział przy córce wodza Aduwaja i popijał z nią z jednej tykwy. Dziewczyna śmiała się głośno, a chłopak z zamglonemi trunkiem i żądzą źrenicami mówił o tem, że jutro pójdzie do jej ojca i weźmie ją do swej chaty.

Nagle Mguri wyłamał się z koła i stanął przy Tulinczim.

— Odejdź! ona jest dla mnie.

Dziewczyna trwożliwie spojrzała na wielkoluda.

— Mały Tulinczi nie ulęknie się silnego Mguri, niech wódz sam powie, komu jego córka o nogach antylopy — ma warzyć strawę i piec placki.

Chrapy szerokiego nosa olbrzyma rozdęły się z wściekłością.

— Odejdź, mówię, inaczej...

Tulinczi porwał się na równe nogi.

— To ty odejdź!...

Ale nim wymówił ostatnie słowo — już Mguri runął nań, jak lew na jelenia i jednem uderzeniem powalił na ziemię.

Chłopak jednak porwał się i zaczął odbijać ciosy.

Przerwano taniec.

Zwarty tłum otoczył zmagających się mężczyzn.

Szerokobary Mguri miał w sobie siłę niedźwiedzia, lecz, jak niedźwiedź, był ciężki i niezręczny.Tulinczi przewyższał go ruchliwością i szybką decyzją. Biegał koło olbrzyma, zadając mu nietyle bolesne — ile częste razy, a ilekroć Mguri podnosił swoją węzłowatą pięść — uchylał się zręcznie i skakał koło przeciwnika, jak mały, kąśliwy psiak. Mężczyźni śmieli się głośno z tych zapasów, co doprowadzało Mgurego do wściekłości, a dodawało animuszu Tulinczemu.

Kobiety powtykały głowy między ramiona mężów i braci — i ciekawemi oczyma śledziły zapaśników.

Ogniste języki rozdzierały ciemność i jaskrawemi plamami kładły się na rozgrzane trunkiem i tańcem twarze.

Dogadywano coraz głośniej ciężkiemu Mguri, a kiedy upatrzywszy chwilę nieuwagi — mały Tulinczi uderzył mocno swego wroga w nos — rozwścieczony olbrzym pochylił się i chwycił leżącą na ziemi ostrą dzidę z drzewa żelaznego...

Chwila — i Tulinczi padł z przebitą piersią.

Wśród kobiet dał się słyszeć przeraźliwy krzyk.

Mguri stał oszołomiony i otępiały, mrugając nieprzytomnie powiekami. Ale już kilkanaście ramion wyciągnęło się ku niemu, kilkanaście głosów krzyczało z gniewem:

— Mguri morderca!...

— Mguri — tak niewolno!...

— Mguri zapłaci za to!...

Krewni i przyjaciele jednego i drugiego już stanęli naprzeciw siebie — jeszcze chwila — i rozpocznie się bój śmiertelny.

Ale król skinął ręką.

Chwiał się na nogach, ale przemówił gromko:

— Ja tu rządzę!...

Młodzi pochwycili trupa Tulinczego i rzucili mu pod nogi.

Leżał nagi, młodzieńczy, spokojny, krew już zakrzepła na ciemnej piersi, ale szeroko rozwarte źrenice patrzyły w niebo z niemą skargą.

— Mguri! — zawołał król.

Zbliżył się wahająco z opuszczoną głową i stanął.

— Mguri! Zabiłeś brata!... Starsi z plemienia niechaj wydadzą sąd!....

— Krew za krew!... Krew za krew!... rozległ się krzyk.

Mguri milczał.

— — — — — — — — — — — — — —

Gwar rozmów — potoki światła, ścisk, stolik przy stoliku, a na środku trochę wolnej przestrzeni... Kręcą się pary podniecone, zdenerwowane...

Dancing.

Jazz-band huczy, piszczy, rozrywa uszy dzikim skowytem... a goście bawią się, flirtują, piją... zwłaszcza piją...

Między stolikami ze zręcznością akrobatów lawirują kelnerzy z tacami pełnemi butelek i wytwornego szkła.

Leje się alkohol w gardła ludzkie, temperatura humorów podnosi się wciąż o kilka stopni.

Tu gruby, łysy przemysłowiec sączy z lubością z opuszczonemi powiekami złocistego „benusia", mlaskając co chwila językiem, podczas, gdy jego żona omdlewa w objęciach przystojnego fordansera, który jej szepce cyniczne komplementy.

Przy drugim stoliku wesoło i głośno rozprawia grono oficerów... młody porucznik rzuca zaczepne spojrzenia na lewo, gdzie dwóch wykwintnych panów prowadzi ożywioną rozmowę ze wspaniale wystrojoną damą o platynowych włosach i dekolcie, sięgającym pasa.

— Nie wiesz, kto to taki?... — pyta porucznik jednego z kolegów.

— Znam wszystkie — zahuczał czerwony major — to nie artystka... chyba kokota... z tych lepszych...

— Zaproszę ją do tańca...

— Daj pokój, Stefan... może to żona jednego z tych cymbałów — djabli wiedzą... dziś nie odróżnisz — dama czy półświatek...

— Tu knajpa, więc każdą można zaprosić...

— Niczego niewiasta... przymrużając jedno oko, zaopinjował szczupły kapitan.

— żona czy nie żona... co mnie to obchodzi...

Porucznik podnosi się z miejsca i zbliża do platynowej blondynki— ukłon... za chwilę przytuleni do siebie wykonywują niesamowite ruchy najmodniejszego tańca... przeprowadza ich niechętny wzrok jednego z jej towarzyszów.

Cichy szept... bezczelny uśmieszek... raz, drugi i trzeci okrążają salę — wreszcie ukłon — odchodzi.

— No, jakże?... pytają ze śmiechem oficerowie.

— Szampańska kobieta!...

— No to wypijmy ten kieliszek szampana za szampańską kobietę...

Zadźwięczało szkło.

Dama wachluje się gwałtownie kartą win.

— Czy to taniec, czy też porucznik tak podziałał na ciebie? — pyta zjadliwie brunet.

— Jedno i drugie... wybuchnęła perlistym śmiechem... Ależ zgrabny chłopczyna!...

— Nie wiedziałem, że masz sentyment do mundurów...

— Mam, trudno... — śmiała się ciągle...

— Pani Irena chce wzbudzić w tobie zazdrość...

— Olala!....

Wypiła duszkiem musujące wino, rozparła się wygodnie i upier-

ścieśnioną ręką poprawiła włosy, rzucając z pod opuszczonych rzęs zaczepne spojrzenie w stronę oficerskiego stolika.

Po chwili znów stał przed nią — wysoki i zgrabny, z płonącemi oczyma.

— Pani pozwoli?...

— Chętnie...

— Jesteś zmęczona... pan wybaczy — przerwał brunet — sama skarżyłaś się niedawno...

— Mylisz się, czuję się doskonale, Henryku.

Taneczny wir pochłonął nową parę.

— Ale zazdrosny jesteś, Heniu — śmiał się przyjaciel — czy warto? — i napełnił znowu kieliszki.

— Zazdrosny? dajże pokój!... nie lubię tylko, gdy kto mi wchodzi w drogę. Ten młokos działa mi na nerwy.

Poszukał ich wzrokiem i nagle zaczerwienił się gwałtownie, fala krwi zalała mu całą twarz aż po korzenie włosów: zobaczył, jak usta oficera musnęły szyję Ireny w przelocie.

Gdy wróciła na miejsce, żegnając swego dansera powłóczystem spojrzeniem — Henryk zagryzł wargi i rzucił z przyciskiem:

— Zachowujesz się jak ostatnia... Ten smarkacz za wiele sobie pozwala...

— Co?... Czego ty?...

— Chyba nie zaprzeczysz, że pocałował cię...

— Zaprzeczę... przewidziało ci się...

— Więc jestem ślepy — według ciebie...

Tu wmieszał się pan Edward.

— Ależ uspokójcie się... głupstwo... przyszliśmy tu, aby się zabawić, a wy...

— Ma pan zupełną słuszność! ten Henio jest niemożliwy ze swemi kaprysami....

— Dobrze już, dobrze... Mam jednak nadzieję, że już tylko nam dotrzymasz towarzystwa.

— Wątpię — zaśmiała się prowokacyjnie.

— Nie radzę, bo tego oficerka nauczę moresu.

— Albo on ciebie...

Bawiło ją niesłychanie, że ten poważany przez wszystkich prezes wielu instytucji, wybitna jednostka, działacz społeczny, o którym tak rozpisywały się gazety — robi jej sceny z powodu jednego tańca.

— Ach!... jacy ci mężczyźni są głupi, wszyscy, wszyscy... pomyślała.

Pan Edward zaperzył się.

— I znów zaczynacie?... Moi państwo... zostawcie na później te małżeńskie swary. Teraz pijmy! życie jest piękne, nie trzeba je tylko sobie utrudniać...

— O, tak... — westchnęła Irena i promień jej oczu strzelił znów do sąsiedniego stolika, gdzie piękny porucznik podniósł kieliszek i ruchem w jej stronę dawał znak, że pije jej zdrowie.

Tę niemą grę pochwycił Henryk i wściekłość zamigotała w jego zimnych, bladych źrenicach.

— Obserwuję tego męża, czy kochanka twojej damulki, jest w pasji — nie radzę więc się zbliżać...

— Cóż to? boję się go?... żartujesz chyba...

— Siedź, Stefan... dokąd idziesz?

— Idę tańczyć... zobaczycie...

— Dajże pokój! nóżki ci się plączą, język również...

— Cooo?... co ci się zdaje?... — zerwał się porucznik — idę... Właśnie idę... będę tańczył z kim mi się podoba...

Po drodze trącił kelnera aż zadzwoniły filiżanki i przybory do czarnej kawy, zaczepił nogą o krzesło i znalazł się przed panią Ireną.

— Jeszcze jedno tango... pani raczy...

Henryk chwycił za rękę powstającą Irenę.

— Nie, panie, pani nie raczy...

— Dlaczego? ja pana nie zapraszam, a pani mi jeszcze nie odpowiedziała...

— A ja panu mówię, że pani nie będzie tańczyła z panem.

— A to czemu, jeżeli wolno zapytać?

— Wolno!... bo pan jest nietrzeźwy...

— Tak, jak i pan...

Blondyn, widząc, że zanosi się na awanturę—zaczął pojednawczo:

— Moi panowie, o co chodzi? Pani rzeczywiście zmęczona, zaraz wychodzimy...

— Wcale nie wychodzimy! — krzyknął Henryk — ktoś mi się nie podoba i dlatego mam...

— Co pan powiedział?

— A ja zatańczę... wstała p. Irena.

— Siadaj! ryknął Henryk—dość mam już tych idjotycznych tańców...

— Wypraszam sobie podobne traktowanie... — syknęła Irena.

— Pan obrażasz damę... — ja na to nie pozwolę...

Alkohol, gorąco, niezdrowa atmosfera dancingu i pasja, zwierzęca pasja — uderzyły do głowy Henryka.

— Ty nie pozwalasz, smarkaczu?!... i jego ręka podniosła się na wysokość twarzy oficera, lecz nim spadła — ten błyskawicznym ruchem skręcił ją na dół, wyrwał z kieszeni rewolwer i...

W niesamowity jazgot jazzu wdarł się głuchy huk strzału i krzyk kobiecy.

Powstało zamieszanie: zrywano się od stolików, kelnerzy biegli na miejsce wypadku, śmiertelnie blady przyjaciel ranionego biegł do aparatu, a p. Irena podtrzymywała głowę leżącego na posadzce Henryka: wąskie pasemko krwi spływało z czoła, plamiąc jej jasną suknię.

Wyfraczeni mężczyźni i dekoltowane kobiety cisną się naokół i cofają z przerażeniem na widok ponsowych plam i nieruchomej maski leżącego.

Oficerowie otoczyli porucznika — major odebrał mu broń... a on stał nieprzytomnie patrząc wokół. Jeszcze chwila i na salę wkroczyła policja, ozwał się za oknami sygnał pogotowia, szybkim krokiem wbiegł lekarz, przykląkł i badał ranionego.

— Nie żyje...

Goście rozbiegli się w popłochu, dzielnicowy zaczął spisywać protokuł, zmarłego przykryto obrusem, a Edward cucił mdlejącą p. Irenę.

Na sali zrobiło się pusto... tylko służba sprzątała ze stołów butelki i kieliszki...

W powietrzu unosił się mdły zapach alkoholu.

— — — — — — — — — — — — — —

Tam — w podzwrotnikowej dżungli leżał związany dziki, kolorowy człowiek, czekając na karę, a tu na odwachu biały oficer przemierzał nerwowym krokiem celę.

Opary alkoholu dawno wywietrzały z tej młodzieńczej głowy, a teraz rozpacz wyzierała z błękitnych oczu: sprawa, sąd, karjera wojskowa stracona, degradacja...

Na sumieniu zabójstwo nieznanego, który mu nic złego nie zrobił... Wstyd... hańba... upokorzenie...

— — — — — — — — — — — — — —

I po przez dalekie lądy i oceany spotykały się myśli kolorowego i białego człowieka, myśli ciężkie...

Jeden — z puszczy podzwrotnikowej barbarzyńca — mruczał do siebie jękliwie: „to nie ja, to czi-cza, to czi-cza...“

Drugi — na wysokim poziomie kultury, wykształcony, mieszkaniec świetnej stolicy — łamał ręce i szeptał: „Czemu ja tyle piłem, czemu piłem?!...“

Jeden i drugi — mordercy, działający pod wpływem odurzającego napoju, obaj w danej chwili jednakowo dzicy, obaj niepoczytalni i obaj zrównani w winie i karze:

Nagi Mguri i piękny oficer...

Po przez całą szerokość globu podają sobie ręce...

— — — — — — — — — — — — — —

A demon alkoholu rozpostarł szeroko po nad światem swe olbrzymie skrzydła, zaciemniając słońce — wykrzywił twarz upiornym grymasem — i śmiał się szyderczo, śmiał długo i urągliwie!...

J. Mori.

DZIADOWSKIE WYCHOWANIE.

Tfy, wstydziłaby sie pani lepi, tako pani szewcowo! Dziadoskie wychowanie! Niech pani zamyko okno, niech, i tak swoje powim, wszyściuchno wygarne, niech sie cołki naród dowi, jakie panine dzieci majom wychowanie! Tfy! Tako pani szewcowo, kobita bogobojno, co tydzień z famieljom do kościoła chodzi, a dzieci wychować nie poredzi. Cóż to jest, żebytaki szewcki bynkart śmioł sie naigrowoć ze starszygo? Do ce-

góz to podobne? Przecie jo i mój to sie juz na podwyrku pokozać ni możymy, bo zaroz sie zacynają przyśmiszki, a zacypki.

Niedowni jak wcoraj mój wrócił z roboty do dumu i na rogu kole elektrowni, gzie ta wielka kałuża, mój sie poślizgł i obalił akurat w to błocko. Całkom kapote swaloł, żem prać musiała, bo przecie drugi na przewleczynie nimo. To podobnoś, jak mój szedł bez podwórze, to te huncwoty chłopoki od szewca tak sie tam bez okno z niego naśmiwały, że trudno wytrzymać. Powiedała mi meglarka z przeciwka, bo wszystko widziała. To tak idzie robić? To tak sie należy uszanować storszych? To mój tak się spracował, jak tyn kuń, bo akurat wtyncos nowy transport wyngla do składu przysłali i składnik obiecoł, że jak pryndzy waguny rozładują, żeby nie płacił osiowygo, to im zafonduje. To mój tak sie zawziun do ty roboty, te drugie tyż, że ani obiadu nie patrzoł, z pełnymi gorckami żym na południe wróciła. Ale waguny na cas rozładowały. Zaś im składnik postawił; mój nacco był, gorzołka mu do łba uderzyła, poślizgł sie, obolił, no i swaloł. To takie szewckie bynkarty bydum sie ze starszygo naśmiwać. Tfy, dziadoskie wychowanie, nic wincy. Pani, żeby to roz było, abo dwa, człowiekby ścierpioł i pary z gymby nie puścił. Ale furt i furt, cingim to samo, to juz za dużo. Jak mi sie sprzykrzy, pójde zameldować na policyjom i dopiroz bydom widziały, cy to tak wolno.

Kiej to znowy było? A prawda, w Popielec. Jo i mój wracalimy do domu, bośma się w ostatki troche zabowiali u naszych kumotrów. A kumotrów, to my dużo momy, bo num tylachna dziecków się namarnowało. A to już sobie przyznać możymy, że żadne przez chrztu świntygo na tamtyn świat nie poszło. Bo mój już tak pilnował, że jednygo dnia sie urodzi, na drugi dziń chrzciny, a na trzeci niech sobie umiro, to juz człowiek spokojny w sumieniu. To my kumotrów bez to momy dużo. Tak my wrocomy w Popielec, a tu jakiś huncwot, pewnikim który od naszygo szewca, bo ktoby to nos znoł, przypiun moimu kortke z nopisym. Co tam stojało, przecytać ni mogłam, bo na ksiunżce, to jo poradze cytać, pisanygo — nie. Alem się domyślała, bo kożdyn za moim woloł: pijok! pijok! Widzioł to chto coś podobnygo? Po pirsze to mój żodyn pijok nie jest, bo, jak pije to za swoje, nie za cudze, a po drugie, co komu do tego?

Dziadoskie wychowanie! Szewckie nasinie! Ady i te stare nie lepsze od młodych. Roz tyż mój szedł do dumu z roboty, a stancja była zamkninto, bo żym była u prania u jednej pani dyrektorowy. Co tyż to za dobro pani była, to słów ni mom! Na przeodbiodek kielich wódki słodziuchny, na podwiecorek znowuj tego samego. I z wypłatom akuratno, i tak nieraz z bilizny a ubrania mi to mnie i to Ignaca nadowała i bez te szewcke takie dobre miejsce postradałam. Poszła do ty pani dyrektórki i dopiro naopowiadała na mnie, (mówiła mi meglarka z przeciwka), że jo jezdem alkoholicka. Alkoholicka! widzioł chto coś podobnygo? No i ostatniom razom jakżym prała, to mi ta pani już wódki nie dała i takmiejsce postradała. Pranie to je cinżko robota, bez wódki nie pójdzie, krzyże nie strzymajum. To, co jo to chciałam powiedzieć? Aha, prawda, stancja była zamkninto, to mój poszedł do szynku naprzeciwko. A tylachna rozy mu mówiłam: Ignac, szanuj zdrowie, idź pore kroków dali do ty osteracji, a do szynku naprzeciwko nie chodź, bo ta szynkarka mo jad. Niech sie pani nie śmieje, to prawda, bo żym na sobie spraktyko-

wała. Jak una się napije wódki, a zaś w tym samym kieliszku drugimu podo, to mu zado jadu. Zaroz się człowiekowi we głowie zakrunci, nie wi, co sie z nim dzieje, ino mu sie chce wuńtować i wuńtować! Tak tyz moimu zadała, jak nim nie weźmie trzuńść, tak już chłop do chałupy nie doszedł, układ sie w rynśtoku i zacun wuńtować. To tako szewcka, jakby co dobrygo była, nie powinna to po sumsiedzku chłopa poratować, do stancji zabrać, a nie żeby go dopiro policjont do aresztu broł, pretekuły spisował? Dziadoskie wychowanie, szewckie nasinie i nic wincy!

Powiadum pani, że nie sposób wytrzymać. Mój, pani, je wesoły człowiek. Jak sie napracuje, to sie i napije, a jak sie napije, to sobie przyśpiwuje. To ilachna razy mój do domu idzie i śpiwo, to te chłopoki zaro wykrzykujom: Oho, Ignacom dziecko pewnikim umarło! No, widzioł chto co podobnygo! A to, widzi pani, stund poszło, że jak num tyn Tumciu umorł, to my straśnie markocili. Bo taki galanty chłoposzek był, trzy łatka mu już było, to my sie tak cieszyli, że num sie szczyńśliwie wychowo. Mój to juz nie wiedzioł, co mo z tym dzieciokim robić. I huździoł go, i na barana noszoł, to na kolana broł, a cukierków nakupował, jakieby ino na straganie były i cerwunych, i zielunych, i zółtych. Tak num sie galancie chowoł, az tuni stund ni z owund, zaczun blednuńc, z ciałka spadować, ta główecka mu sie tak kolibała na wszystkie struny, jak u zwindługo kwiatka, i tak num usech. To mój z ty żałości pogrzyb mu wyprawił paradny, juz grosza nie żałował. Ośmi tregrów, po prowdzie cztyrechby starcyło, bo dziecko letkie było, a na dobrom sprawe, to i jedynby doł rade, pod pache truminkeby wzion i na som smyntorz zaniósł. Ale mój chcioł z paradom. Cztyrech na rynccznikach niesło truminke, a cztyrech po bokach szło w paradzie. Wszystkie w czornych ubraniach, biołnych rynkawiczkach. Kumotry nasze były wszystkie, z podwyrka sumsiady i od szewca tyż. Po pogrzebie mój zaprosił wszystkich na pogrzybke do osteracji. Bo u nos stancja nieodpowiednio. My tam ludzie bidne, niewymagalne, lo nas stancja w piwnicy wystarcy, i tak człowiek całki dziń u roboty, na te noc do przespania światła widnygo nie trzeba. No, to mój do osteracji zaprosił. Szewce nie przyszły. Uny wódki nie pijom. Pewnie, przecie wódka nie lo świń, ino dlo ludzi. Każdyn porzunny człowiek pije i ministry i generały i my tyż pijemy. Mój z ty markotności to sie tak spił, że zobacył, że nosz Tumciu nie żyje. Zaś jak my wrocali do dumu, to sie tak cieszył, że do Tumcia idzie, tak wyśpiwowoł! A te chłopoki od szewca usłyszały i dalijże przyśmiszki z cudzygo nieszczyńscio. Dziadoskie wychowanie!

My już, pani, do dzieci szczyńścia ni momy. Co nom tych dzieci namarło, to już nie spamintom. Dziouszków to my nawet nie liczyli, ale chłoposzków to nom najwincy żal. Bo, widzi pani, w Polsce to je taki zwycaj podobno, że jak które majom sidmi synów, to sam pan Prezydynt siódmygo do chrztu trzyma. Mój tak sie uparł, żeby mieć ten hunor, a tu num sie dzieci nie chowajum i nie. To musioł ktoś uroki zacynić. A kto, jok nie te szewce! Pani, te ludzie, co wódki nie pijom, to zawdy najgorsze. Co my już bez te szewce nie wycierpieli! Ale uny i tak sie majuntku nie dorobiom, choć wódki nie pijom. A co my wypijimy, co użyjimy, tego woda nie zabierze, złodziej nie ukradnie!

Zduńska Wola. *Zofja Olszewska.*

WIOSENNA BAJKA.

Zwykle się bajki zaczynają rzewnie
Szarą godziną na wspomnień przedziwie,
Jak wzór na kanwie tka babunia stara
A w oczach dziatwy i zachwyt i wiara.
Cudneż te bajki: o paziu, królewnie,
O tem jak kochał on ją szczerze, tkliwie,
O strasznym smoku, który w walce pada.
Dziwy — cudeńka, babcia opowiada
I choć pół-na-pół bajce się dowierza,
Słucha się, tęskniąc do swego rycerza...

Tak i ja niegdyś — dzisiaj przeszły lata...
Dziecko — dziewczęciem ufnie wchodzi w życie.
Babcine baśnie w serca głębi skryte —
A teraz oczy wciąż wrażeń niesyte
I wyciągnięte ramiona do świata
I dusza w przeczuć rozkosznych zachwycie
W oczekiwaniu, kiedyż z kręgu zdarzeń
Zjawi się rycerz, ten z bajek i z marzeń,
Co snów dziewczęcych stanie się spełnieniem
I poprowadzi w świat — silnem ramieniem.

Maj się złociście uśmiechał do ziemi,
I w lekkich, kwietnych puchów stroił piórka,
I słowikową pieśnią się rozdzwaniał,
I sadów białym welonem przesłaniał,
Wtedy poznałam, pokochałam Jurka.
Baśń się zaczęła — o zgodnem serc biciu,
O białym domku, o spokojnym życiu,
O wspólnem szczęściu i o wspólnym trudzie...
„Wiosenną bajką“ nazwali to ludzie.

A potem Jerzy! szkoda rytmu wiersza,
Łzą się i bólem każde słowo pisze.
Choć znów maj nęci wiosennemi czary
Zniknęły złudy, marzenia i wiary.
Przyczyną — twoja pohulanka pierwsza,
Dokąd wciągnęli cię źli towarzysze.
Na moje prośby, zaklęcia — uparty —
Poszedłeś z nimi: pić, palić, grać w karty!
Siebie, mnie razem w wir wciągając męki,
Pamiętam dzień ten — wyrwałam ci z ręki

Rewolwer, którym życie skrócić chciałeś.
Cały świat dla cię — nic już nie miał w darze,
Próżno ci z uczuć swych niosłam ratunek,
Twym przyjacielem odtąd stał się — trunek.
Tylko to jedno już teraz kochałeś —

I żyłeś tylko w domu gry, lub barze.
Czem że dla ciebie miłość była święta,
Kiedyś miał wódkę, karty i dziewczęta?
Zdeptałeś uczuć kryształowe cacko —
Odszedłeś do nich, śmiejąc się — pijacko!

Zostałam sama i wiosenną dobą,
Kiedy w spomnieniach noc uleci krótka,
A dla mnie długa, każdem pulsu tętnem,
Bolesna każdem przeżyciem pamiętnem.
Łzy nad mą dolą ronię i nad tobą
Tyś wiele winien — lecz najwięcej *wódka*,
Pod jej piekielnym działając nakazem —
Zgubiłeś duszę co Bóstwa obrazem.
Moje dziś życie — przestrzeń, zimna—pusta—
A twoje — wódka, karty — i rozpusta!

Mimo to, błagam Boga całą duszą
Byś się zatrzymał na przepaści skraju,
Władczych nałogów oparł się przemocy
I na dzień jasny ze zła wyszedł nocy.
Czuję, że modły me twe serce skruszą,
że uratują cię z toni, wyzdrowią
I bajkę dawną o szczęściu znów wznowią
I znów do marzeń powrócimy kraju,
I nic już chyba serc naszych nie skłóci —
Ja ci przebaczę — lecz „któż łzy powróci“?

Nela Krzepkowska.

PAN ANTONI SKROBIDESKA.

Pan Antoni Skrobideska, majster znany na Starówce,
Ma stolarnię, i w gotówce
Byłby jak raczuch w oleju.
Każde krzesło, stolik, szafka,
Głaciuteńkie, zgrabne, śliczne,
No poprostu jak zabawka —
Zamówienia są więc liczne.

Cóż, bo kiedy „Mociumdzieju“
Sam się trapi pan Antoni,
że, grosz jakoś grosza goni.
Kryzysowi pisze winę,
„Tak to źle już jest na świecie“
Lecz ja powiem wam w sekrecie
Najprawdziwszą trosk przyczynę —

Gdy stolarskie skończy cuda
I poczuje grosz w kieszeni
Palto na się i już w sieni —
Idźmy za nim — gdzież się uda?
Kilka ulic i już gwarem
Światłem, brzękiem ciszę drąży
Punkt, gdzie Pan Antoni dąży —
Stańmy jak i on — przed barem —

Coś jakby się waha, wstydzi
Krok wtył jeden, dwa do środka —
Lecz pokusa jest zbyt słodka,
Wewnątrz już kompanów widzi.
Myśl przebiega — „dzieci — żona“—
I ucieka zatrwożona,
Bo pan majster groźnie fuka —
„Cóż mi brzęczysz u kaduka!“
Człek dzień cały jak wół orze,
To odpocząć chyba może?“

Świt się blaskiem zorzy mieni,
Gdy pan majster smętnie wraca
W głowie dosyć — nic w kieszeni —
W domu płacze, kłótnia, praca —
Hebel ze śmiechu się kładzie,
Piła w złości zęby szczerzy,
że po nocnej eskapadzie
Majster chory w łóżku leży.
No a one choć niewinne,
Muszą w kącie tkwić — bezczynne.

Aż raz — (takie to zdarzenie)
Przyszło dziwne zamówienie
By pan majster do świetlicy —
Która „Trzeźwość“ się nazywa
Porobił ławki i stoły —
Pan majster wielce wesoły
I z uśmiechem głową kiwa
że, gdy „Trzeźwość“ mu zapłaci,
On na wódkę pieniądz straci.
Nie to, żeby był ciekawy,
Lecz wynikły takie sprawy —
A to krótki stół czy długi —
Dość — że przyszedł raz i drugi
do świetlicy, gdzie tak mile
Pono młodzież spędza chwile.
Dosyć mu się podobało.
Kiedyś był godzinę całą
Były mowy wiersze, śpiewy,
A we wszystkiem jedno, żeby —

Nie pić, bo to zdrowiu szkodzi.
I że starszych mają młodzi —
Co „Trzeźwości" idą śladem
Przekonywać swym przykładem.
Pan Antoni Skrobideska coś sumuje, coś się zżyma,
W myślach jakby coś go bodło —
To rozjaśnia się na nowo —
Dał w sekrecie sobie słowo,
że „Trzeźwości" przyjmie godło
„Z wódką — rozbrat" — i wytrzyma.

Nela Krzepkowska.

KTO TO BYŁ HR. WITTE?

Kilka osób zwróciło się do mnie z powyższem pytaniem i to naprowadziło mnie na myśl, że młode pokolenie tak daleko już odeszło od czasów carskiej Rosji, że pewne wyjaśnienie się należy.

żeby się podtym względem upewnić, zapytałem ze swej strony mego rozmówcę, czy wie, kto to był generał Skałon, — ale pamięć o jednym z ostatnich wielkorządców w b. zaborze rosyjskim zatarła się również. A może pan wie — pytałem dalej — kto to był Hurko, Apuchtin i Marja Andrejewna, — ale i w tym wypadku pozostały tylko bałamutne i bardzo niejasne wspomnienia.

Pamiętam, kiedyś, w roku 1900, wypadło mi być w Kownie. Wziąłem dorożkę i zwiedzałem miasto. Dorożkarz Polak, zresztą w Kownie prawie cała ludność była polska, obwoził mnie po różnych kościołach, klasztorach, pałacach biskupich i zawiózł mnie wreszcie do domku, w którym mieszkał Mickiewicz, a potem na dolinę Mickiewicza. Zaryzykowałem zapytanie, kto to był Mickiewicz i dowiedziałem się, że był to: „dobry gubernator, który w tej dolinie urządzał dla biednego narodu „gulanja".

Wobec powyższego, jako uzupełnienie mojego artykułu z numeru 11—12 „Trzeźwości" z r. 1935, podaję krótki życiorys Wittego. Syn urzędnika kolejowego z trudem przechodzi przez gimnazjum i uniwersytet w Odessie. Po skończeniu wydziału matematycznego spowodu braku środków nie kształci się dalej i uzyskuje posadę na Kolei Południowo-Zachodniej w charakterze zawiadowcy jednej ze stacyjek w Odesie-Port. Stopniowo awansuje służbowo na kolei, a po złożeniu projektów reorganizacji kolei wysuwa się na stanowisko jednego z dyrektorów kolei. Jego praktyczne i celowe zarządzenia zwracają na niego uwagę i zostaje powołany na stanowisko ministra kolei. Niechęć inżynierów do ministra bez fachowego wykształcenia wywołuje jego dymisję. W kilka lat później zapraszają go na stanowisko ministra skarbu.

Jako minister kolei głosił abstynencję, a jako minister skarbu wprowadza w Rosji monopol wódczany, następnie piastuje godność premjera, ale różne intrygi powodują jego dymisję i kilka lat pozostaje w zupełnem zapomnieniu. Dopiero przegrana wojna Japońska powołuje go w roli przedstawiciela Rosji w Port-Smucie, gdzie pomimo klęski uzy-

skuje względnie dogodne warunki pokojowe, za co, pomimo protestu całego urzędniczego i dworskiego Petersburga, otrzymuje tytuł hrabiowski.

Witte był ożeniony ze sprytną i zdolną żydówką, która prowadziła wielką grę na giełdzie i w ten sposób dorobiła się kolosalnej fortuny. Witte twierdził, że nie tylko nigdy nie informował swojej żony o posunięciach finansowych, które mogłyby mieć znaczenie giełdowe, ale nawet celowo wprowadzał swoją żonę w błąd w nadziei, że ją od gry giełdowej odstręczy, ale sprytna kobieta umiała nawet fałszywe informacje swego wpływego męża tak wykorzystać, że w wyniku ostatecznym stale była zwycięzcą w zawodach giełdowych.

Ten dziwny człowiek, abstynent, wprowadzający monopol, przeciwnik gry na giełdzie i zwolennik ustalenia wszelkich wartości, ma żonę, która robi na giełdzie fortunę, — był bezsprzecznie jedną z większych osobistości w carskim urzędniczym Petersburgu. Jego karjera, jego życiorys dają bardzo dużo do myślenia.

Aleksander Iżycki.

W SPRAWIE ETERYZMU.

B. minister zdrowia publicznego, Dr. W. Chodźko, Delegat Rządu Polskiego do Komisji Doradczej Ligi Narodów do spraw opjum, otrzymał od majora Coles'a, urzędnika Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Anglji, notatkę, dotyczącą eteromanji, która w przekładzie na język polski, brzmi, jak następuje:

Picie eteru stwierdzono po raz pierwszy w Draperstown w hrabstwie Derry około r. 1842. Opowiadają, że ta forma nałogu była wywołana propagandą przeciwalkoholową, zorganizowaną przez O. Mateusza. Propaganda ta była tak skuteczna, że owieczki księdza, wyrzekłszy się wódki, musiały szukać innego środka odurzającego, którego mogły używać, nie łamiąc ślubu abstynencji. Eter okazał się doskonałą namiastką.

Lewin w swoich „Phantastica" zauważył również, że picie eteru stało się najbardziej rozpowszechnione w krajach, gdzie walka z alkoholizmem odniosła powierzchowne zwycięstwo. Prócz Irlandji przypadki eteryzowania się były spotykane w Anglji, Ameryce, niektórych okręgach Niemiec, w Galicji, Francji i in.

Dokładnych danych liczbowych co do rozpowszechnienia eteromanji, zdaje się, niema. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, nałóg ten nie jest często spotykany.

Joel wspomina 4 ostatnio zanotowane przypadki, z których 2 opisuje szczegółowo. W tych przypadkach nałóg wynikł dzięki sprzyjającym okolicznościom zewnętrznym. Jeden z pacjentów był zatrudniony w drogerji, drugi był studentem medycyny, trzeci był lekarzem, a czwarta — pielęgniarką. W niektórych przypadkach nałogowcy byli uprzednio alkoholikami.

Eteroman pije eter, lub go wącha. Picie eteru jest dlatego szczególnie pociągające, że eter działa szybko, przytem skutki są krótkotrwałe. Pijący eter upija się sześć razy dziennie, nie odczuwając narazie żad-

nych ujemnych, lub przykrych skutków. Zmiany patologiczne, wynikające z długotrwałego picia eteru, nie są dotychczas należycie zbadane. Jest jednak pewne, że eter nie wywołuje delirium tremens i nie powoduje zmian w wątrobie, których przyczyną jest alkoholizm. Eteromani cierpią natomiast na chroniczny katar żołądka i zaburzenia żołądkowe, oraz ulegają głębokiemu zwyrodnieniu. Niektóre przypadki kończą się fatalnie udarem serca. Pod wpływem eteru nałogowiec jest często kłótliwy, może być gwałtowny. Naogół, z punktu widzenia społecznego, eteromanja jest uważaną za szkodliwszą, niż alkoholizm. Eteromani są leniwi i niezdatni do niczego. W Anglji o eteromanji nie pisano wcale od r. 1890, t. j. od pracy Ernesta Hart'a. Musi ona być niezmiernie rzadka i ograniczać się do przypadków sporadycznych.

Lewin podaje, że wyleczenie eteromanji jest niemożliwe. Można przeprowadzić kurację odwykową z wynikiem dodatnim, ale niezmiernie rzadko się zdarza, aby nie nastąpiła recydywa.

Podana literatura, dotycząca eteromanji, jest niezmiernie uboga, obejmuje tylko 7 prac, z których 4 w języku angielskim i 3 w języku francuskim, przytem są one dość stare, bo były wydane w latach 1890, 1891 i tylko jedna pochodzi z r. 1931.

podała *Marja Sokalówna.*

„ŻÓŁTY KOTEK".

Nowela.

— Proszę głęboko odetchnąć, — mówił lekarz do pacjentki, która zwrócona tyłem, siedziała na krześle, — teraz nie oddychać, teraz odetchnąć... dziękuję.

Przez cały czas, kiedy ucho miał przytknięte do słuchawki, mimowoli obserwował siną pręgę, jaka biegła wzdłuż pleców i ginęła w fałdach zsuniętej koszuli.

Doktór Adam Jarmund miał lat trzydzieści pięć, lecz odziedziczywszy zawód po ojcu, praktykował już od lat kilkunastu. Można go śmiało było nazwać lekarzem z powołania. Interesował się żywo każdym pacjentem; stawiając djagnozę, umiał przedtem wybadać i skojarzyć wszystko, co mogło mu ją ułatwić. W każdej chorobie skłonny był upatrywać niewidzialne działania psychiczne, które przy niesprzyjających okolicznościach mogły całą kurację zniweczyć. Twierdził naprzykład, że ludzi smutnych, lub przytłoczonych nieszczęściem trudniej nieraz wyleczyć z niezbyt nawet skomplikowanej choroby, niż tych innych, zawsze pogodnych i wesołych, choćby ich stan fizyczny wykazywał poważne braki.

Sądząc z pobieżnych oględzin, zadecydował, że jego obecna pacjentka nie cierpi na żadną dającą się wyraźnie określić fizyczną dolegliwość; trudno było jednocześnie orzec, że jest zupełnie zdrowa.

— Smutna i małomówna, — pomyślał.

Podszedł teraz do biurka, żeby przygotować receptę i, siadając, raz jeszcze obrzucił badawczo szczupłą postać nieznajomej. Podnosiła właś-

nie rękę do góry, żeby nasunąć bieliznę, lecz widocznie uczuła ból, gdyż ramiona jej drgnęły i przymknęły się powieki.

— Ma pani bardzo nadwątlony organizm, — powiedział.—Trudno mi bez analizy postawić odpowiednie wnioski; od niej trzeba zawsze zaczynać badanie, jeśli nie ma być powierzchowne. Kiedy poraz drugi będzie się pani wybierać do mnie...

— Mam zamiar wyjechać z Warszawy na posadę. Przyszłam tu wyłącznie po to, żeby uzyskać świadectwo zdrowia. Od tego zależy, jak się dalej moje życie ułoży. Pan doktór nie stwierdził przecież żadnej choroby?

Wstała, jakby pragnąc wykazać, ile ma energji.

— Czuję się doskonale — dodała — i nic mi nie dolega.

Spojrzał na nią i spotkał badawczo utkwione w jego twarzy źrenice.

— Świadectwo, oczywiście, napiszę. Pani nazwisko?

— Krystyna Łączyńska.

Widocznie śpieszyła się, chociaż machinalnie usiadła; gorączkowo przeszukiwała teraz przegródki torebki.

— Ile jestem dłużna? — spytała, kiedy doktór odłożył pióro.

— Tyle, ile pani nie zrobi różnicy w budżecie.

— Niepewnie wyciągnęła rękę i położyła na stole nowe, błyszczące pięć złotych. Doktór spojrzał na srebrny krążek i uśmiechnął się; jego pacjenci płacili zwykle pięć razy tyle, a często i więcej. Nie wyglądało na to, żeby owe pięć złotych nie robiło różnicy w jej budżecie. Przez jeden moment brała go pokusa, by zwrócić honorarjum, lecz zamknięty, zasklepiony w sobie wyraz twarzy kobiety, hamował podobne odruchy.

Tyle zresztą niedoli przesuwało mu się codzień przed oczami, że niepodobna było roztkliwiać się przy każdej okazji. Coś jednak zastanawiającego było w nieznajomej; jakaś mieszanina dumy i psychicznego załamania, fizycznej słabości, a jednocześnie tkwiły w niej wyraźne znamiona energji i zdecydowania. Już choćby ta wyszarzała, prawie pozbawiona koloru sukienka pokrywała przecież pocerowane szczątki misternie haftowanej cienkiej bielizny.

Była to ostatnia pacjentka tego wieczoru. Zimowy, wcześnie zapadający mrok sprawił, że na dworze ściemniło się prawie zupełnie. Doktór pośpieszył ku drzwiom, żeby zapalić światło w poczekalni, ponieważ pacjentka najwyraźniej skierowała się w tę stronę, mijając przejście prowadzące bezpośrednio do przedpokoju.

Wyjaśniło się to zresztą za chwilę, kiedy Adam przekręcił kontakt, i zobaczył śpiące, skulone na fotelu dziecko.

— Krysiu, obudź się, musimy już iść — rzekła Krystyna Łączyńska i pochyliła się nad dziewczynką, troskliwie obcierając łzy z zaczerwienionej od snu buzi. Mimo jednak wypowiadanych cicho i pieszczotliwie przekonywujących argumentów, mała nie mogła utrzymać się na nogach i znów skrzywiła usta do płaczu.

— Mamusia ma pilny do załatwienia interes i bardzo się śpieszy, — powiedziała Krystyna półgłosem.

Adam stał we drzwiach gabinetu. Bez jego woli i chęci to obce życie przenikało ku niemu, wciągało go w cudze, niewiadome sprawy.

— Jeśli pani nie idzie jeszcze do domu, — powiedział, zresztą na-

wet dla siebie zupełnie niespodzianie, — proszę u mnie małą zostawić. Jest rozespana i łatwo się może zaziębić.

Matka wahała się przez chwilę, lecz dziecko samo rozstrzygnęło sprawę, oznajmiając zdecydowanie, że tutaj poczeka na mamusię.

W kilka minut później doktór pozostał sam na sam ze swym niespodziewanym gościem. Tak się dziwnie składało, że poraz pierwszy w życiu zetknął się tak blisko z dzieckiem i miał z niem spędzić kilka godzin; znał te drobne istoty z krótkich wizyt, jakie składały mu w gabinecie, lub kiedy sam odwiedzał je na mieście.

Wziął małą za rękę i zaprowadził do gabinetu, należało bowiem doprowadzić do porządku papiery na biurku. Dziewczynka rozbudziła się zupełnie.

— Wiesz, — powiedziała, — moja mamusia ma na imię Krystyna. I ja też. Tatuś zawsze mówi, że wszystkie Krystyny są głupie, ale to nieprawda. On nam zawsze dokucza.

Doktór milczał. Myślał, że lepiej będzie zwrócić uwagę dziewczynki zupełnie w innym kierunku.

— Zobacz, — zaproponował, — co ci się w tym pokoju najbardziej podoba.

Popatrzała mu z uwagą w oczy, a potem obrzuciła szybkiem spojrzeniem wszystkie drobiazgi i sprzęty.

— Podoba mi się pan i takie, co wisi na ścianie, — odrzekła, pokazując palcem na wiszącą wypchaną wiewiórkę.

Adam roześmiał się.

— Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego tak wybrałaś?

— Bo pana się nie boję, a tamto... — to jest żółty kotek, a ja bardzo lubię wszystkie kotki.

Za chwilę miała już zwierzątko w ręku i nowe, nieznane cacko pochłonęło całkowicie jej uwagę. Nie dała się przekonać, nie chciała nawet słuchać, że to jest wiewiórka, a każde jego odezwanie się na ten temat brała za osobistą obrazę.

— Może jesteś głodna? — zapytał.

Nie była głodna i nic jej do szczęścia nie było potrzeba: chyba jedynie coś ciepłego, w co możnaby owinąć żółtego kotka, ponieważ, jak twierdziła, jest mu napewno zimno.

Adam przyniósł z przedpokoju swój własny szalik, który okazał się wyśmienity do tego celu. Krysia, zadowolona, usiadła na fotelu i, przytulając troskliwie swój skarb, rozglądała się po pokoju.

Na biurku, do tej pory nieschowane, leżało błyszczące, nowiutkie pięć złotych.

— O, powiedziała mała, pokazując na krążek paluszkiem — mamusia taki sam dzisiaj wyjmowała ze skarbonki!

— A dużo tam było pieniędzy? — Adam pozwolił sobie tym razem na niedyskrecję.

— Tylko jeden i to w mojej skarbonce. Mamusia powiedziała, że jak się wszystko uda, to taki sam mi potem odda.

— Masz kieszonkę? — zapytał.

Tak, była kieszonka w fartuszku i pięć złotych spoczęło tam, zabezpieczone agrafką, żeby nie wypadło. Krysia właśnie opowiadała żółtemu

kotkowi, co zato kupi, kiedy zadźwięczał telefon. Mała obserwowała bacznie każdy ruch doktora i przysłuchiwała się uważnie rozmowie.

— Do kogo pan mówił? — spytała.

— Do jednego pana. Mają dzisiaj przyjść goście. Chodź do stołowego pokoju; zobaczymy, czy jest tam co do jedzenia.

Doktór Jarmund mieszkał sam ze służącą w dużem, zupełnie zagospodarowanem mieszkaniu, jakie mu zostało po rodzicach. Nie ożenił się dotąd, mimo iż lubił życie rodzinne i towarzyskie. Bywał w wielu domach, a jego własny miał wszelkie cechy przytulności i był dość często odwiedzany przez znajomych. Zwykle w tych wypadkach zamężna siostra przychodziła odgrywać rolę gospodyni domu. Miało to zresztą charakter ściśle dekoracyjny, gdyż wszelką z tem związaną robotę wykonywała służąca, pamiętająca czasy starszych państwa, a Adama — jako młodego studenta.

Na stole było już nakryte. Doktór pozapalał światło i dziewczynka stanęła olśniona.

— Jak tu ślicznie, — powiedziała, — o wiele ładniej, niż u nas.

Na bocznym stoliku stała baterja butelek. Były to przeważnie drogie trunki, starannie dobrane, według upodobań gości.

Adam podszedł i nalał sobie kieliszek konjaku. Mała przypatrywała mu się, jak wychylił jednym łykiem i spytała:

— Czy to szczypie w język?

Roześmiał się, zagryzając pierwszą z brzegu zakąską, jakie były ustawione na stole. Wybrał bułeczkę z mięsem i podał dziewczynce.

— A skąd wiesz o tem?

— Mamusia mówiła. Ona nie lubi, jak tatuś kupuje takie butelki. Czy pan też jest potem pijany?

Znów roześmiał się głośno, takie wydawało mu się to zabawne, że ktoś mógł go sobie wyobrazić pijanym. On, opanowany, esteta, nie popełniał nigdy czynów, które mogły być podciągnięte pod kategorję nieetycznych, czy nieobliczalnych w wynikach.

— Nigdy nie jestem pijany, — powiedział, spotykając źrenicami badawczy i trochę niespokojny wzrok dziecka.

Mała odetchnęła z ulgą.

— To dobrze, — rzekła poważnie.

Wrócili do gabinetu, gdyż zadźwięczał znów telefon. Dziecko i tym razem obserwowało wszystko bacznie.

— Czy nie można porozmawiać z mamusią i poprosić, żeby prędzej wróciła — spytała, kiedy powiesił słuchawkę.

Naturalnie nie było można, lecz rozpoczął się prawdziwy wykład o telefonie. Głos zegarynki, gdzie zadzwoniła sama, wzbudził nieopisany zachwyt. Następnie doktór dał jej własny numer telefonu i mała uczyła się go nakręcać.

— Jak twój żółty kotek zachoruje, zadzwoń do mnie, to przyjdę go wyleczyć, — powiedział.

Przyjęła to zupełnie poważnie i prosiła o zapisanie numeru telefonu. Przypatrywała się z zajęciem, jak rysował na bileciku duże cyfry i właśnie chowała kartonik do kieszonki, gdzie spoczywało pięć złotych, kiedy zadzwoniła Krystyna.

— Mamo! — zawołała z radością, zanim jeszcze matka zdążyła przekroczyć próg i z zapałem zaczęła opowiadać o żółtym kotku.

Lecz przybyła zdawała się nie słuchać. Była przygnębiona i smutna bardziej jeszcze, niż przed kilkoma godzinami. Śpieszyła się przytem gorączkowo i, podziękowawszy doktorowi, możliwie prędko wyszła na ulicę.

— — — — — — — — — — — — — —

Biegła prawie z dzieckiem do przystanku, żeby czemprędzej znaleźć się w domu. Była nieomal pewna, że mąż powróci późno, jeśli jednak tym razem stałoby się inaczej, grozić to mogło nieszczęściem. Takie bowiem znała miano dla niesamowitych awantur, jakiemi coraz częściej zatruwał jej wieczory i noce.

Dawno już bowiem minął ten krótki okres, jaki we wszystkich powieściach nosi miano „miodowych miesięcy“. Było ich zaledwie trzy. Może nawet i one niezupełnie miały posmak słodyczy, lecz wtedy za takie je miała. Dzisiaj ile razy myśl Krystyny biegła w te odległe czasy, starała się zawsze poniechać wspomnień, bo bolały, jak rana na zabliźnionem miejscu.

Od tramwaju było dość daleko. Mimo znużenia, wzięła dziecko w swe wątłe ramiona, gdyż nie mogło ich prędzej, a ją poganiał lęk.

Nareszcie! Przy drzwiach wisiała kłódka. Było to i dobrze i źle; dobrze, iż zdążyła pierwsza, lecz z drugiej strony, jeśli męża dotąd niema, należało się spodziewać późnego i tragicznego powrotu.

Nie miała siły się przebrać; usiadła więc ciężko na krześle i przymknęła oczy.

Mała Krysia tymczasem owinęła wiewiórkę szalikiem doktora i przytuliła serdecznie.

— No, dobrze, — powiedziała — to będzie moja córeczka. Jeżeli on, jak wróci, nie będzie się na nas gniewał, powiem mu, że mam dziecko.

Krystyna nie odpowiedziała; nie poruszyła się nawet. Coś w niej rozprężyło się na te słowa i popłynęło skurczem bólu ku krtani. O, jak to było dawno, iloma ciężkiemi kamieniami uraz i krzywd przywalone, a jednak drzemało gdzieś na dnie wspomnienie tej chwili, od której zaczęła się późniejsza golgota! Kiedyś przecież był taki wieczór, w trzy miesiące po ślubie, kiedy oczekiwała na powrót męża i pielęgnowała te same słowa, aby mu je powiedzieć. Jakże dziwnie brzmiały echem w ustach dziecka!... Wtedy właśnie on przyszedł poraz pierwszy pijany... Być może, że już od tego dnia przestała go w myślach nazywać „kochany“, lecz zawsze tylko „on“. I w tem również dziecko naśladowało ją bezwiednie...

Należało za wszelką cenę powstrzymać wspomnienia. Dręczyły nie mniej, niż teraźniejszość, której zresztą powstrzymać się nie dało... Czemu wszystko obróciło się na złe? A może naprawdę tkwiło zło w tym związku?... Może rację miała ciotka, która tak dalece sprzeciwiała się postanowieniom swej wychowanki, że obiecała zerwać wszelkie stosunki z siostrzenicą, jeśli to niebywałe małżeństwo panny ze dworu z gorzelanym z majątku dojdzie do skutku. Z niezwykłą przytem u niej zaciętością dotrzymała słowa. Ślub był więc jednoznaczny dla Marcina Łą-

czyńskiego z utratą posady, a dla Krystyny oznaczał pożegnanie się z dawnem beztroskiem życiem. Lecz czy młodość pyta o takie rzeczy? On był pewien, że wszystko ułoży się pomyślnie i „pani dziedziczka" da się przebłagać, Krystyna zaś sądziła, iż miłość jest wszechwładnym kluczem, który otwiera z łatwością wszystkie furtki życia, normalnie przed człowiekiem zamknięte.

Zresztą Marcin kochał naprawdę swą żonę, a cóż może wiedzieć młoda dziewczyna o niewidzialnych i złych mocach, jakie drzemią niekiedy w człowieku, gotowe na zawołanie sprzymierzyć się z każdym demonem, którego los ześle naprzeciw? Szło z ufnością ku temu dużemu i silnemu mężczyźnie, pewna, bo kochająca.,

Nie zabrała z domu nic; nawet najdrobniejszego przedmiotu. Marcin dostał posadę w jednym z browarów w Warszawie; proste sprzęty biedaków, jakie mu zostały po matce, meblowały narazie ich skromne mieszkanie. Potem, kiedy na świat przyszła Krysia, niespodzianie przysłano z majątku to wszystko, co niegdyś należało wyłącznie do Krystyny i zdobiło wnętrze jej panieńskiego pokoiku. Ileż z tą przesyłką przybyło radości i smutku!... Każdy drobiazg mieścił tyle wspomnień! Dotykała palcami gładkiej politury mahoniowego łóżka i wtulała twarz w miękki jedwab kołdry, pragnąc uchwycić nikły zapach przeszłości... Och, bo już wtedy teraźniejszość zostawiała wiele do życzenia.

Rozejrzała się po pokoju; owe „dawno", którem określała lata przed zamążpójściem, do tej pory nie zasymilowało się ze smutnem „obecnie" zarówno w zewnętrznym wyglądzie mieszkania, jak i w jej duszy. Najlepiej zresztą było nie rozmyślać nad tem, nie patrzeć dookoła siebie i jak najmniej pamiętać.

Wstała z westchnieniem i zaczęła się rozbierać. Należało włożyć domową sukienkę, gdyż i to mogło stać się przyczyną jego dzikiej złości.

Kiedy naga do pasa, odwróciła się do dziecka plecami, usłyszała nagły krzyk przerażenia. Mała podbiegła i, dotykając sinej pręgi, zawołała:

— Patrz, o, tutaj!... — Chyba cię bardzo boli!

Krystyna spojrzała do lustra. Teraz dopiero uczuła ból prawdziwy. Ten obcy doktór widział straszne piętno, oznakę ostatecznego poniżenia. Jednocześnie chwila wyzwolenia znów stała się daleka, gdyż dzisiaj powiedziano jej właśnie, że na posadę nie ma co liczyć.

Na schodach rozległy się ciężkie stąpania, nierówne i głośne. „On" wracał. Zanim obmacał drzwi, znalazł dziurkę od zatrzasku, a potem z trudem włożył klucz, Krystyna zdążyła narzucić na siebie ubranie. Jednocześnie myśli kłębiły się pod czaszką, co stanie się za chwilę i jak możnaby zapobiec scenie, która z różnemi warjantami, ale następowała nieodmiennie, kiedy wracał pijany.

Drzwi zamaszyście otwarły się szeroko, aż uderzyły o ścianę. Serce Krystyny biło bardzo mocno. W milczeniu, obserwowała, jak mąż kołował po pokoju, zanim dobrnął do krzesła i ciężko usiadł.

— Chodź tu! — zawołał do dziecka.

Mała podeszła nieufnie, tuląc wiewiórkę, owiniętą w szalik doktora.

— ... Powiedz, kochasz tatusia?

Czy kocha?... Właściwie się boi i to bardzo. Lęka się dziwnych oczu

i tego, co może się za chwilę zdarzyć. Czasami, gdy wracał późno, odrazu kładł się spać, a rano, kiedy się obudził, można było z nim nawet porozmawiać bez strachu. Najczęściej jednak krzyczał i wymyślał, a parę dni temu uderzył mamusię tak mocno, że upadła. Potem bardzo płakała. Kiedy Krysia obudziła się rano, mama jeszcze miała łzy w oczach.

Teraz ojciec natarczywie patrzył na dziewczynkę i powtórzył:

— Mów, kochasz tatusia?

Mała spuściła głowę i powiedziała cicho:

— Ja się boję... Najlepiejbym lubiła, żebyś poszedł spać...

Schwycił dziecko mocno za ramię i pociągnął ku sobie. Wyrwała się i krzyknęła; wiewiórka upadła na podłogę.

Marcin teraz dostrzegł męski szalik, który leżał u jego stóp; narazie pochłonął całkowicie jego uwagę.

— Skąd to masz?...

— Od jednego pana...

Krystyna stała dotąd opodal w milczeniu, niezdecydowana i niepewna. Lecz teraz nie było już nic do stracenia. I tak za chwilę wybuchnie piekło — jedna z tych strasznych scen, które pozbawiały ją sił fizycznych i chęci do życia.

— Mało ci własnej hańby! — ryczał, — już i dziecko zaczynasz prowadzać do swych podejrzanych znajomych!

Dziewczynka, uwolniona z bolesnego uścisku, schyliła się po swego żółtego kotka, z zamiarem ukrycia się wraz ze skarbem w najdalszym kącie. Zrozumiała, że teraz zacznie się między nimi coś strasznego, czego się zawsze bała i czemu nie umiała zapobiec.

Lecz mocna ręka mężczyzny schwyciła ją znów, a druga wyrywała wypchane zwierzątko. Dziecko zacisnęło palce i rozpłakało się głośno; ojciec jednak okazał się silniejszy i w ręku małej pozostał tylko puszysty wiewiórczy ogon. Sypał się teraz grad przekleństw i wymysłów, ogłuszał i przerażał.

Krystyna pamiętała potem dobrze tę chwilę, gdy stanęła pomiędzy jego pięścią a zanoszącą się od płaczu córką. Co się dalej stało, tego zupełnie nie mogła sobie przypomnieć. Dziecko jednak skulone w kącie pokoju, widziało, jak ojciec wymachiwał pięściami i rzucał o podłogę tem, co znalazł pod ręką. Raptem kułak skierował się wyraźnie w stronę matki i wtedy dziewczynka z płaczem rzuciła się ku obojgu. Lecz zanim zdążyła dobiec, zobaczyła, że matka schyliła głowę, by uniknąć ciosu i pchnięta z całej siły, padła, uderzając czołem o żelazną podstawę maszyny do szycia.

Krysia stanęła, jak oniemiała. Widziała, że ojciec, zataczając się, wybiegł z mieszkania i trzasnął głośno drzwiami. Pochyliła się nad matką i przemawiała do niej pieszczotliwie, lecz Krystyna nie otworzyła oczu. Mała, usiłując odwrócić głowę leżącej, z przerażeniem dostrzegła krwawą plamę na podłodze. Zerwała się z płaczem i wybiegła do ludzi po ratunek.

Przy drzwiach sąsiadów wisiała kłódka. Dziecko schodziło więc ze schodów, namyślając się, gdzie szukać pomocy; wtedy przypomniało sobie doktora. Biegła teraz co sił na ulicę do sklepu, gdzie był telefon.

— — — — — — — — — — — — — —

Adam grał z gośćmi w bridge'a i właśnie rozkładał karty przed partnerem, kiedy telefon zadźwięczał. Nie śpiesząc się, wyłożył dokładnie wszystko, co miał w ręku, nadmienił nie bez zadowolenia, że daje dobre podtrzymanie, a nawet, przechodząc obok partnera, zerknął w jego karty. Kiedy brał tubę do ręki, myślał z prawdziwą niechęcią, że może wzywają go na miasto.

— Proszę, — powiedział niezbyt życzliwie.

Jakiś cieniutki głosik mówił coś płaczliwie, czego Adam nie mógł zrozumieć. Tatuś, mama, maszyna do szycia splatały się w niejasne zdania. Dopiero kiedy usłyszał o żółtym kotku, zrozumiał odrazu. Wystarczyła jeszcze krótka chwila rozmowy, żeby zdać sobie sprawę, że oprócz urwanego ogona wiewiórki, stała się tam jakaś tragedja. Nie namyślając się, postanowił natychmiast pojechać.

— — — — — — — — — — — — — —

Mimo, iż Krystyna już od kilku minut miała oczy otwarte, ciągle się jej zdawało, że to dalszy ciąg gorączkowego snu. Oto znajduje się w jasnym, białym pokoju. Wystarczy lekko zwrócić oczy na prawo, tam, skąd przedostaje się jasność do wnętrza, aby ujrzeć delikatną zieloną tkaninę liści, przedziurawioną promieniami słońca. Gałęzie kołysały się, lekko poruszane wiatrem. Lecz działo się to z drugiej strony szyby; wewnątrz panował niezmącony spokój i cisza.

— Tak, to musi być sen, — myślała. — Nigdy przecież na jawie nie widziała ani takiego okna, ani pokoju.

Przypomniała sobie ulubioną bajkę małej Krysi o pluszowym misiu, co lubił spacerować po czarodziejskim ogrodzie, gdzie usuwały się wszelkie przeszkody. Jakimś dziwnym sposobem musiała jej się przyśnić ta zabawna powiastka; — oto najwyraźniej zapora znika, gdyż chociaż jest w pokoju, czuje blizko zapach kwiatów, rosnących w ogrodzie.

Zastanawiała się, co może tak silnie pachnieć. Hijacynty! Przypominają wiosnę i Wielkanoc! Odwróciła lekko głowę w drugą stronę i zobaczyła różowe stożki kwiatów. Leżała więc w ogrodzie, który istniał chyba tylko we śnie.

Zbliżające się na korytarzu kroki przypomniały jej zapomnianą rzeczywistość. Przymknęła powieki i dobrze znane obrazy zaczęły się szybko przesuwać przed oczami: odrapana ściana przeciwległej kamienicy, a wewnątrz, tuż blisko, złe, półprzytomne o czerwonych białkach oczy Marcina, które budzą lęk i przyspieszają bicie serca. Przeżyte chwile wspomnieniem napływają do świadomości: czerwona pręga na plecach, a potem znów pięść, która zawisła nad głową dziecka. Tak, chciał uderzyć! Pamiętała, jak biegła na ratunek, lecz co stało się dalej?

Delikatne kroki zbliżyły się ku drzwiom, ktoś ujął za klamkę i powoli wchodził. Krystyna spojrzała.

— Któż to być może—myślała. Widziała już kiedyś tę twarz, oczy, łagodny uśmiech i usta, które mówią:

— Czy panią boli?

Ach tak, boli świadomość, że jest czerwona pręga na plecach!... żeby przypadkiem nikt nie zobaczył...

Chora machinalnie nasuwa wyżej kołdrę.

— Czy panią boli? — pyta znów doktór Adam Jarmund i dotyka delikatnie obandażowanego czoła.

Poraz pierwszy, odkąd tu leży, patrzyła przytomnym wzrokiem. Doktór uśmiechnął się. Przez długie tygodnie często z niepokojem wpatrywał się w twarz chorej. Przechodziła ciężkie zapalenie mózgu i były dni, kiedy życie wisiało na włosku.

Los wplótł go w życie tej rodziny od pamiętnego wieczora, kiedy przyjechawszy do ubogiego mieszkania na dalekiem przedmieściu, zastał w kącie płaczące dziecko i nieprzytomną matkę na podłodze.

Umieszczenie chorej w prywatnym zakładzie i związane z tem koszty nie przedstawiały żadnych trudności, gdyż lecznica była w połowie jego własnością. Zresztą należał do grupy ludzi, którzy odziedziczywszy praktykę i dobrobyt po ojcu, potrafili go wydatnie przysporzyć. W tym właśnie okresie nosił się z zamiarem otworzenia sanatorjum w jednej z górskich miejscowości i czynił starania, żeby znaleźć odpowiedniego wspólnika.

W ciągu jednak ostatnich tygodni wszystkie sprawy bieżące przeszły na drugi plan, gdyż w domu królowała mała Krysia, a w szpitalu walczyła ze śmiercią jej matka.

Dziewczynka bardzo tęskniła za nią, nigdy natomiast nie wspominała ani o ojcu, ani o domu. Ojciec zresztą nie dał znaku życia. Jarmund na drugi dzień po wypadku pojechał do mieszkania Łączyńskich, chcąc poinformować męża o losie żony i adresie córki, lecz nie zastał nikogo w domu. Mówiono mu, iż nikt nie zgłosił się od wczoraj. Adam zostawił więc u stróża potrzebne dane i z dnia na dzień spodziewał się wizyty lub telefonu, jednak napróżno.

Ile razy wracał myślą do owej sprawy, chwytał sam siebie na tem, że jest z podobnego stanu rzeczy zadowolony. Nie wyobrażał sobie poprostu chwili, kiedy musiałby oddać dziecko temu niepoczytalnemu człowiekowi. Jedyna osoba, która miałaby prawo przeciw temu zaoponować, leżała nieprzytomna i walczyła ze śmiercią.

Był to jeden z powodów, że Adam uśmiechał się radośnie do chorej, widząc, jak jej otwarte oczy patrzą zupełnie przytomnie.

— Uległa pani wypadkowi, — powiedział, — lecz teraz jest już zupełnie dobrze.

— A dziecko? — spytała?

— Znajduje się pod dobrą i pewną opieką. Jest zdrowe i ma przy sobie odpowiednią wychowawczynię. W tych dniach przyprowadzę małą tutaj. Teraz muszę już iść, — dodał, spoglądając na zegarek. Manifestował w ten sposób brak czasu, a właściwie nie chciał narażać chorej na dłuższą rozmowę.

W ciągu następnych dni podczas codziennych odwiedzin doktora, rozmawiali zato obydwoje o różnych sprawach, związanych z dzieckiem i chorobą Krystyny. Doktór wykazał wiele zdolności, w omijaniu tematu, tyczącego się Marcina Łączyńskiego. Nie chciał się zdradzić, że dotąd nie posiada o nim żadnych konkretnych wiadomości.

Adam właśnie z dnia na dzień wybierał się na przedmieście, by się dowiedzieć czegoś konkretnego, gdy pewnego wieczoru sam Marcin Łą-
posiada o nim żadnych wiadomości.

W poczekalni dnia tego było dużo pacjentów. Kiedy pokojówka wręczyła doktorowi kartkę z chwiejnie napisanem nazwiskiem, Adam kazał nowego pacjenta wprowadzić do prywatnych pokojów, a stamtąd poza kolejką do swego gabinetu.

Za chwilę miał przed sobą trzecią i ostatnią osobę tej obcej, a przecież już tak bliskiej rodziny. Spojrzał przybyłemu w oczy. Stanowczo nie były sympatyczne; zaczerwienione, spoglądały niepewnie z widoczną nieufnością.

— Gdzie jest moja żona? — spytał chrapliwym głosem i doktór wyczuł odcień źle ukrytej wrogości.

Najwyraźniej nie był zupełnie trzeźwy. Nie pytając o pozwolenie, zapalił papierosa i rozparł się w fotelu. Należało za wszelką cenę zachować zimną krew i nie dopuścić do najmniejszego zatargu. A przytem wizyta nie mogła trwać zbyt długo, ze względu na oczekujących pacjentów.

Jarmund najchętniej wyrzuciłby za drzwi swego gościa. Z odrazą myślał, że wszystkie gorączkowe majaczenia chorej, jakich wysłuchiwał w ciągu ubiegłych tygodni, wszelkie jej niedole miały siedlisko w tym niechlujnie ubranym i niezupełnie przytomnym człowieku. Już sam fakt, że był jej mężem, wyprowadzał Adama z równowagi.

Na pomoc tej tajonej niechęci przybiegły echem słowa, jakie chora szeptała, lub wykrzykiwała nieprzytomnie.

— Uderzył!... Jak śmiał!...

To powtarzało się najczęściej, uzupełniane przez obietnice, dawane samej sobie, że nie wróci już pod ten dach, gdzie klątwy i niebezpieczeństwo walczyły ze sobą o lepsze.

Tak. Należało pozbyć się dzisiaj gościa za wszelką cenę, a potem obmyśleć sposób dalszego działania.

— żona pana przechodziła ciężkie zapalenie mózgu. Dzisiaj jest w przededniu wyzdrowienia, lecz jeszcze leży w szpitalu. Należało mnie uprzedzić o wizycie choćby przez telefon. W tej chwili jestem bardzo zajęty. Proszę przyjść do mnie jutro wieczorem, lecz uprzedzam, że będzie o wiele lepiej, jeśli nie zajrzy pan przedtem do butelki. W przeciwnym razie, — zaryzykował groźbę — nie zobaczy pan córki!

Nie znał tego człowieka i wszystko zależało teraz od zbiegu okoliczności. Marcin Łączyński siedział przez chwilę, zamyślony, wreszcie podniósł się niezgrabnie i bez słowa skierował ku wyjściu. Adam obserwował uważnie, jak tamten szedł ciężko przez gabinet, równo, bez zachwiania, jakby zupełnie oprzytomniał. Doktór wyczekał jednak, aż usłyszy trzaśnięcie frontowych drzwi i dopiero wtedy zadzwonił, żeby mu wpuszczono następnego pacjenta.

Pierwsza osoba, która weszła do gabinetu, była poważnie chora i to pochłonęła całkowicie uwagę lekarza; momentalnie zapomniał o wszystkiem innem. Kiedy jednak, żegnając się z pacjentem, usłyszał w sąsiednim pokoju głos małej Krysi, która właśnie wróciła ze spaceru, wspomnienie owej dzisiejszej wizyty znów nie dawało mu spokoju. Oto tak niedawno siedział przed nim człowiek, którego prawa sięgały daleko w stosunku do tych dwuch słabych istot, z jakiemi z dnia na dzień zżywał się coraz bardziej. Mała Krysia królowała niepodzielnie w jego mieszkaniu i jej nieuchwytny urok przenikał coraz głębiej do jego duszy.

Kiedyś, będąc na spacerze, zatelefonowała z miasta, żeby położył spać żółtego kotka, bo zapomniała to uczynić. Adam sam śmiał się potem z siebie, że bezkrytycznie spełnił jej polecenie, narażając w ten sposób zebranych w poczekalni pacjentów, iż musieli o kilka minut dłużej wyczekiwać swojej kolei.

A tamta? Jej matka?... Zawsze jak dotąd była tylko pacjentką, słabem stworzeniem, które trzeba ochronić przed śmiercią.

O ratunku przed mężem nie myślał nigdy. Owa zła, destrukcyjna siła, jakiej wyobrażeniem był tamten człowiek, nie miała żadnych kształtów, nie wyrażała się żadną postacią. Poprostu — nie istniał. Długa nieobecność i brak jakichkolwiek zainteresowań z jego strony zdawały się potwierdzać to mniemanie.

Teraz nareszcie się zjawił! żywy, barczysty mężczyzna, o bladej, pooranej przewczesnemi bróżdami twarzy, w zaniedbanem ubraniu, pełnem plam i śladów niechlujnego życia, jakie nieodmiennie towarzyszy pijakom.

Adam zapomniał o pacjentach, którzy na niego oczekiwali i oparłszy się na łokciach, poddał się rozmyślaniom na ten nowy dla niego temat.

Tyle razy patrzył badawczo w twarz Krystyny Łączyńskiej, a przecież nigdy sobie nie uświadamiał, że ta nieprzytomna, wyczerpana gorączką istota, z polepionemi kosmykami włosów, uratowana cudem od śmierci, w dzień zupełnego wyzdrowienia odejdzie, zagubi się w tłumie i pójdzie naprzeciw nowym przykrościom i niebezpieczeństwu, będzie żoną tego oto mężczyzny!...

Pokojówka, zaniepokojona niebywałem zjawiskiem — tak długą przerwą w przyjmowaniu pacjentóów, — zapukała do drzwi. Ocknął się i zadzwonił. Był to znak, że może wejść następny chory.

— — — — — — — — — — — — — —

— Adasiu, — prosiła nazajutrz mała, — weź żółtego kotka do mateczki !Naturalnie mnie też, bo ktoby się mojej dzieckiem opiekował!

Czuła się już tutaj oddawna, jak w domu, a nawet potrafiła nieraz uchwycić moment, kiedy wyszedł jeden pacjent, a jeszcze nie wszedł drugi i wsunąć się bocznemi drzwiami, przypominając o „recepcie“ dla nieodstępnej wiewiórki; właśnie potrzeba było zapisać lekarstwo, które się na „czeko“ zaczyna i „lada“ kończy.

Od jakiegoś czasu zawsze w jednej z szuflad biurka znajdował się odpowiedni lek i „mama“, otrzymawszy słodką porcję, odchodziła zadowolona, przykazując poważnie:

— Pamiętaj, jak tylko poślesz do domów tych wszystkich ludzi, co siedzą w poczekalni, przyjdź zaraz do pokoju, zanim jeszcze zasnę!

Krystyna była już o tyle zdrowa, że codziennie podnosiła się na jakiś czas z łóżka. Zbliżał się moment, kiedy miała zacząć wychodzić na krótkie przechadzki po miejscowym ogrodzie.

Dnia tego czuła się silniejsza, niż zwykle i miała nieprzepartą chęć wydostać się na powietrze. Nie wolno jednak tego było uczynić bez zezwolenia lekarza. Zato można, nie pytając się nikogo, ubrać się w swoją

skromną sukienkę i przynajmniej mieć złudzenie, że należy się już do zdrowych.

Około południa mała Krysia weszła ostrożnie do pokoju; była to jej pierwsza wizyta. Za nią wsunął się Adam. Obydwoje z niekłamaną uciechą powitali rekonwalescentkę.

Lecz uśmiech zniknął z twarzy doktora, kiedy przypomniał sobie, z jaką dzisiaj przyjechał misją.

— Mam z panią różne do omówienia sprawy, których nie mogę odkładać. Czy nie zechciałaby pani pojechać razem ze mną do mnie, a tam porozmawiamy o wszystkiem swobodnie? Potem panią odwiozę na miejsce. Zgoda?

Zafrasowała się.

— Czy stało się co złego? — spytała.

Nie to, lecz widziałem się z pani mężem. Muszę wiedzieć jej zdanie w tym względzie.

Odkąd zdrowie zaczęło jej wracać, nieraz już mówili o tem i Adam musiał nieco kłamać. Nie przyznał się, że w ciągu całego czasu nie widział się z Marcinem Łączyńskim. Jego nieobecność w szpitalu tłumaczył zakazem składania chorej wizyt.

Jechali teraz autem i Krystyna oddychała głęboko. Poraz pierwszy od wielu tygodni opuściła szpital — siedlisko choroby, miejsce przesiąknięte niedolą ludzką i cierpieniem. Oto wracała do świata, który wprawdzie nie uśmiechał się do niej, nie mniej jednak był przepojony promieniami słońca i wiosną.

Milczeli obydwoje, tylko dziecko szczebiotało niestrudzenie.

Siedzieli naprzeciw siebie w gabinecie, przedzieleni nie tylko biurkiem, lecz warstwą niepoznanych wzajemnie myśli. Właściwie się nie znali. On ze strzępów gorączkowych majaczeń wiedział, że nie była szczęśliwa. Rozpoznał to zresztą i bez tego znacznie wcześniej. Lecz to jeszcze nie wszystko. Należało ustalić, co zamierza dalej ze swem życiem uczynić.

O tem właśnie mieli dzisiaj rozmawiać. Krystyna czuła prawdziwą tremę przed tym obcym człowiekiem, o którym nic więcej nie wiedziała ponadto, że mu tak nieskończenie dużo musi zawdzięczać. To poczucie było niemiłe. Poprostu ją onieśmielało.

— Mąż pani był u mnie wczoraj — powiedział wreszcie Adam, — lecz właściwie nie mieliśmy możności się porozumieć. Ma to nastąpić dzisiaj. Chciałbym wiedzieć pani o nim zdanie, oczywiście w granicach w jakich mi zechce zaufać.

Krystyna zamyśliła się i milczała. Nie tak łatwo było otwierać własne serce, opowiadać o przeżyciach i duchowych rozterkach.

— Sądzę, iż byłoby najlepiej, — rzekła, — gdybym mogła znaleźć zajęcie, które dałoby utrzymanie mnie i dziecku. Myślę, że moja obecność w domu niewiele może już zmienić...

Adam odetchnął z ulgą. Był jej niemal wdzięczny za te słowa. Wyobrażać sobie tę delikatną istotę, jako żonę pijanego gbura, było to zbyt przykre do zniesienia.

— Być może, — powiedział, — że uda mi się wystarać dla pani

o posadę w Zakopanem, jeśli oczywiście jej decyzja nie zostanie zmieniona...

— — — — — — — — — — — — — —

Marcin Łączyński miał być dnia tego pierwszym pacjentem. Adam zostawił dla niego całą godzinę czasu, chociaż wyobraził sobie, że załatwi wszystko w przeciągu kwadransa. Czuł się dziwnie podniecony i dłużyły mu się minuty oczekiwania; nie umiał przewidzieć, czy zetknie się z podpitym brutalem, czy żebrzącym ludzkim łachmanem, który, nie jest wykluczone, że gotów się zwrócić o pieniężną pożyczkę.

Tymczasem nie stało się ani jedno, ani drugie. Łączyński wszedł do gabinetu zdecydowanie, choć cicho i zajął spokojnie wskazane miejsce.

Adam obrzucił go badawczem spojrzeniem i dostrzegł jasne, wyblakłe, zaczerwienione, lecz przytomne oczy.

— Czy zdrowie mojej żony poprawiło się o tyle, że pan doktór zezwoli, żebym się z nią zobaczył?

— Być może, iż wkrótce będzie to możliwe.

— A... czy prędko powróci do domu?...

— Sądzę, że dokąd pan pije, jest to mało celowe. żona pana czuje się bardzo słaba i przez szereg miesięcy musi unikać wszelkich wzruszeń. Czy pan zdoła jej zapewnić spokój? Sądzę, że nie. Ja, jako lekarz, pierwszy powinienem się szybkiemu powrotowi sprzeciwić...

Marcin Łączyński zerwał się z krzesła.

— Cóż się ze mną stanie? — zawołał. — Jeśli ją utracę, będzie jeszcze gorzej!

Podparł łokciem głowę i zamyślił się. Milczenie trwało długą chwilę. Nagle wybuchnął:

— Czy pan doktór myśli, że tak łatwo jest nie pić? Każdy róg, każdy szynk, każdy przyjaciel, a nieraz nawet rodzona matka nęci napełnionym kieliszkiem! Powiadają, że jedyne lekarstwo — to zupełna abstynencja. A czy pan doktór zna uczucie upośledzenia, że to, co wszyscy robią naokoło i nawet pochwalają, jako dobre, człowiekowi jest zabronione?

Zerwał się i chodził nerwowo po pokoju, zgarbiony, z zaciśniętemi kurczowo pięściami.

Adam patrzył i obudził się w nim raptem lekarz. Miał oto przed sobą poważnie chorego człowieka, któremu należało pomóc. Zapomniał momentalnie o niechęci, jaką żywił jeszcze przed chwilą.

— Czy dawno pan pije? — zapytał.

— Dawno? Trudno określić, kiedy był początek, to tylko pewne, że się zaczęło od jednego kieliszka. Ten jeden nauczył, że nie istnieje miara! Dzięki niemu potrochu podziewa się gdzieś człowiek, a zostaje bydlę!

Adam nie patrzył w stronę mówiącego; czynił tak zawsze, jeśli chciał ułatwić pacjentowi zwierzenia.

— Jestem człowiek prosty i swojego chowu, ale żeby pan doktór wiedział, jaki byłem szczęśliwy, — mówił Łączyński dalej, — kiedy Krystyna, panienka ze dworu, zgodziła się zostać moją żoną! O, wtedy ni-

gdybym nie uwierzył, że może przyjść chwila, kiedy na nią podniosę rękę... A przecież już wtedy piłem i czasami potrafiłem przebrać miarę...

... Mówili, że zabawnie wyglądam, jak sobie podpiję. Czy kto może mnie ganił? Broń Boże! Dawniej, kiedy jeszcze mowy nie było o małżeństwie, sama dziedziczka czasem poczęstowała nalewką, a ksiądz proboszcz winem. Nawet Krystyna nie widziała w tem nic złego, aby tylko nie wyjść z formy. A tymczasem człowiek nieuchwytnie przejdzie jakiś niewidzialną granicę i potem już ciągle z tej formy wychodzi!...

— Dobrze, więc jeśli pan wie, jaki skutek wywiera picie, to czy ze względu na dziecko i żonę nie należałoby się powstrzymać?

Coś raptem zgasło w podnieconej twarzy Marcina. Przestał chodzić po pokoju i usiadł ciężko na krześle.

— Jabym nie chciał pić, lecz jest we mnie jakaś wewnętrzna siła, która ciągnie. Wystarczy zachęta, nawet czasem zapach... Wie pan przecież, że na ulicy nie brakuje szynków, a ludzie, których spotykamy, mimo, iż najczęściej traktują nas obojętnie, do jednego przecież są skorzy: do poczęstunku w knajpie. Ale to wszystko mało. Dwa dni temu naprzykład byłem u kolegi za interesem. Do kolacji stawiają pękatą karafkę, namawiają, nie dają spokoju. Wiem dobrze, że jeżeli wypiję jeden kieliszek, wszystko przepadło. Postanowiłem nie dać się skusić; mówię, że jestem chory i wogóle nie jadam kolacji. Wyszedłem do drugiego pokoju pod pozorem, że chcę nastawić radjo, aby tylko być od stołu jak najdalej. Odezwała sięWarszawa, a pierwsze słowa, jakie usłyszałem, brzmiały: „Słyszeć o konjaku Arvine — to za mało. Należy go sprobować". Tak, panie doktorze; najpierw społeczeństwo wytrwale nad tem pracuje, żeby zrobić z nas alkoholików, potem potępia, choć jednocześnie zdaje się dobrze pilnować, żeby kto nie popadł czasami w abstynencję. Skończyło się na tem, że piłem tego dnia u kolegi, a potem dokończyłem w pierwszym lepszym napotkanym szynku.

Doktór słuchał uważnie. To, co mówił pacjent, zgodne było z prawdą. Ileż razy sam chodził naokoło stołu z butelką w ręku i częstował niestrudzenie swych gości!

— ... Pan doktór może myśli, — mówił tymczasem tamten, — że podobnych do mnie plącze się po świecie niewielu — takich, na kórych nawet zapach wódki działa podniecająco i ciągnie? Nieprawda, pełno ich wszędzie. Jeden tylko pokiwa się na własnych nogach i pójdzie do domu, a inny leży przy każdej okazji w rynsztoku. Są i tacy, po których pozornie nie widać, że dużo wypili, a przecież ci, czy inni, marnieją najczęściej w jednakowy sposób.

— Widzę, że pan doskonale orjentuje się w całej sprawie. Czy nie probował się pan kiedy leczyć?

Marcin zaśmiał się ironicznie.

— Owszem, probowałem i tego. Był sobie raz taki jeden doktór, który długo przekonywał mnie i tłumaczył, aż wreszcie zdołał dopiąć swego.

Przez kilka miesięcy nie miałem w ustach ani kropli trunku i wszystko zdawało się być na jak najlepszej drodze. Kiedyś poszedłem do doktora, lecz nie było go w domu; czekałem w salonie, przedzielonym sznurem na część prywatną i dla pacjentów. Nigdy nie przekraczałem wyznaczonej granicy, lecz wtedy właśnie nabrałem ochoty, aby przejść na

tamtą stronę. Na stole leżał album — prywatna własność pana doktora. Może jestem prostak, ale nie pytając się nikogo o pozwolenie, zajrzałem do środka. Zobaczyłem wewnątrz bardzo ładne zdjęcia, starannie nalepione na ciemny karton i podpisane białym tuszem. Śliczna kolekcja! Tu pani doktorowa w leżaku, tam piesek na dwuch łapkach i wreszcie goście przy stole, z kieliszkami wzniesionymi do góry. Między zebranymi oczywiście i mój doktór, a pod spodem napis: „Zdrowie ukochanej Marychny". Pan rozumie? Zdrowie! To zdrowie, które według jego zdania, rujnuje się każdym kieliszkiem. Nie, pomyślałem sobie, jeśli mam ufać człowiekowi, który przemawia do mnie słowami nauki, to jego czyny muszą te słowa potwierdzać. Bo jakże może być inaczej?

Rzucił to ostatnie pytanie nieco głośniej. Odbiło się zupełnie wyraźnie w świadomości Adama i spłynęło wypiekami na policzki. Marcin tymczasem mówił dalej w najwyższem podnieceniu:

— ... Przykładem najlepiej przekonać, panie doktorze! Bo co będzie dla społeczeństwa za różnicą, czy ja wypiję w życiu sto butelek mniej, czy więcej? Ile razy trzymam kieliszek w ręku, to potem jestem pijany i każdy wie, gdy na mnie patrzy, że picie to zło! A tymczasem jeśli pan doktór naprzykład wzniesie czyjeś zdrowie, to raczej można sądzić, że robi dobrze, dlaczegóż go więc nie naśladować? „To trucizna" — powiedział do mnie tamten, — „gasi iskrę Bożą w człowieku". — Jakże mu wierzyć, kiedy sam się chętnie truje i tę iskrę dobrowolnie traci?

Pamiętam, że nie czekałem ani chwili dłużej, lecz natychmiast wyszedłem, żeby więcej nie wrócić. Naturalnie nie należy chyba dodawać, że ten kieliszek w ręku pana doktora przekonał mnie dostatecznie, że straszenie skutkami picia — to poprostu przesada.

Znów zamilkł i wytarł chustką zroszone potem czoło. Minęła długa chwila, zanim dalej zaczął mówić ze smutkiem:

— Potem, kiedyś po pijanemu podniosłem na swoje dziecko rękę. Postanowiłem wtedy, wytrzeźwiawszy, szukać raz jeszcze ratunku. Zwróciłem się do Izby Lekarskiej z zapytaniem, czy jest Związek Lekarzy Abstynenetów. Chciałem być pewien, iż na takiego doktora trafię bez oszustwa. Odpowiedzieli mi, że podobnego Związku w Polsce niema. Przecież jeżeli jest coś naprawdę groźne, to należy się przeciw temu zrzeszyć. Czy pan doktór nie przyzna mi racji?

Adam milczał. Ważył właśnie w myślach postanowienie, rozmyślał nad sobą i tem wszystkiem, co usłyszał.

— Niech pan przyjdzie do mnie jutro,—powiedział nagle z mocą, wyciągając do Marcina rękę,—a będę mu mógł wskazać lekarza abstynenta, który dołoży wszelkich starań, żeby pana wyleczyć i dopomoże do odbudowania domowego ogniska.

Zanim pacjenci zaczęli się schodzić, Adam porozumieł się telefonicznie z księgarnią i polecił, by mu przysłano alkoholową współczesną literaturę. Poraz pierwszy zainteresował się pismem „Trzeźwość" i zdobył wiadomość, iż Związek Lekarzy Abstynentów, wprawdzie założony niedawno, jednak już istnieje i liczy pół setki członków.

— Tak, Marcin Łączyński miał rację, — rozmyślał, — nic dziwnego, że trudno znaleźć lekarza, któryby nie pił z przekonania.

Dnia tego czekał go pracowity wieczór: przyjął codzienną porcję pacjentów, a potem zagłębił się w książkach medycznych, wyszukując

różne dane o schorzeniach na tle alkoholu. Nie były mu przecież obce te rzeczy, a jednak, czytając pod kątem specjalnego widzenia, wynadywał nowe zgoła i zastanawiające spostrzeżenia.

Zainteresowało go szczególnie to, co wyczytał o drobnych dawkach alkoholu.

„Nawet w rozmowie przebija się obniżenie poziomu intelektualnego — pisał profesor doktór Klecki, — które wskazuje, że alkohol w miernych dawkach upośledza najwyższe sprawy myślowe, skąd płynie dobrze umotywowany sąd i subtelna krytyka, zarówno siebie samego, jak i innych. To niejako niższe branie rzeczy świadczy, że alkohol, w dawkach pozornie nieszkodliwych, nie podnieca, a przeciwnie — poraża subtelne czynności mózgu, zaś wzmożona chęć mówienia podobnie, jak i większa pohopność do wszelkich wogóle czynności ruchowych tłumaczy się również porażeniem hamującego działania mózgu, który w warunkach prawidłowych rzeczone czynności należycie miarkuje".

— — — — — — — — — — — — — —

Adam położył się późno, lecz nie mógł zasnąć. Coś niepokoiło go i nurtowało w głębi, lecz nie mógł sobie dokładnie zdać sprawy, co mu właściwie dolega. Usiłował nadsłuchiwać, chcąc dociec, czy przeszkoda nie tkwi przypadkiem nazewnątrz, a nie w głębi duszy. Zapalił wreszcie światło, narzucił szlafrok i poszedł do stołowego pokoju, gdzie spało dziecko. Stanął nad posłaniem i pochylił się, lecz usłyszał tylko spokojny, równy oddech. Jedna rączka dziewczynki obejmowała wypchaną wiewiórkę, druga zwisała bezwładnie. Ujął delikatnie drobne paluszki, pocałował i ułożył na kołdrze. Wpatrywał się czas jakiś w drobne rysy dziecka, myśląc jednocześnie, że jutro przyjdzie mu przekonywać Krystynę Łączyńską, iż powinna ratować swego męża i powrócić do domu. Jakże ciężko było przestudjować tę dojmującą myśl, że zarówno dziecko, jak i ta najmilsza z pacjentek znikną dzięki temu z kręgu jego własnego życia, gdyż zabierze je tamten.

Nazajutrz Krystyna znów przyjechała do prywatnego mieszkania doktora, aby odbyć ową ważną rozmowę, o której wspomniał rano, wizytując szpital, jak codzień.

Siedzieli znów naprzeciw siebie. Ona utkwiła pytający wzrok w Adamie, nieco zdziwiona, iż nie zaczynał rozmowy. Czekała cierpliwie, rozkoszując się spokojną atmosferą, jaka zdawała się tkwić w każdym sprzęcie tego domu. Nie przeczuwała, że w piersi siedzącego naprzeciw mężczyzny walczyły i zmagały się ze sobą dwie siły, dwa różne niby jestestwa: lekarz i ten drugi, zwykły sobie człowiek, który pragnął tamtemu iść naprzekór.

— Rozmawiałem wczoraj poważnie z pani mężem, — powiedział wreszcie, — i po bardzo długiem zastanowieniu doszedłem do wniosku, że pani powinna powrócić do domu, kiedy tylko jej zdrowie na to pozwoli.

Dostrzegł najwyraźniej, że się przeraziła. Przypomniał sobie siną pręgę na plecach, jaką widział podczas pierwszej wizyty, a potem skrwawione czoło. Na cóż narażał tę słabą kobietę, namawiając ją do powrotu? Jednocześnie tkwił w nim czujny lekarz, który mówił dalej:

— Pani obecność pomoże go uratować. Będę go leczyć i uczynię wszystko, żeby wam obojgu dopomóc. Żona, spokój i ład w domu, atmosfera ciepła i troskliwości — to jedne z ważniejszych czynników kuracji...

Krystyna siedziała sztywna bez ruchu. Czuła dreszcze na całem ciele i bała się poprostu poruszyć, aby nie widać było, że drży.

— Zastosuję się do rady pana doktora, — rzekła wreszcie, — lecz cóż pocznę z długami pieniężnemi, jakie obok moralnych zaciągnęłam wobec pana?... Byłabym bardzo rada, mogąc znaleźć jakiekolwiek zajęcie. Zarówno ja, jak i dziecko, korzystałyśmy tak długo z jego gościnności i dobroci...

— Proszę to więc i nadal podobnie traktować: gościnność. Jestem współwłaścicielem lecznicy i pobyt pani nie sprawił żadnej różnicy. Co się tyczy małej, mogę być najwyżej wdzięczny losowi, że zesłał mi takiego gościa.

Krystyna spuściła nisko głowę, zanim cicho rzekła:

— Dziękuję. Zawdzięczam panu tyle, może nawet życie. Chętnie zawsze słuchać będę jego rady, jeśli mi jej łaskawie udzieli. Czy wrócę do domu? Zrobiłabym to w jednej chwili, gdybym miała przekonanie, że stanie się naprawdę domem...

—Uczynię wszystko, — powtórzył Adam, — żeby wam obojgu dopomóc.

Zanim tego popołudnia Krystyna odjechała do lecznicy, zostało postanowione, że w ciągu najbliższych trzech dni znów zamieszka z mężem pod wspólnym dachem.

— — — — — — — — — — — — —

Marcin Łączyński wyszedł od doktora pełen otuchy i w doskonałym nastroju. Nabrał znów ufności, że wszystko zło, jakie było, da się jeszcze odrobić.

Kiedy mijał jeden z barów, owionął go zapach alkoholu i zachwiał nieco beztroski nastrój. Przystanął machinalnie i, po rozmowie, bez słów z samym sobą, poszedł dalej. Zniknął jednak pierwotny entuzjazm i owładnęło nim zniechęcenie. Wszystko wydawało się szare i bezbarwne, niewarte zupełnie zachodu, gdyż i tak się nie uda. Poczuł dreszcze i miał wrażenie, że wewnątrz niego coś się załamało, zmniejszyło odporność, uczyniło go słabym i chorym. Skulił ramiona i wlókł się teraz, jak przytłoczony niewidzialnym ciężarem.

Nagle otwarły się tuż przed nim drzwi restauracji i zadźwięczała hałaśliwa muzyka. Marcin znów stanął, lecz tym razem decyzja była krótka; po chwili pewnym krokiem wszedł do środka na „jednego".

Wypiwszy sporą porcję kieliszków, stał się niespokojny i agresywny. Drażnił go kelner, który nie zjawił się momentalnie na zawołanie, irytowali roześmiani przy sąsiednim stoliku goście. Kiedy wreszcie się podniósł i krzyknął na orkiestrę, żeby przestała grać, wyprowadzono go z sali. Nie opierał się zresztą. Był pewien, że otaczają go sami wrogowie i najlepiej będzie usunąć się im z drogi.

Niestety, na ulicy prześladowanie nie ustało; zmieniło się tylko jedno, nie byli to już bowiem ludzie, tylko dziwne z błyszczącemi ślepiami

zwierzęta. Czaiły się zewsząd, przebiegały z głośnym pomrukiem. Marcin na razie usiłował się schronić, wyminąć, lecz wreszcie wyczerpała się cierpliwość. Zawsze ma ustępować? I komu?

Zdaleka, w mroku nocy ukazały się znów dwa błyszczące ślepia, zbliżały się, rosły z niebywałą szybkością. Ukryty za kioskiem, Marcin czekał z podniesioną do góry laską. Odważnie wyskoczy naprzeciw, zabije, pozbędzie się choć jednego z prześladowców!

Zwierzę było już tak blisko, że słychać było wyraźnie jego chrapliwy warkot. Wtedy Marcin wyskoczył naprzeciw i, machnąwszy z rozmachem laską, padł przed samą paszczą dzikiego potwora.

Coś mocnego, ciężkiego przygniotło mu piersi i dławiło do utraty tchu. Usiłował bronić się, wyrwać, z bolesnych objęć, lecz siły uchodziły i wszystko zapadło się w nieprzeniknięty mrok.

— — — — — — — — — — — — —

Następnego wieczoru, Adam oczekiwał na swego pacjenta niecierpliwie. Teraz mógł już śmiało patrzeć mu w oczy, bez przykrego wrażenia, że go oszukuje. Sam bowiem postanowił od tej pory nie pić.

Z drugiej znów strony pragnął gorąco, by ta wizyta jak najprędzej minęła. Ileż dałby za to, żeby się móc przekonać, że ten człowiek istnieje tylko w złym śnie, a nie na jawie. Miał przecież zabrać dwie drogie istoty, bez których życie traciło właściwy sens.

Godziny mijały, na rozmyślaniach, a Marcin Łączyński nie przychodził. Zdenerwowanie Adama wzmagało coraz bardziej, postanowił więc zmusić się do przejrzenia gazet, które dziś zupełnie zaniedbał.

Było już dosyć późno, gdyż nie chcąc, by im przeszkadzano, zamówił wizytę Marcina już po wszystkich przyjęciach. Rozwinął pierwszy lepszy dziennik i czytał machinalnie pokolei, nie zastanawiając się zbytnio nad treścią. Nagle wpatrzył się w drobną notatkę i, przeczytawszy pocichu, powtórzył całą treść półgłosem. Wargi mu drżały, kiedy szeptał:

> „Dzisiaj nad ranem rzucił się pod samochód pijany mężczyzna. Wezwany lekarz pogotowia stwierdził śmierć. Jak z papierów stwierdzono, denat nazywa się Marcin Łączyński...“

— — — — — — — — — — — — —

Minęło wiele miesięcy i zbliżało się Boże Narodzenie, kiedy doktór Jarmund znalazł wreszcie pewnego dnia w skrzynce list, z pieczątką z Zakopanego. Spojrzał na adres, pisany ręką Krystyny i niecierpliwie rozerwał kopertę. Wewnątrz znalazł kartkę od małej Krysi, która pisała niezgrabnemi, drukowanemi literami: „Kochany Adasiu! Żółty kotek zachorował. Jest chudy i wyłazi mu futro. Przyjedź go wyleczyć. Czekamy niecierpliwie. Najlepiej jest z Tobą. Krysia“.

Pod spodem Krystyna dopisała również swoje imię.

Adam uśmiechnął się wzruszony. Był to właśnie list, którego oczekiwał od długich miesięcy.

Zofja Herwichowa.

ZGON F. N. CHARRINGTONA ANGIELSKIEGO APOSTOŁA TRZEŹWOŚCI.

Niedawno rozstał się z życiem w Londynie 85-io letni Fryderyk N. Charrington, najbardziej zapamiętały i oryginalny bojownik idei trzeźwości, nie tylko na terenie przyzwyczajonej do oryginalności i ekstrawagancyj Anglji, ale i całego świata.

Działalność F. N. Charringtona, po za nadzwyczajną, iście zawodowo-bokserską techniką pięściową, pozostawiła wiekopomny budynek, w postaci dużego sanatorjum dla alkoholików, wzniesiony na Osea Island, małej wysepce na rzece Tamizie.

Na tym to, oblanym zewsząd wodą gruncie, wyleczono i odzwyczajono od używania alkoholu nie jednego Anglika. Ale nie dzięki temu to sanatorjum, zmarły niedawno Charrington, zdobył popularność.

Charrington był synem jednego z najbogatszych w Anglji właścicieli browarów, na tamtejszą walutę miljonera i jak to się mówi z okładem. Młody Fryderyk nie miał inklinacji kupiecko-browarniczych i nieomal od swego dzieciństwa zachowaniem swojem znamionował, że nie pójdzie w ślady swego ojca. Miał on powołanie kaznodziejsko-propagatorskie. Przebywając po podłych i obskurnych szynkach White - Chapel, dzielnicy w rodzaju naszej Woli, wyszukiwał on pijaków i przestępców i perswadował im porzucenie nałogu i zawodów, kolidujących z moralnością i kodeksem karnym. Nie tylko jednak, młody Fryderyk działał słowem. Potrafił on, niejednokrotnie, obdarowywać biedaków pieniędzmi, otrzymanemi od ojca na przyjemności. Jak przystało na Anglika wysportowanego i odważnego, potrafił on wiele razy wyjść obronną ręką z nieporozumień, wszczętych między nim, a pijakami, gwałtem odciąganymi od kieliszka, zostawiając za sobą na ziemi znokautowanych awanturników.

Decydujący wpływ na psychikę młodocianego propagatora trzeźwości miał epizod typowo chamski i pijacki, jakiego młody Charrington był świadkiem na początku swego działania. Przechodząc późnym wieczorem, koło pewnego szynku, zobaczył on ubogo ubraną kobietę z dwojgiem, czepiających się jej sukni, małych dzieci. Kobieta ta prosiła, przez niedomknięte drzwi, siedzącego wewnątrz knajpy przy kieliszku męża, o wręczenie jej trochę pieniędzy na zakup żywności dla głodnych dzieci. Pokorne prośby odniosły wręcz odmienny skutek. Z knajpy wyszedł zataczając się jej mąż, pijak o złej fizjonomji i bez słowa zadał jej cios kułakiem w twarz. Biedna kobieta przewróciła się do rynsztoka, a brutal, nie zważając na to, poszedł sobie dalej, nie oglądając się nawet.

Młody Charrington, który obserwował to tak charakterystyczne zajście, podniósł oczy na wywieszkę reklamową, przytwierdzoną do drzwi wejściowych knajpy.

Wywieszka ta zachwalała w szumnych słowach wartości piwa, wyrabianego przez browary... jego ojca. Jak opowiadał później Fryderyk Charrington, widok uderzenia pięścią, tej nieszczęśliwej matki, było przełomowym punktem dla jego życia. Postanowiłem całkowicie wycofać się z handlu napojami alkoholowemi, o czem zwierzyłem się swemu ojcu".

Postanowienie to, kosztowało go grubo, gdyż ojciec, nie kwestjo-

nując słuszności jego postanowienia, zapisał zakłady browarnicze w spadku nie synowi, lecz innemu, szczęśliwszemu spadkobiercy. Wówczas Fryderyk Charrington poświęcił się całkowicie zwalczaniu nałogu pijackiego. Jednym z pierwszych dowodów jego przedsiębiorczości i zdolności organizacyjnych było stworzenie „Towler Hamlets Mission", instytucji istniejącej do dziś dnia, mogącej pomieścić w swych obszernych salach przeszło pięć tysięcy słuchaczy. Urządzał tam słynne niedzielne herbatki, spraszając nędzarzy, którym dawał jadło pod warunkiem wysłuchiwania prelekcyj o zgubnych skutkach alkoholizmu. Tak, jak przeddzień Wielkiejnocy biskupi omywają tradycyjnie nogi nędzarzom, na znak pokory, ówczesny książe Walji, obecnie zmarły niedawno król Angielski Jerzy V-ty, roznosił własnoręcznie biedakom herbatę, w ostatnią niedzielę przed Bożem Narodzeniem.

Jak już zaznaczyłem, Charrington był odważny i wysportowany. Był on wysokim i atletycznie zbudowanym mężczyzną o podbródku bokserskim. Z paru innymi entuzjastami trzeźwości, nie mniej od niego dobrze władających pięściami, młodymi ludźmi, wpadał on jak Atylla do rozmaitych karczem i poślednich barów, staczając zwycięskie bójki z rozpijającymi biedaków karczmarzami, niejednokrotnie, drogą terroru zmuszając ich do zlikwidowania swych interesów. Akcja Charringtona, prowadzona przy pomocy argumentów, pieniędzy i pięści przyczyniła się do zamknięcia przeszło 200-tu tego rodzaju przedsiębiorstw.

Oczywiście, że Charrington posiadał moc wrogów, którzy również chwytali się wszelakich sposobów dla jego unieszkodliwienia. Np. trzynaście lat temu w r. 1923, gdy 72-u letni „Apostoł Trzeźwości" rozdawał na ulicy jednego z przedmieść Londynu ulotki przeciwko konsumcji alkoholu, dokonano na niego zorganizowanego napadu. Powalonego na ziemię Charringtona bito i kopano tak, że stracił przytomność, na swoje szczęście, zresztą. Napastnicy, uważając go za martwego, pozostawili w spokoju, poczem zbiegli. Charington wyleczył się jednak i bynajmniej nie zaprzestał swej, pełnej poświęcenia akcji. Razu pewnego dokonał on nawet niebywałego, w historji parlamentaryzmu angielskiego, czynu świadczącego wprost o jego fanatyzmie i niebylejakiej odwadze cywilnej. Mianowicie, w drugim roku, pierwszej wojny światowej, dokładnie dnia 18 maja 1915 roku, podczas posiedzenia Izby Gmin, na salę obrad wkroczył elegancko, na czarno ubrany w cylindrze — Charrington i podszedł do stołu marszałkowskiego. Z tego to stołu schwycił on berło i zanim zdołano go powstrzymać, czy też usunąć z sali, wypalił jędrną i płomienną mówkę przeciwko bufetowi w parlamencie, w którym delegaci ludu korzystali często bardziej z whisky niż soda i to w pokaźnych ilościach. „Wojna wymaga od wszystkich całkowitej trzeźwości, a co zatem idzie abstynencji" — grzmiał w ostatnim zdaniu głos niepowołanego mówcy.

Ze sprawy, wytoczonej przeciwko niemu, Charrington wyszedł obronną ręką dzięki akcji sympatyków i prawdopodobnie interwencji króla, ale nim doszło do jej umorzenia, a nawet do opuszczenia gmachu parlamentu, stoczył on walkę z sześcioma posłami, chcącymi go zmusić do zamilknięcia z takim skutkiem, iż deputowani długo kurowali się z siniaków i guzów. Dopiero pomoc licznych funkcjonarjuszy straży parlamentarnej dopomogła do jego ubezwładnienia.



rys. Czesław Kaczmarczyk.

Bitny i wymowny Charrington wogóle nikogo się nie obawiał. Jeszcze parę lat temu, będąc już przeszło 80-io letnim starcem stłukł do niemożliwości jakiegoś pijaka. Przyczyną tego zboksowania było to, iż pijak, w napadzie szału miał zamiar zadusić swoją żonę. Zdecydowana interwencja Charringtona, poparta gradem „sierpowych“, uniemożliwiła zamiar morderczy alkoholika. Podczas bójki, popularnie zwany „Wujaszek Fred“, postradał parasol, który mu następnie z groszowych składek odkupili jego ubodzy wielbiciele.

Zazwyczaj moralizatorzy nie są lubiani przez ogół, z „Wujciem Fredem“ jednak to nie miało miejsca — był on przez szerokie rzesze mieszkańców Londynu ubóstwiany. Szanowali go zwłaszcza „nawróceni“ eks-pijacy.

W jego biurze, misji „Tower Hamlets“, na ścianie, wisiał żelazny pogrzebacz od węgli. Był to dar od pewnego pijaka, który wręczył go Charringtonowi, mówiąc, iż za pomocą niego miał zamiar uśmiercić swą żonę, od którego to zamiaru jednak odstąpił, pod wpływem wymowy „apostoła trzeźwości“.

Swoją niebywałą siłę fizyczną i długowieczność tłómaczył Charrington absolutnem nieużywaniem alkoholu w jakiejkolwiek postaci.

Michał Godlewski.

WAŻNE POSIEDZENIE.

— To nie może być! Do tego nie możemy dopuścić! Do czegóż wreszcie dojdziemy?! Dziś ten, jutro tamten! Co za niesprawiedliwość! Gdyby to jeszcze kawaler — pal licho! Ale tu człowiek żonaty, czworo dzieci! Nie! To niesłychane! — wołał pan prezes, chodząc wzdłuż i wszerz po sali, w której odbywały się posiedzenia zarządu — i nietylko chodził, ale i przystawał i dla udokumentowania swego oburzenia uderzał raz po raz pięścią w stół zaścielony zielonym suknem.

Inni członkowie zarządu solidaryzowali się ze swoim prezesem i na dowód, że cieszy się ich zaufaniem, również kuli pięściami o stół, powtarzając:

— Tak jest, nie może być!

— Do niczego nie dojdziemy!

— Dziś ten, jutro ja!

— A żona?!

— A dzieci?!

Zaś przy drzwiach stał robotnik skromnie pochylony, mnąc czapkę w czarnych dłoniach — o twarzy żółtej jak glina, o oczach mętnych jak woda w bagnie.

— Nie damy cię, przyjacielu, zredukować! — oświadczył pan prezes, kładąc poufale rękę na zredukowanem ramieniu.

— Nie damy! — powtórzyli chórem inni z Zarządu.

— I to kogo? — zwrócił się do stołu pan prezes — tak zasłużonego członka naszej organizacji! — żona, czworo dzieci...

Robotnik nie widział wprawdzie swojej zasługi dla organizacji w tem, że się ożenił i czworgiem dzieci przyczynił do powiększenia wła-

snej i ogólnej biedoty, ale wyprostował się dumnie i waląc pięścią w piersi, zapewniał pana prezesa i cały zarząd.

— Ja zawsze z panami i dla panów! — a w piersiach jego dudniało, jakby bił o pusty garnek.

— Musimy powziąć w tej chwili rezolucję — zadecydował pan prezes, siadając za stołem.

— Ale która to godzina? — zerwał się nagle z zapytaniem.

— Już szósta — odpowiedział sekretarz.

— Mam być o szóstej w bardzo ważnych sprawach — trapił się, mlaskając raz po raz językiem.

— Co tu robić? — Wiecie panowie co?—orzekł wreszcie. — Przeniesiemy posiedzenie do naszej restauracji na rogu, bo tam się umówiłem, a sprawa ważna, właśnie tycząca się ostatnich redukcyj.

Na decyzję pana prezesa, by posiedzenie przenieść do restauracji, zerwali się czemprędzej wszyscy członkowie zarządu.

— Panie sekretarzu, proszę zabrać, co potrzeba — wydawał dalsze polecenia pan prezes — a pan, panie skarbniku, niech pan weźmie ze sobą trochę gotówki, bo może zapadną jakieś rezolucje, które będą wymagać natychmiastowych wydatków.

Wszystko stało się, jak zadecydował pan prezes, bo zarząd był solidarny i gotów był pójść w ogień za swoim prezesem, a cóż dopiero na róg do restauracji.

Robotnik tylko zgiął się niepewnie w kolanach, pochylił głowę i począł na nowo miąć czapkę. Pewność w pomoc zarządu podcięło uświadomienie, że są o wiele ważniejsze sprawy nad jego osobiste, dla których posiedzenie przenosi się aż do restauracji.

Ale pan prezes wkrótce rozproszył jego obawy, bo, stając przed zredukowanym, pocieszał go.

— Chodźcie, przyjacielu z nami, coś się uchwali.

I znów robotnik nabrał otuchy i tłukąc pięścią po piersiach swojego szkieletu, przysięgał:

— Ja zawsze z panami i dla panów.

W pochodzie zaś zarządu do restauracji szedł obok pana skarbnika, bo jakąś dziwną sympatję poczuł ku niemu od chwili, gdy pan prezes polecił skarbnikowi zabrać ze sobą pieniądze.

— Co to? — jeszcze nikogo niema? — dziwił się pan prezes, wchodząc do ostatniego pokoju, w którym często odbywały się nadzwyczajne posiedzenia zarządu. — W takim razie nie będziemy czekać, ale przystąpimy do naszych spraw — a do nadbiegającego kelnera odezwał się tym samym tonem, jakby i jego uważał za członka zarządu:

— Wódka — piwo.

— Dla wszystkich panów?

— Dla wszystkich!

Siadając zaś za stołem, dobył cygaro, zapalił, puścił kłęb dymu i kładac łokcie szeroko na stole, zaczął uroczystym głosem:

— Otwieram posiedzenie. Panie sekretarzu, proszę o dokładny protokół, bo sprawy są bardzo ważne. Zatem punkt pierwszy...

Pan sekretarz na arkuszu papieru postawił jedynkę, obok kropkę i z rozmachem oddzielił je nawiasem od samej treści, zaś w stronę prezesa powtórzył:

— Zatem punkt pierwszy...

— Właściwie — orzekł pan prezes — możemy punkt pierwszy załatwić na następnem posiedzeniu, jako mniej ważny, a przystąpimy do punktu drugiego. Zatem punkt drugi...

Pan sekretarz niczem najdoskonalszy automat postawił na papierze dwójkę, obok kropkę i z jeszcze większym rozmachem oddzielił je od samej treści.

— Co do punktu drugiego — objaśniał pan prezes wśród ogólnej ciszy — to ten punkt możemy przenieść na koniec jako mniej ważny, a ostatni punkt rozpatrzeć jako drugi — właśnie tyczący się obecnego tu zredukowanego członka naszej organizacji.

— Pozwolicie panowie — wygłaszał swoje przemówienie pan prezes — że nad tą sprawą dłużej nieco się zatrzymam.

Zatrzymanie się pana prezesa nad sprawą zredukowanego było i z tego względu uzasadniona, że kelner przyniósł wódki i piwa.

Gdy wypito wódki, ujął pan prezes za kufel i patrząc pod światło, prowadził dalej obrady.

— Tu jeszcze mają najmożliwsze piwo, bo tam, gdzieśmy się dawniej zbierali — to była lura. Zgadzacie się panowie?

— Wstrętna lura — potwierdził pan skarbnik...

— Ile tam zostaliśmy winni? — zapytał przelotnie pan prezes.

— Coś około 160 złotych — odpowiedział pogardliwie skarbnik.

— Trzeba to będzie w najkrótszym czasie uregulować, bo chociaż piwo było pod psem, ale honor honorem — a pociągnąwszy spory łyk, zwrócił się do sekretarza.

— Na czem my to stanęli?

— Sprawa zredukowanego obecnego tu członka naszej organizacji.

— A prawda! — Zatem proszę panów, ja sądzę, że zanim wyszlemy protest do dyrekcji fabryk, zanim nadejdzie odpowiedź, a oni z odpowiedzią nie będą się jak zwykle śpieszyć — należałoby w jakiś inny, realny sposób przyjść z pomocą naszemu członkowi, by podtrzymać jego egzystencję aż do ostatecznego załatwienia sprawy. Proponuję udzielenie mu zapomogi i to natychmiastowej i bezzwrotnej. Udzielam w tej sprawie głosu panu skarbnikowi, jako najbardziej kompetentnemu.

Pan skarbnik był człowiekiem czynu. Nie lubił długich, pustych słów, ale odrazu stawiał sprawę jasno, więc tylko z nad stołu podniósł bystre oczy, jakby się pragnął zorjentować, a chcąc nadać więcej wagi swoim słowom, rzekł:

— W tej chwili....

W myśli zaś szybko obliczył, że razem ze zredukowanym jest ich siedmiu i że po pięć złotych na głowę powinno wystarczyć, a także i zredukowany cośkolwiek do domu zanieść powinien, wreszcie oświadczył:

— Wychodzę z założenia, że pięćdziesiąt złotych, jak na początek, możemy udzielić.

— Panowie się zgadzacie? — powiódł wzrokiem pan prezes po zebranych.

— Zgadzamy — odrzekli chórem, jak przystało na solidarny zarząd.

Zredukowany aż się uniósł na krześle z wdzięczności i takiego zaufania nabrał do zarządu, że szybko dokończył piwa, co również uczynił solidarnie cały zarząd.

By zaś dać wyraz swej wdzięczności, zapewnił po raz trzeci.

— Panowie — ja zawsze z wami i dla was — a ponieważ żal mu było swoich nadwątlonych piersi, więc nie tłukł w nie pięścią, ale za to, uderzając kuflem w stół, wezwał kelnera i kazał podać nową kolejkę — oraz cygara i papierosy.

Przyzwyczajony do szybkiego załatwiania spraw, wypisał pan sekretarz kwit, a zanim go zredukowany członek zdążył podpisać, już pan skarbnik położył przed nim banknot pięćdziesięciozłotowy.

Robotnik tak się poczuł pewnym poparcia swojej sprawy przez zarząd, że chowając banknot do kieszeni, zamiast gołosłownego podziękowania, oświadczył:

— Ta pierwsza kolejka, to także moja — podpisał następnie kwit, a chwyciwszy za przyniesiony już kieliszek, zawołał:

— Zdrowie zarządu!

— Zdrowie członków naszej organizacji! — odpowiedział pan prezes.

— Szczególnie tych pokrzywdzonych — dorzucił sekretarz.

— I zredukowanych — zakończył skarbnik.

Ponieważ zaś reszta członków zarządu nie miała nic więcej do powiedzenia, więc tylko chórem zawołała:

— Na zdrowie!

Niestrudzony pan prezes prowadził dalej obrady.

Zkolei następuje punkt trzeci.

Sekretarz szybko przeniósł rękę od kufla na papier i machnąwszy trójkę, kropkę i nawias czekał z napiętą uwagą na uchwałę.

— Sądzę, że zgodzicie się panowie ze mną. Nie możemy zasypiać tak ważnej sprawy i należy w najbliższym czasiewysłać protest do dyrekcji, a gdyby ta go zlekceważyła, wtedy odnieść się do generalnej dyrekcji, która ma siedzibę w Berlinie. Wprawdzie panowie ci dotychchczas nie raczyli odpowiedzieć na żadne z naszych pism, zapewne i teraz sobie tem głowy nie zechcą zaprzątać, ale niech przynajmniej wiedzą, że czuwamy nad dolą robotnika i gdyby godzono w jego całość, to zawsze spotkają się z naszym silnym protestem. Zgadzacie się panowie?

— Zgadzamy!

Robotnika tak ujęła zapowiedź protestu aż do generalnej dyrekcji, że, pomagając słowom ruchem głowy, zapraszał.

— Panowie, proszę dokończyć, — zaś do kelnera, który w tej chwili nadbiegł na stukot kuflem, zwrócił się już niemal po bohatersku:

— Jeszcze jedna kolejka!

— Proponuję krótką przerwę w obradach — zawyrokował pan prezes i opuścił na chwilę pokój, a gdy wrócił, wódka i piwo czekały już na niego i na dalsze obrady, których ostatni punkt wypełniło zapłacenie rachunku.

Zredukowany robotnik wobec zarządu, który tak gorliwie nim się zajął, okazał się człowiekiem honorowym.

Zapłacił.

— — — — — — — — — — — — — —

Zostało mu niespełna pięć złotych.

— Narazie dla baby i dziecek wystarczy — mruczał sam do siebie, wracając do domu. — Ale mu dałem radę, temu — psiakrew! dyrektorowi. Jak dostanie protest, to zwinie się jak żmija na mrozie. Furda pieniądze — grunt protest!

Uczuł potrzebę opowiedzenia komuś, jak to on umiał pokierować sprawami. Wszyscy byli za nim, cały zarząd i zaraz mu uchwalili natychmiastową, bezzwrotną zapomogę, a co najważniejsza, że protest wyszlą do dyrekcji. Koniecznie musi to komuś opowiedzieć. — żonie nie ma o czem wspominać, bo i co ona się zna na sprawach organizacyjnych? Babie to ino pieniędzy naznosić kupę, ale skąd wziąść, ile to trzeba głową nakręcić, żeby cały zarząd poruszyć i zapomogę dostać, to zagłupia na to. A jego aż duma rozpierała na samo wspomnienie, jak mu wszystko gładko poszło.

Szedł pochylony, wymachując długiemi rękami, z głową w tył zadartą, z zagasłym cygarem w ustach.

— Skąd idziesz? — przerwał mu rozmyślania taki, jak on, zredukowany.

— He, he, skądby? — Dobrze, że cię spotkałem, bo ci chciałem opowiedzieć... Będą oni się mieli!...

— Kto? — padło bezbarwne pytanie z ust tamtego.

— Któżby? — I ten tu dyrektor i ci generalni w Berlinie.

— Niby jak?

— Chodź! Wszystko ci opowiem. Wstąpmy tu.

— To masz pieniądze?

— Pytasz się? — chodź!

— — — — — — — — — — — — — —

— Wszystko załatwiłem jak należy — oświadczył żonie, wchodząc do izby.

— Widać, jakeś załatwił — ledwie na nogach się trzymasz — odpowiedziała z pogardą, a nagle ze złością wściekła wykrzyknęła:

— Pieniądze przyniosłeś?!

— Tobie ino pieniądze...

— A zacóż kupię dzieckom żryć?!

— Zaraz, czekaj — przyniosłem im po cukierku — i począł grzebać po wszystkich kieszeniach.

— Po cukierku! — Sam się nachlał gorzały, a dzieciom po cukierku!

— A ty wiesz, co to jest protest?

— Głupiś! — Idź lepiej spać, stary ośle.

— He, he, stary ośle. żebyś ty wiedziała, jaką ja mam głowę, to...

— Ja też głupia, czekam i czekam, a już dawno mogłam sprzedać — podbiegła do łóżka, ściągnęła poduszkę, a wybiegając, uspakajała dzieci.

— Siedźcie cicho — zaraz mama wróci, przyniesie wam jeść.

— Stary ośle... — mamrotał jeszcze do siebie. A protest, to co? Ja im pokażę — psia krew! — zakrzyknął, wygrażając pięścią w powietrzu, aż stracił równowagę i runął na łóżko.

Wylęknione dzieci skupiły się w najciemniejszym kącie izby i czekały na powrót matki.

Wł. Bienin-Bielenin.

KĄCIK DLA DZIECI.

P I J A K.

Jakie straszne słowo: pijak!
Nie chcę być pijakiem nijak: —
Nijak, nijak, nijak, nijak!

Kiedy idzie — to się toczy,
Każdy się na niego boczy: —
Pijak, pijak, pijak, pijak!

Powiadają, że niekiedy
Pijak się upija z biedy —
Nijak, nijak, nijak, nijak!

Raczej ten do biedy wpadnie,
Kto upija się nieładnie: —
Pijak, pijak, pijak, pijak!

Józef Mondschein.

PAN KARÓL W ZALOTACH

(djalog andrusowski).

— Panno Franiu, jak boga-tego, napij sie panna ze mną kielonek!

— Dziękuję, panie Karól, ja nie piję, bo to zdrowiu szkodzi.

— Bujda na rysorach, jak pragne forsy! Kto pannie Frani takie coś powiedział?

— Kto? Byli takie, — co powiedziały.

— Śmij się panna z tego, bo, z przeproszyniem ślicznych uszków panny Frani, te, co tak powiedziały, som głupie!

— Ho, ho! Ale pan Karól rezon ma! Kiedy pan Karól taki mądry, to niech powi, na co wódka człowiekowi potrzebna?

— Panno Franiu, zostawmy człowieków na stronie! Ale panna Frania, jakby trochę wypiła, toby zaraz wyładniała!

— Ha, skoro ja przez wódki panu Karolowi się nie spodobam, w takiem razie...

— Panno Franiu, nic podobnego! Kto pannie Frani takie coś powiedział?

— Jakto kto? Dopiruj przed chwilą sam pan Karól we własny osobie.

— Ja? nieprawda, panno Franiu! — Ja ino tak w ogólności powiadałem, że, jak kobietka sobie trochę wypije, to zaraz wyładnieje, bo to ji oczka zabłysną, buzia pokraśnieje...

— A z buzi wstrętny odór leci. Dziękuję za taką urodę. Ja ji niepragnąca!

— A panna Frania zaraz na mnie, jak na łysego konia! Panna Frania mnie sie zawsze spodoba i wszędzie!

— No, no, niech pan Karól nie zagaduje, a lepi powiada, na co ludziom wódka potrzebna.

— Kiedy panna Frania tak kuniecznie, to już powiem. Po pirsze i przedewszystkiem wódka jest potrzebna do zabawy. Ja tam zabawy przez wódki nie uważam.

— Oj, panie Karól! A nie słyszał pan to, jak w Janiszewicach na zabawie strażaki Jonczyka na śmierć nożami zażgały?

— Co ni miałem słyszeć.

— A dwóch drugich strażaków nożami tak poharatały, że sie ledwie z ran wylizały.

— Słyszałem.

— No, widzi pan Karól. A bez co do tego doszło? Bez wódke. Ja tam według swoigo słabygo rozumu uważam, że na zabawie, gdzie nima wódki, żeby sie nie wim jakie nieprzyjacioły spotkały, żeby im nie wim o co poszło.

— Nawet o panne Franie?

— A choćby i o mnie..., to sie przecież jedyn z drugim nie pozabijały, bo rozum mają, rozumym się rządzą, a wódka człowiekowi rozum odbiera.

— Eee, to już musi być pijak na fest.

— A kogój pan Karól za pijaka uważa?

— Kogój? A jak miare przebierze, a potym sie awanturuje, to jest pijak.

— A jakaż to jest ta miara, co ji przebrać nie wolno?

— Oj, panna Frania to mie tak bada, jak sędzia na sprawie, albo ksiądz przy zapowiedziach.,

— Nie jezdem ja sędzią, ani prawo mam badać, ale chce pana Karóla przekonać, że ty miary nima i dlatego na zabawie wódki być nie powinno.

— Skoro panna Frania życzy, to ja na zabawie mogę nie pić. Ale cheba panna Frania nie żąda, aby ja wódki wyrzekł w zupełności?

— Nic tu ja do rządzenia nie mam. Ale niech mi tyż pan Karól powi tak po prawdzie, co mu ta wódka daje?

— Sie wi, że daje. Jakby nie dawała, to jaby głupi nie był, żeby na nią piniądze tracić. Przedewszystkiem i po pirsze wódka daje człowiekowi wesołość i zadowolninie. Jak sobie człowiek tak trochę podpije, to mu się całki świat ładniejszy wydaje, a ludzie dobre.

— Tak nie można, panie Karól! Ja tu panu Karólowi opowiem, co zrobił Galasiński, kiedy po paru kieliszkach świat mu się tyż taki piękny, a ludzie dobre wydawały. Zna go pan przecie?

— Co ni mam znać! Galasińskigoby kto nie znał!

— No, to un tyż tak kiedyś z kolegamy się zabawiał, uny mu fundowały, a kiedy już był zadowolniuny, a świat i ludzie dobre mu się zdały, to mu te dobre ludzie pióro w ręke wetkneły, weksle podsuneły i podpisał na 900 zł.! A co sie potem w domu działo, lepi nie wspominać.

— Eee, panna Frania to furt z zabójstwami, wekslami wyjeżdża...

— A bo tak jest, panie Karól, że gdzie się wódka w dom dostanie, tam zaraz za nią same nieszczęścia. To tyż ja Boga gorąco proszę i te Panienke Najświętszą, żeby ja za męża pijaka nie dostała.

— A kogo panna Frania za pijaka uważa?

— Każdego, kto we wódce smakuje i, wódki za zło nie uważa.

— Znakiem tego panna Frania za mnie tyżby nie wyszła?

— A nie, skoro panu Karólowi wódka milsza nady mnie...

— No, to skoro już panna Frania tak życzy, to ja pić przestane, zgoda?

— Na co mnie pan Karól takie rzeczy mówi? A bo to ja nie znałam takich, co przed ślubem pić przestały? Znałam i takich, co na własnem weselu wódki nie piły, a dopiruj po ślubie, kiej klamka zapadła, wtenczas pokazały, co potrafią. Nie daj mie, Panie Boże, losu podobnego.

— Ale panna Frania to sie teraz zmieniła. Dawniej sama się napiła i mnie nie broniła, a teraz...

— Bo głupia byłam, ciemno byłam, nic o wódce nie wiedziałam.

— A cóż o wódce wiedzieć można? Ile kosztuje, jak smakuje i gdzie ji dostanie? To każden wi!

— Nie o to chodzi. Ale co wódka w naszem ciele sprawuje, jak zmysła człowiekowi psuje, na jakie niebezpieczeństwa człowieka naraża, jakie nieszczęścia na ludzi sprowadza, to trzeba o wódce wiedzieć, to wtenczas nie będziemy ji za przyjaciela uważać.

— No, a gdybym ja tak od ty drugi strony z wódką się zapoznał, to panna Frania mnąby nie gardziła?

— A nie, panie Karól, bo jezdem pewna, że wtenczas pan Karól zostałby tym, jak to się nazywa, abst, abstynentą.

— No, to co mam robić, panno Franiu?

— Niech pan czeka, aż nadejdzie 20 dzień tego miesiąca, pójdziemy sobie wtedy oba na ul. Oboźną, tam się zabawiemy odpowiednio, a bez wódki.

— Idziemy, panno Franiu!

Zofja Olszewska.

Zduńska Wola.

PRZEMYT ŚRODKÓW ODURZAJĄCYCH DROGĄ POWIETRZNĄ.

W dniach 12, 13 i 14 grudnia 1935 r. odbyło się w Paryżu posiedzenie specjalnej podkomisji celnej Międzynarodowej Komisji Żeglugi Powietrznej (Commission Internationale de la Navigation Aérienne — CINA). Obrady dotyczyły 2-ch kwestji: organizacji zwalczania przemytu narkotyków, dokonywanego drogą lotniczą i stworzenia wolnych portów na lotniskach. Na podstawie materjału, otrzymanego z odpowiedzi na zapytania władz właściwych poszczególnych państw europejskich, Podkomisja stwierdziła, że przypadki przemytu środków odurzających drogą powietrzną nie były stwierdzone. Uznając jako najbardziej niebezpieczną formę ewentualnego przemytu rzucanie pakietów z pokładu statków powietrznych, Podkomisja proponuje zbadanie problematu kontrabandy lotniczej, jako całości z uwzględnieniem przemytu narkotyków tą drogą.

Podkomisja zajęła stanowisko negatywne co do stworzenia wolnych portów. Wszelkie trudności, którym wolne porty miały zapobiec, będą usunięte z chwilą wprowadzenia nowej procedury manipulowania dokumentami przewozowemi i celnemi przy tranzycie, zgodnie z nową redakcją załącznika H do konwencji lotniczej z r. 1919.

Ze sprawozdań Stanów Zjednoczonych i Kanady wynika, że między temi krajami odbywał się przemyt napojów alkoholowych i spirytusu, nie środków odurzających. Obecnie przemyt ten nie istnieje, ustał on całkowicie z chwilą zniesienia prohibicji w Stanach Zjednoczonych. Natomiast istnieją poważne poszlaki przemytu narkotyków ze Stanów Zjednoczonych do Kanady na samolotach prywatnych, lądujących w szczerem polu, lub zrzucających paczki w miejscach odludnych, po otrzymaniu odpowiednich sygnałów od oczekujących wspólników.

W związku z przemytem opowiadają następujący konkretny przypadek: przemytnikami narkotyków byli dwaj bracia. Jeden udał się samochodem na umówione miejsce w Kanadzie, drugi wyleciał ze Stanów Zjednoczonych samolotem. Na miejscu spotkania czekał samochód, samolot opuścił się, oddał pakunek i odleciał, kierując się na najbliższe lotnisko, gdzie poddano samolot i właściciela rewizji celnej, która dała oczywiście wynik negatywny. Jedyną poszlaką była pięciominutowa przerwa w locie, którą pilot usprawiedliwił małym defektem w motorze. Dopiero znacznie później zdołano stwierdzić, że przymusowe lądowanie było celowe i związane z uplanowanym przemytem narkotyków drogą powietrzną.

W obradach Podkomisji paryskiej brali udział delegaci państw następujących: Anglji, Belgji, Danji, Francji, Holandji, Japonji i Szwajcarji. Polskę reprezentował radca Ministerstwa Spraw Zagranicznych prof. Leon Babiński. Obradom przewodniczył francuski ekspert celny p. Devergne.

podała *Marja Sokalówna.*

Z POWODU ZMARTWIENIA.

W numerze 10 „Trzeźwości“ 1935, w artykule „Wesoły kącik“ martwił się *sceptyk,* że w pewnym dzienniku stołecznym jakiś spirytusowy dygnitarz powypisywał reklamiarskie bzdury o zaletach Monopolu Spirytusowego, nie wytrzymujące krytyki zdrowego rozumu, jako że podają do wierzenia obrachunki niezgodne z zasadami najprostszych czterech działań arytmetycznych.

W zmartwieniu tem pociecha, że bzdury były drukowane w dzienniku. Dziennik to rzecz na jeden dzień. Dzisiaj ludzie przeczytają, pokiwają głowami, zapomną, a jutro zadrukowany papier dziennika różne opłakane przeżywa losy.

Inna rzecz książka. Książkę niektórzy ludzie szanują. Pięknie oprawiona, z wytłoczonym numerem z paradą wędrują na półkę bibljoteki domowej, by służyła nauką rodzinie i sąsiadom dzisiejszych i przyszłych pokoleń.

Jest książka, w której opracowaniu bardzo głęboko maczała palce Dyrekcja Państwowego Monopolu Spirytusowego. Tytuł: „Spirytus w gospodarstwie domowem“. Stron 104. Wydawca: „Przegląd Kobiecy“. Autorki: p. Elżbieta Kiewnarska i Michalina Ulanicka.

W tekście książki, mówiącej o alkoholu i jego zastosowaniu, takie mamy naukowe informacje:

„Alkohol absolutnie pozbawiony wody jest trucizną. Rozcieńczony ma właściwości pobudzające“.

„Alkohol może grać rolę odżywki w pewnych dozach, w pewnych warunkach i dla pewnych kategoryj osobników“.

„Napoje alkoholowe w małej ilości nie są trucizną“.

„Nasz mroźny, chłodny i wilgotny klimat powoduje, że alkohol jest u nas konieczny, nietylko jako środek podniecający, lecz i rozgrzewający. Po dłuższej podróży w mroźny dzień zimowy, lub jesienną słotę, najlepszą rozgrzewką jest kieliszek starki, lub krupniku“.

„Dobry aromatyczny likier — to przysmak, naprawdę godny podniebienia“. (Nie wstydziła się napisać kobieta, p. Kiewnarska).

„Specjalną uwagę czytelniczek chcę skierować na dwa podane przezemnie specjalne napoje: na krupnik i na napój żółtkowy. Pierwszy ma własności wysoce rozgrzewające i jest naprawdę nieoceniony po dłuższych wycieczkach i podróżach. Napój żółtkowy jest środkiem wybitnie odżywczym i wzmacniającym; używać go powinni ludzie osłabieni, lub ciężko pracujący“.

„Wódka miętowa — bardzo skuteczna na dolegliwości żołądkowe“.

„Rosyjska wódka żołądkowa — właściwości wzmacniające żołądek“.

„Pieprzówka — kordjał, niczem nie zastąpiony przy zaburzeniach żołądkowych i przeziębieniach“.

Takie informacje ukoronowano dosłownem zawołaniem: „Więc pijmy!“

To dopiero są rekordowe bzdury! A to wszystko także nie anons. Taką książkę wydała przecież redakcja „Przeglądu Kobiecego“, jako bezpłatną premję dla swych prenumeratorek.

Wszystkie powyżej wypisane „prawdy naukowe“ przypieczętowała Dyrekcja Państwowego Monopolu Spirytusowego, kładąc temsamem na książkę swoje autorytatywne „imprimatur“.

Mam właśnie egzemplarz tej książki, opatrzony czerwono odbitą pieczęcią: „*Stoisko Państwowego Monopolu Spirytusowego*“. Dostałem ją zadarmo, bo zadarmo otrzymywał tę książkę każdy jako bezpłatną premję za zwiedzanie stoiska P. M. S. na targach Wschodnich.

Sceptyk pisze, że „nie można zrozumieć, jakim sposobem artykuły, uwłaczające logice i powadze wiedzy XX wieku na serjo traktuje się w prasie“, — a temsamem w książce.

A właśnie, że można!

Tylko, żeby to zrozumieć, trzeba się przedtem przejść do rzeźni. Tam, aby zarzynany wół nie bódł rogami, ogłusza się go przedtem silnem uderzeniem młota w głowę. Potem już bez protestu z zadowoleniem i przyjemnością pozwala jeździć sobie nożem po gardle.

Bezrozumne artykuły i książki można pisać, umieszczać w dziale redakcyjnym i podawać czytelnikom w środowisku ludzkiem, jeszcze mocniej niż wół młotem, bitem po głowie alkoholem.

Książkę pełną fałszów, w obrzydliwy sposób propagującą picie wódki może napisać autorka, która otwarcie wyznaje: „Wszelkie nalewki owocowe mają we mnie gorącą zwolenniczkę“. Taka zawodowa amatorka wódki, chronicznie cierpiąca na zamęt w głowie, systematycznie ogłuszanej uderzającym do niej alkoholem, nawet nie zdaje sobie sprawy, że się ze swoją wiedzą spóźniła o kilka wieków.

Autor mętnych artykułów może je napisać, bo samo przebywanie w zakładach monopolowych, w atmosferze przepełnionej parami alkoholu, równie skutecznie poraża aparat myślowy, jak picie wódki.

Redakcje i wydawcy nie wahają się podawać swym czytelnikom bezsensownych artykułów, bo liczą na to, że czytelnicy nie poznają się na drwinach. Gdy się pisze dla społeczeństwa od prapokoleń otumanianego wódką, można sobie z własnych czytelników robić bezkarnie wesołe drwiny, jak ulicznicy drwią w żywe oczy z przechodzącego drogą pijaka.

Byłoby to wesołe, gdyby nie fakt, że takie kłamliwe artykuły czynią spustoszenie wśród ludzi bezbronnych, bo chorych na uderzenie alkoholem i nieuświadomienie.

Lwów.

Mikołaj Skiba.

Z ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW.

Z DZIAŁALNOŚCI KOŁA ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW W ŁAPACH. Staraniem Zarządu Koła A. L. K. w Łapach, była urządzona w sali Ogniska K. P. W. w dniu 16.II. r. b. zabawa dla dzieci — członków szkolnego Koła A. L. K., na którą przybyło 100 członków szkolnego Koła A. L. K., oraz do 200 dzieci, uczęszczających do szkół powszechnych w Łapach, wraz z rodzicami. Wszyscy młodzi abstynenci otrzymali słodycze i wylosowali 14 książeczek z cyklu „Zajmujące czytanki“.

Na zabawie ofiarnie przygrywał na radjofonie p. Jan Roszkowski. Czas na za-

bawie spędzono przy korowodzie, tańcach narodowych i piosenkach. Było rojno, gwarno i wesoło.

Na scenie odegrali szereg utworów muzycznych członkowie zespołu mandolinistów K. P. W. pd kierown. p. J. Rogowskiego, a dwie młode adeptki abstynencji zadeklamowały utwory propagandowe. Na zakończenie sekretarz Koła p. Z. Wiśniewski zwrócił się z apelem do młodych abstynentów w sprawie wytrwania na posterunku, prosząc innych o zapisanie się w poczet członków Koła, wreszcie wniósł okrzyk na cześć A. L. K., gorąco przyjęty oklaskami przez ogół. Akcją kierowali pp. Z. Tymczyjowa, S. Wasilewski i Z. Wiśniewski przy wydatnej pomocy nowopowstałego Koła Kobiecego A. L. K.

Zarząd Koła A. L. K. w Łapach składa prezesowi Ogniska K. P. W. Łapy p. inż. W. Szniolisowi serdeczne podziękowanie za bezpłatne udzielenie sali Ogniska na zabawę dla dzieci A. L. K., a także radjofonu.

ZORGANIZOWANIE KOŁA KOBIECEGO A. L. K. W ŁAPACH. Członek Zarządu tut. Koła A. L. K. p. Zofja Tymczyjowa zorganizowała w Łapach Koło Kobiece A. L. K., mające za zadanie użycie swego wpływu na mężczyzn w sprawie zaprzestania nadużywania, ewentualnie używania wogóle alkoholu, oraz zwalczania alkoholizmu w środowisku kobiet i dzieci. Powyższe Koło godnie zaprezentowało swą aktywność, ofiarnie współpracując z Zarządem tut. Koła A. L. K. przy urządzeniu zabawy dla dzieci-abstynentów.

AKADEMJA PROPAGANDOWA A. L. K. W ŁAPACH. Niedawno odbyła się w Łapach akademja propagandowa, urządzona staraniem Zarządu tut. Koła A. L. K., zagajenie której dokonał prezes Koła p. Stanisław Wasilewski, oraz odczytał pisma nadesłane przez władze zwierzchnie A. L. K. z Warszawy i Wilna, wyłuszczając przyczyny, uniemożliwiające przybycie na akademję. Odczyt n. t. „Alkohol szkodnik ludzkości“ pięknie i z uczuciem wygłosił burmistrz m. Łap p. Henryk Ciborowski, wzywając obecnych na sali do zapisania się w poczet członków A. L. K., następnie dobrze odśpiewał „Serenadę“ i „Barkarolę“ p. Paweł Gopaniuk przy akompanjamencie na fortepianie p. Sabiny Romanowskiej. Zespół mandolinistów Ogniska K. P. W. pod batutą p. Józefa Rogowskiego wykonał szereg utworów muzycznych, a młode abstynentki-członkinie szkolnego Koła A. L. Bańkowska i Jurkowska zadeklamowały dwa utwory propagandowe. Na zakończenie sekretarz Koła Zygmunt Wiśniewski rozdał ulotki propagandowe A. L. K.

Na akademji było przeszło 200 osób.

DWUKROTNE WYŚWIETLENIE PRZEZROCZY PROPAGANDOWYCH A. L. K. W ŁAPACH. W dniach 5 i 8.III r. b. w sali Ogniska K. P. W. Łapy były wyświetlone przezrocza propagandowe A. L. K., ilustrujące przejmujące grozą następstwa używania alkoholu, do których bardzo obszerne i ciekawe wyjaśnienia dał prezes Koła A. L. K. p. Stanisław Wasilewski.

WSPÓŁPRACA SZKOŁY Nr. 2 Z KOŁEM A. L. K. W ŁAPACH. Stosownie do poczynionych przez Koło A. L. K. w Łapach zabiegów, kierownictwo szkoły Nr. 2, rozumiejąc doniosłość akcji propagowania trzeźwości w środowisku najmłodszej generacji, nawiązało kontakt z rodzicami dzieci, uczęszczających do szkoły, celem przekonania ich o konieczności zaprzestania zmuszania dzieci do używania alkoholu, jako szkodliwego czynnika, siejącego największe spustoszenie fizyczne i moralne w środowisku podrastającej młodzieży.

WYŚWIETLENIE PRZEŹROCZY PROPAGAND. A. L. K. W ŁAPACH. W szkole powszechnej Nr. 2 w Łapach były wyświetlone dla przeszło 150 dzieci przeźrocza propagandowe A. L. K., bardzo szczegółowe wyjaśnienie treści których dał nauczyciel p. Stefan Tkaczuk. Powyższa akcja wywołała bardzo duże zainteresowanie w środowisku dziatwy szkolnej, powodując w następstwie żywo prowadzoną dyskusję przez młodocianych abstynentów uczących się w 7 klasie.

Sekretarz: Z. Wiśniewski. *Prezes: Stanisław Wasilewski.*

Z ŻYCIA KOŁA ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW W KOWLU.

Początek istnienia Koła A. L. K. w Kowlu datuje się od dnia 6 lipca 1929 r., zapoczątkowane przez wytrawnego działacza na niwie trzeźwości, prezesa Okręgu Radomskiego A. L. K., p. Konstantego Kryśko, a zorganizowane i z wielką energją i z całem poświęceniem się dla sprawy, prowadzone przez szereg pierwszych lat przez inżyniera Juljana Gedeona Kossowskiego, jako pierwszego prezesa Zarządu wspomnianego Koła. Na zaszczytnem stanowisku prezesa Koła p. inż. Kossowski przebywał do dnia 18 maja 1934 r., kiedy to z powodu wyjazdu z Kowla, zmuszony był opuścić Koło, przekazując kierownictwo nowemu Zarządowi. 5-cioletnia owocna praca społeczno-abstynencka p. inż. Kossowskiego w Kowlu przysporzyła mu mir, uznanie i popularność nie tylko wśród miejscowych kolejarzy, ale też w całej Abstynenckiej Lidze Kolejowców w Polsce, to też w dowód tego uznania na walnem zebraniu członków Koła Kowelskiego, w dniu 18 maja 1934, został jednogłośnie okrzyknięty członkiem honorowym tegoż Koła.

Obecnie Koło liczy 78 członków czynnych i 46 współdziałających. Razem 124. Działalność jego toczy się po linji, wytkniętej przez p. inż. Kossowskiego, kładąc szczególny nacisk na propagandę idei trzeźwości. Z pośród publicznych wystąpień Koła cieszą się największą popularnością abstynenckie obchody gwiazdkowe, urządzane rok rocznie w okresie Świąt Bożego Narodzenia, a zapoczątkowane przez p. inż. Kossowskiego. Choinka A. L. K. w Kowlu dla dzieci abstynentów i sympatyków stała się dziś uroczystością tradycyjną, która ściąga całe gromady dziatwy kolejarskiej i ich rodziców. Podczas tych uroczystości gwiazdkowych równolegle z zabawami, śpiewami, muzyką i innemi atrakcjami choinkowemi wydatnie krzewi się i utrwala w serduszkach młodocianych obywateli Rzeczypospolitej, jako też i wśród starszych, idea abstynencka i miłość ku Ojczyźnie przez okolicznościowe przemówienia, deklamacje i ogólny nastrój. Załączona fotografja przedstawia ostatnią, urządzoną staraniem Zarządu Koła taką abstynencką choinkę w dniu 28 stycznia 1936 r. w teatrze kolejowym „Świt“ na Kowlu II-gim z udziałem delegata Zarządu Głównego A. L. K. p. Chwalbińskiego (oznaczony krzyżykiem +).

Następnie, do większych wystąpień Koła Kowelskiego należy zaliczyć zorganizowane z racji obchodu „Tygodnia trzeźwości“ w dn. 22 lutego 1936 r. przedstawienie amatorskie i odegranie na scenie tegoż teatru kolejowego „Świt“ propagandowej sztuki Eli Oleskiej p. t. „Dawaj wódki“, oraz komedji Fredry „Kalosze“. Po przedstawieniu odbyła się abstynencka zabawa taneczna „z pączkiem“, która przekonała, jak dobrze można się bawić bez alkoholu. Bawiono się bowiem wesoło, ochoczo i przyzwoicie, bez żadnych zajść, do rana, a goście rozeszli się po zabawie z miłem wrażeniem. Impreza poprzedzoną była okolicznościowem przemówieniem propagandowem.

W końcu podkreślić należy, jako poważny czynnik propagandowy, walne doroczne zebranie członków Koła A. L. K. w Kowlu, które odbyło się w dniu 19-go



Choinka A. L. K. w Kowlu dn. 28.I. 1936. W środku: Delegat Zarz. Gł. A. L. K., p. Chwalbiński, (×) obok na lewo p. Dr. Bolesław Turowski, prezes Koła A. L. K. w Kowlu.



Roczne Walne Zgromadzenie Członków Koła A. L. K. w Kowlu dn. 19.IV.1936.

kwietnia 1936 r. w obszernej sali K. P. W., upiększonej błękitnemi flagami i chorągiewkami z inicjałami A. L. K., przy licznem udziale członków i sympatyków abstynenckiej idei. Zebranie to zaszczycili swoją obecnością: delegat Zarządu Głównego A. L. K. p. Ziemlański, prezes Okręgu Radomskiego A. L. K. p. Konstanty Kryśko, wybrany na przewodniczącego tegoż zebrania, prezes Koła Radomskiego Tow. „Trzeźwość" prof. dr. Juljusz Vorbradt, oraz naczelnik 3-go Oddziału Ruchu, p. inż. Dorant. Po zakończeniu części oficjalnej zebrania, podczas której dokonano uroczystego udekorowania odznakami A. L. K. kilku nowych czynnych członków, przeprowadzono wybory nowych Władz Koła, oraz przedyskutowano ważniejsze zagadnienia z dziedziny walki z alkoholizmem. P. prof. dr. J. Vorbrodt, specjalnie zaproszony przez Zarząd, wygłosił cenny okolicznościowy odczyt na temat „Wartość odżywcza składników pożywienia codziennego z uwzględnieniem szkodliwości alkoholu". Odczyt, na który przybyło wielu nowych słuchaczy, był wysłuchany przez obecnych z wielkiem zainteresowaniem.

Załączona fotografja przedstawia salę podczas walnego dorocznego zebrania członków Koła A. L. K. w Kowlu i odczyt d-ra Vorbrodta w dniu 19 kwietnia 1936 r. Siedzą w pierwszym rzędzie od lewej ręki do prawej, poczynając od linji środkowej: 1) delekat Zarządu Gł. A. L. K. p. Ziemlański, 2) naczelnik 3-go Oddz. Ruchu, inż. Dorant, 3) prof. dr. Juljusz Vorbrodt i 4) prezes Radomskiego Okręgu A. L. K., p. Konstanty Kryśko.

Kowel, 2.VI.1936 r. *Dr. B. Turowski*
(Prezes Koła A. L. K. w Kowlu).

PRZEMÓWIENIE NA OTWARCIU KURSU ALKOHOLOGJI W RADOMIU.

„Słońce wolności świeci nad Odrodzoną Polską już lat 17, a Polska musi być zdrowa: Polska musi być zdrowa duchem, zdrowa ciałem, silna duchem, silna ciałem, by słońce wolności coraz silniej promieniowało. Zdrowie zaś i siła narodu — to największe gwarancje żywotności i dobrobytu Polski; to skarb nad skarby, nad złoto, nad srebro; niemasz bogactwa nad bogactwo zdrowia. I książę poetów Jan Kochanowski z Czarnolasu pisze, że nic nad zdrowie ani lepszego, ani droższego.

I dlatego staraliśmy się w miarę naszych skromnych sił — powołać do życia niniejszy kurs alkohologji, by przez uświadomienie klęski alkoholizmu z punktu widzenia społecznego, gospodarczego i lekarskiego — sprzyjać rozwojowi tężyzny ducha i ciała poszczególnych jednostek i grup naszego miasta i okolicy.

Otwierając Kurs — mam zaszczyt powitać przybyłych łaskawie przedstawicieli Kolejnictwa, Duchowieństwa, Instytucyj państwowych i społecznych, oraz szkolnictwa. Wszystkich zebranych witam najserdeczniej. Miło mi niezwykle — przywitać Dostojnych Prelegentów z Warszawy, Krakowa i Lwowa, którzy, nie szczędząc czasu i sił, przyjechali do nas z żywem słowem. Witam również wszystkich Słuchaczy Kursu. Zebraliśmy się tutaj, by w szeregu żywych prelekcyj, plastycznych obrazów projekcyjnych i pokazów-doświadczeń chemicznych ujrzeć grozę alkoholizmu dla duszy i ciała człowieka, poznanie bowiem zła alkoholu jest już ważnym krokiem w zwalczaniu alkoholizmu.

Niech Kurs alkohologji w Radomiu będzie mocnym czynnikiem, pobudzającym miejscowe społeczeństwo i władze do skutecznego zapobiegania klęsce alkoholizmu w imię dobra Narodu i wzmożenia sił rozwojowych naszego wskrzeszonego Państwa.

Dr. Juljusz Vorbrodt.

KURS ALKOHOLOGJI W RADOMIU

15 — 17.III.1936.

Z inicjatywy i staraniem dwu niestrudzonych działaczy przeciwalkoholowych w Radomiu p. dr. Juljusza Vorbrodta prezesa Koła Tow. „Trzeźwość" w Radomiu i p. Konstantego Kryśki, prezesa okręgu radomskiego Abstynenckiej Ligi Kolejowców został zorganizowany specjalny kurs alkohologji w Radomiu — był to już faktycznie w mieście tem podobny Kurs II, gdyż pierwszy zorganizowany przez p. Vorbrodta odbył się w r. 19.

Urządzenie obecnego Kursu poprzedził szereg popularnych odczytów dla szerokich mas ludności. Odczyty te (z przeźroczami i pokazami) odbyły się w lutym i marcu w Radomiu, Kielcach i Dęblinie, wygłaszał je p. prof. dr. J. Vorbrodt.

Otwarcie Kursu w Radomiu poprzedziła Akademja dn. 15.III. o godz. 13-ej w wielkiej sali gmachu Sejmiku Radomskiego, która była całkowicie wypełniona. Przemawiali: p. Kazimierz Kalinowski, prezes Zarządu Gł. Tow. „Trzeźwość" i p. dr. Juljusz Vorbrodt. Następnie o godz. 15.30 tegoż dnia rozpoczął się w tejże sali Kurs Alkohologji. Zagaił Kurs krótkiem przemówieniem p. Vorbrodt (podajemy je osobno wyżej), następnie w im. Naczelnych Władz Sanitarnych Min. O. S. przemawiał p. red. Jan Szymański. W imieniu duchowieństwa przemawiał ks. dr. Bolesław Strzelecki. Słuchacze zebrali się bardzo licznie, wypełniając szczelnie największą w Radomiu salę. W uroczystości otwarcia wzięli m. in. udział: Prezes Okr. Dyrekcji Kol. w Radomiu p. inż. Rogiński, Wiceprezesi tejże Dyrekcji, p. inż. Piotrowski, Prezes Abstynenckiej Ligi Kolejowców, p. dr. Juljusz Notz ze Lwowa, Prezes Zarz. Gł. Tow. „Trzeźwość', p. Kazimierz Kalinowski, ks. dr. Jan Ciemniewski ze Lwowa, oraz liczna publiczność. Na kurs regularnie uczęszczało 122 osoby, dużo osób przychodziło na poszczególne wykłady. Wszyscy stali słuchacze otrzymali zaświadczenie o wysłuchaniu Kursu.

Kurs objął następujące wykłady:

1) Prez. Kazimierz Kalinowski — wykład wstępny: „Świat chorych dusz — a radość życia".

2) Red. Jan Szymański — „Alkoholizm a dziecko i szkoła".

3) Prez. K. Kalinowski — „Alkohol, a moralność"

4) Prof. dr. J. Vorbrodt — „Alkohol jako szkodliwa używka".

5) Ks. dr. Jan Ciemniewski — „Wpływ alkoholu na dziedzinę psychiczną człowieka".

6) R. J. Szymański — „Alkohol, a przestępczość i nieszczęśliwe wypadki" i „Zadania Polski wobec Międzynarod. Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie w r. 1937".

7) Dr. Jan Jaworski — „Wpływ alkoholu na organizm człowieka, na jego system nerwowy i na potomstwo", oraz „Alkohol jako najważniejszy czynnik zwyradniający człowieka, rodzinę i społeczeństwo".

8) P. Marja Karczewska — „Przygotowanie i własności napojów bezalkoholowych — odżywczych, t. zw. płynnych owoców".

9) Dr. J. Vorbrodt — „Alkohol, jako szkodliwy składnik napojów, a pożyteczny surowiec w przemyśle fabrycznym".

10) Wyświetlenie przeźroczy przeciwalkoholowych.

Na wykład p. M. Karczewskiej z Warszawy, który odbył się w sali wykładowej Domu Katolickiego, przybyły m. in. liczne przedstawicielki Związku Pań Domu.



Kurs alkohologji w Radomiu,

Przy zakończeniu Kursu wygłosił krótkie przemówienie p. K. K r y ś k o, następnie jeden ze słuchaczy dziękował w imieniu wszystkich słuchaczy organizatorom Kursu p.p. Vorbrodtowi i Kryśce i prelegentom. Samorzutnie zaimprowizowana uroczystość zakończenia Kursu odbyła się w bardzo miłym i serdecznym nastroju. Kurs był bezpłatny. Środki na urządzenie jego dało Ministerjum Opieki Społecznej.

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY.

Kwartalnik paryski „le Travail Humain" zamieścił niedawno pracę psychotechnika niemieckiego Jerzego Mayerhofera pod tytułem „Poszukiwania psychotechniczne nad działaniem alkoholu na zachowanie się szoferów". Autor zagadnienie to studjował od dawna, mając na celu ustalenie metodami psychotechnicznemi, wpływu alkoholu na wydajność pracy ludzkiej wogóle, a zwłaszcza pracy zawodowej szoferów. Doświadczenia tego uczonego potwierdzające dotychczasowe wyniki badań nad czasem reakcji, podzielnością uwagi, precyzją ruchów, są cenne i należy je przypominać i naszemu społeczeństwu, które tak mało uwagi poświęca sprawie trzeźwości pracowników ruchu motorowego. Mayerhofer, podkreślając fakt przedłużenia reakcji rozproszonej uwagi u pijących nawet małe dawki alkoholu, stwierdza zachodzące jednocześnie zjawisko nietylko pewnego podniecenia, ale i równoczesnego wahania, któremu towarzyszy stan jakgdyby zahamowania ruchowego. Autor stwierdza, że osobnik pod wpływem alkoholu ma poczucie, iż szybkość motoru jest zbyt powolna, a natomiast jego własne ruchy zapośpieszne i tu leży przyczyna wielu wypadków. Dalej Mayerhofer dowiódł, że alkoholik chroniczny nawet nie używając alkoholu przed doświadczeniem wykazuje tylko taki stopień sprawności jak człowiek normalny po użyciu alkoholu — jest to więc jednoczesne stwierdzenie, że nie może być szoferem, ani wogóle motorniczym, człowiek używający alkoholu, gdyż staje się on całkowicie niezdolnym do swego zawodu.

Wywody Mayerhofera w zupełności pokrywają się badaniami młodego doktora O. Franz'a na uniwersytecie w Berlinie, który podkreśla, że niestałość napięcia emocyjnego, tudzież zmienność natężenia myślowego, czyni alkoholików kompletnie nieudolnymi w zawodzie motorniczym. Dodać jeszcze należy, że alkoholicy ulegają szybko znużeniu. Każdy wysiłek uwagi nuży ich nadmiernie.

Należy pamiętać, że Szwajcarja ma od 1932 r. prawo, zabraniające powierzania zwodu motorniczego ludziom, którzy piją.

(*l'Abstinence*)

W „Les Annales antialcooliques" znajdujemy ciekawy artykuł prof. Gachot ze Strasburga, pod tyt: „Abstynencja, czy umiarkowanie w walce z alkoholizmem". Jest to temat aktualny wszędzie, skoro z wielką siłą przekonania, narzuca prof. Gachot czytelnikwi mniemanie, że jedynie całkowite wyrzeczenie się napojów alkoholowych, czy to dystylowanych, czy też fermentowanych jest racjonalnym sposobem zwalczania alkoholizmu. Działacz abstynencki o którym ktoś jeden bodaj wie, że od czasu do czasu nie odmówi sobie wypicia lampki piwa, jest zgubiony na zawsze — nigdy już nikogo nie nauczy i nikogo nie przekona, że picie jest rzeczą złą i zgubną. Społeczeństwo, które pragniemy uczynić trzeźwem nie pyta ile działacz przeciwalkoholowy pije, ale czy pije wogóle. Ten jeden kieliszek, bodaj rzadko wysączany, uniemożliwia danej jednostce wszelką robotę propagandową, która wówczas staje się raczej akcją szkodliwą. Pytanie, dlaczego ty pijesz, a my mamy nie pić, zadawane przez tych, których się pragnie pouczyć o szkodliwości alkoholu, przekreśla wymowę naj-

bardziej przekonywujących argumentów, któremi zamierzała reformować obyczaj picia. Abstynencją własną, którą narzucamy sugestywną mocą leczącemu się alkoholikowi uzdrawiamy go, a przykładem własnej abstynencji dzieciom i młodzieży zaszczepiamy nowy trzeźwy obyczaj. Oto zasadnicze hasło prof. Gachot'a.

Dr. Legrain w artykule „Prawdziwe wychowanie" podkreśla smutny i zastraszający objaw bezwzględnego egoizmu, obserwowany przez niego u młodzieży powojennej. Ujawnia się on nietylko w kompletnem nieliczeniu się z bliźnim, lecz również w zaniku wyczucia moralności. Młodzież zatraca „sumienie", które każe jednak kwalifikować pewne czyny jako moralne, inne jako amoralne, a rola alkoholizmu w danem zjawisku jest niewątpliwie wielka i fatalna. Miłość bliźniego zatraciła sens swój w światopoglądzie młodzieży — należałoby ją jednak odrodzić i przepoić nią serca — takim apelem kończy swój artykuł Dr. Legrain.

Dr. Legrain zamieszcza w „Les Annales Antialcooliques" z marca — kwietnia b. r., krótką wzmiankę o jednym z największych uczonych, lekarzu i filozofie Ramon y Cajal i cytuje urywek z jego pracy, w którym maluje się niesłychany pesymizm uczonego. Twierdzi on, że gdy słyszy obecne przekonanie, iż homo sapiens będzie na drodze pokojowej i prawnej regulować swe sprawy to doznaje takiego osłupienia, jakgdyby usłyszał, że tygrys ma się stać nieszkodliwym roślinożernym zwierzęciem. A Dr. Legrain dodaje od siebie, że blednie okrucieństwo spełnionej rzezi w Etjopji, wobec zniszczenia i masakry dokonanej przez alkohol i opjum w koloniach w imię cywilizacji.

H. N.-O. S.

PRZEGLĄD PRASY.

„HIGJENA PSYCHICZNA ZWALCZANIA ALKOHOLIZMU" pod tym tytułem ukazała się cenna praca p. płk. dr. Jana Nelkena w czasopiśmie „Zagadnienie Rasy", wydanie Pol. Tow. Eugenicznego. Jest to odczyt, wygłoszony dn. 14.X.1935 w Państw. Szkole Higjeny na kursie dla lekarzy z zakresu eugeniki.

Brak miejsca nie pozwala nam obecnie omówić ją obszernie, uczynimy to później — obecnie zwracamy na nią uwagę wszystkich interesujących się głębiej zagadnieniem alkoholizmu.

TRZEBA ZACZĄĆ „SUROWE ŻYCIE".

„Z wygłoszonej onegdaj mowy p. premjera gen. dyw. dra Składkowskiego, zarówno posłowie, jak i opinja społeczna najgłośniej oklaskiwała słowa, w których zapowiedział: że trzeba zacząć surowe życie. Ponieważ zaś p. premjer stanął bez zastrzeżeń po stronie świata pracy, przeto wolno domyślać się, że do tego surowego życia wezwał nie chłopów i robotników, rzuconych od lat na pastwę bezgranicznej nędzy, ale tych kilka tysięcy, a może nawet kilkuset wybranych, którzy stanowią stałą klientelę warszawskiej „Adrji" i innych lokali rozrywkowych.

Tak, tym sferom przydałaby się jakaś dłuższa djeta i bardziej spartański tryb życia. Niema co obwijać w bawełnę, w Warszawie pokazuje się palcami różnych osobników, którym powodzenie przewróciło w głowie i każe im szaleć... na kredyt. Opowiada się o niezapłaconych rachunkach, o wystawnych kolacjach, o rozwodach co kwartał, o pijatykach, domach schadzek itd.

Nie ulega wątpliwości, że w tych plotkach jest dużo przesady, dużo blagi i złej woli. ale gdyby nawet ich setna część była prawdziwa, to już należałoby do tej rany

zbliżyć się z r o z p a l o n e m ż e l a z e m, aby ją dobrze wypalić i zdezynfekować.

Prawda to bowiem stara jak świat, że kto chce rządzić i zdobywać ludzi, ten musi chodzić w pewnym nimbie moralnym, jaki daje surowość życia i skrupulatne przestrzeganie tych zasad, które się głosi. Rozumieją to doskonale zarówno Hitler, jak Mussolini, a nawet Stalin, odmawiając sobie aż do przesady wszystkiego, coby trąciło zbytkiem, luksusem i popuszczeniem pasa.

Społeczeństwo, choćby najbardziej zahukane i rozagitowane, ma oczy i uszy, i umie odróżnić ziarno od plewy, wyczuwa świetnie, kto „r o b i c n o t ę", a kto sam jest cnotą — i nieomylnym instynktem odgaduje ludzi, kwalifikując ich tak, jak na to zasługują.

Polska jest krajem smutnym i zbiedzonym. — Na twarzach Polaków rzadko pokazuje się uśmiech. Stwierdzają to zgodnie korespondenci zagraniczni, dziwiąc się, d l a c z e g o n i k t t u s i ę n i e ś m i e j e?

Nie śmieją się ludzie, bo jest im źle, bo bezrobocie niszczy społeczeństwo, jak rak, niskie zarobki skazują inteligencję na bytowanie wśród ciągłych braków, bo młodzież widzi, że jest zupełnie niepotrzebna i ma przyszłość przed sobą zamkniętą.

Mimo to jednak byłoby szaleństwem nawoływać, aby za przykładem tej masy głodnych i niezadowolonych poszli wszyscy, abyśmy rozpoczęli nowe równanie w dół i za sztandar polski przyjęli dziurawe buty i pusty żołądek, bo na tym koniku nie zajechalibyśmy daleko.

Polska, jeżeli ma istnieć jako mocarstwo, musi być społeczeństwem ludzi sytych i zadowolonych, patrzących z radością w przyszłość, śmiejących się, a nie ascetów, Diogenesów i trapistów.

Róbmy więc tak, aby tym masom śmiały się oczy do dobrych zarobków, do posad, do własnych domków, do schludnie ubranych dzieci, do nowych armat, samolotów i czołgów, do zrównoważonych budżetów i dobrze skrojonych sukienek.

A p a n ó w z „A d r j i" w y ś l i j m y n a k u r a c j ę o d t ł u s z c z a j ą c ą. Im zalećmy surowy tryb życia, niech dłużej nie kompromitują siebie i tych, co ich... posłali".

(I. K. C. Nr. 157). Osęka.

WŁOŻYŁ NOGĘ POD KOŁA, BY WYLECZYĆ SIĘ Z PIJAŃSTWA.

Wczoraj na rogu ulicy Grochowskiej i Chłopickiego (w Warszawie) pod przyczepkę tramwaju linji „24" wpadł Wiktor Ulich, lat 29, fryzjer, zamieszkały przy ul. Zagranicznej 18. Koła zmiażdżyły mu nogę. Pogotowie przewiozło go w stanie ciężkim do szpitala Przemienienia Pańskiego, gdzie nieszczęśliwemu nogę amputowano.

Po przyjściu do przytomności Ulich, badany w szpitalu przez policję, złożył rewelacyjne zeznanie. Powiedział on, że sam z własnej woli włożył nogę pod tramwaj, pragnąc w ten okropny sposób ukarać siebie za nałóg pijaństwa.

„Przed kilku miesiącami wpadłem w nałóg — mówił Ulich — przepijałem wszystkie zarobione pieniądze. Wkońcu poszedł na wódkę mój zakład fryzjerski. Żona mnie opuściła. Nie mogłem w żaden sposób uwolnić się od zgubnego nałogu. Wreszcie postanowiłem okaleczyć się, aby w ten sposób przyjść do opamiętania. Popełniać samobójstwa nie miałem zamiaru. Wiedząc, że przyczepka „24" nie posiada deski ochronnej, w chwili, gdy tramwaj ruszał z przystanku na rogu Grochowskiej i Chłopickiego, włożyłem nogę pod koła..."

Ulich walczy ze śmiercią. (Mały Dziennik 27.V.1936 r.)

PRECZ Z ALKOHOLEM!

Tego jeszcze nie było.

Nie mogąc zwalczyć straszliwego nałogu, który doprowadził go do ruiny moralnej i materjalnej, młody jeszcze człowiek podłożył nogę pod koła tramwaju, w nadziei, że męka i kalectwo sprowadzą nań opamiętanie.

Narazie walczy ze śmiercią w szpitalu, gdzie amputowano mu zmiażdżoną nogę.

Rozpaczliwy czyn alkoholika budzi smutne refleksje.

Kroniki sądowe mogą dostarczyć obfitych materjałów, charakteryzujących dosadnie tło większości zbrodni i przestępstw.

Nałóg pijaństwa szerzy się w przerażający sposób w całym kraju, wciągając w zgubną otchłań nawet nieletnich.

Nędza i degeneracja fizyczna i umysłowa, oto skutki działania narkotyku, tem niebezpieczniejszego, że dostępnego tak łatwo dla wszystkich, dzięki sprawnej organizacji monopolu spirytusowego.

Gdyby obliczyć szkody i spustoszenia moralne spowodowane przez alkohol, korzyści płynące dla Skarbu Państwa z jego sprzedaży stałyby do nich w takim stosunku, jak sumy przeznaczone przez monopol na walkę z alkoholizmem.

Chyba ważniejsze są zdrowie i tężyzna narodu, niż choćby znaczne dochody skarbu, zdobywane ich kosztem.

Pijacy powinni być traktowani, jak ludzie chorzy, morfiniści i kokainiści, a sprzedaż alkoholu winna być wzbroniona, jak sprzedaż wszelkich trucizn i szkodliwych narkotyków.

Natura ludzka jest ułomną. Dobrowolnie nikt się nie wyrzeknie swych słabości. Hamulce na złe skłonności powinno nałożyć państwo.

Potrzebna jest radykalna reforma. Chodzi o tężyznę i siły moralne przyszłych pokoleń. Wódka nie jest nikomu potrzebna. Młodzież pije przez głupotę, naśladując starszych, a później przez przyzwyczajenie i nałóg.

Świadomość klęski i upadku przychodzi zwykle zapóźno.

Wtedy jeden kładzie nogę pod tramwaj, inny strzela sobie w łeb, a jeszcze inny gnije w kryminale za popełnioną po pijanemu zbrodnię.

Precz z alkoholem!

(„Wieczór War.“)

BIALI I KOLOROWI.

M a r j a B o c h d a n N i e d e n t h a l. „Ucayali. Raj czy piekło nad Amazonką“. Z 38 ilustracjami. Warszawa, 1935; str. 165 i tabl. 1.

Autorka tej książki należała do pierwszej partji osadników, skierowanych przez spółdzielnię p. n. „Kolonja Polska“ na dziewicze tereny Montanji peruwiańskiej.. Dzieląc z osadnikami w ciągu dwóch lat wszystkie — niewesołe naogół — przeżycia, p. Niedenthal miała okazję dokładnego poznania warunków osadnictwa nad Ucayalą. Dzięki temu właśnie książka jej nie jest podróżniczym filmem, ale raczej monografją polskich prób osadniczych w górnem dorzeczu Amazonki, opracowaną w sposób wszechstronny.

Nadzwyczajności zalet literackich we wspomnieniach p. Niedenthal nie znajdziemy. Zyskamy natomiast mnóstwo ciekawych wiadomości o wszystkiem, co dotyczy dalekich południowo-amerykańskich obszarów. Godne szczególnej uwagi — w dobie reklamowanych głośno „misyj cywilizacyjnych“ — jest to, co pisze p. Nie-

denthal na temat życia miejscowych plemion indjańskich i stosunku peruwjańskich „białych braci“ do autochtonów. Misjonarze, którzy prowadzą wśród indjan pracę religijno-kulturalną, skarżą się głośno, że hacienderzy rozpajają ludność indjańską alkoholem, aby w ten sposób poddać ją sobie w zależność prawie niewolniczą i uzyskać... tanią robociznę. Władze patrzą na to przez palce.

Pani Niedenthal w bardzo ujemnem świetle przedstawia działalność zarówno urzędowych czynników emigracyjnych w Polsce, jak i władz spółdzielni osadniczej, które — bez uprzedniego zbadania warunków kolonizacyjnych — pozostawiły osadników własnemu losowi, doprowadzając do zupełnego załamania się kolonizacji polskiej nad Ucayalą.

„Wiadomości Literackie“ Nr. 25 z dnia 7 czerwca 1936 r.

ALKOHOLIZM INTELIGENCJI.

W ostatnim N-rze „Trzeźwości“ (1—4) „przegląd prasy“ poświęciliśmy sprawie stosunku inteligencji naszej do zagadnienia alkoholizmu. Do owego bukieciku — dołączamy jeszcze jeden skromny, ale wonny kwiatek. P. Tadeusz Lewicki w „Gońcu Warszawskim“ (Nr. 94) w art. p. t. „Jak przedłużyć życie drogą racjonalnego żywienia“ pisze:

„Dzięki przeciwgnilnym właściwościom pieprzu — wódka z pieprzem wywiera nieraz nadzwyczajny, raptowny wpływ w pewnych cierpieniach, pochodzących z niestrawności. To jednak nie wyklucza, że przy nadużywaniu pieprzu, stosowanego choćby w wyciągach, wątrobie zagraża stwardnienie (skleroza)“.

Niestety, w Polsce zadużo ludzi uważa wódkę z pieprzem, lub bez pieprzu za lekarstwo na niestrawność — aby ich jeszcze trzeba było do tego zachęcać!

HAZARD.

W „Warszawskim Dzienniku Narodowym“ zjawił się w ostatnim czasie szereg artykułów w sprawie powszechnie znanej i wielokrotnie w prasie omawianej — społecznej szkodliwości totalizatora na wyścigach. Ile egzystencyj ludzkich zostało zmarnowanych przez hazard na wyścigach, ilu nadużyć i defraudacyj jest on przyczyną! Czytamy tam m. in.:

„Ubiegły sezon wyścigowy... w kraju szalał kryzys w najlepsze, setki tysięcy bezrobotnych nie mogły dostać pracy, a kasy totalizatora zawalone były pieniędzmi. Totalizator obrócił w roku ubiegłym w okresie najcięższym, sumą około 38 miljonów zł.; suma ta coprawda jest mniejszą od lat ubiegłych, ale jeszcze, jak na ciężkie czasy, olbrzymia...“. „Totalizator... umożliwia najbiedniejszym sferom publiczności branie udziału w grze hazardowej... totalizator rujnuje materjalnie i moralnie liczne rzesze biorących udział w grze... Totalizator nasz nie spełnia zupełnie przypisywanej mu roli (podnoszenia hodowli koni), a raczej spełnia rolę zupełnie odmienną — paczenia słabych charakterów“.

A tych jest u nas tak dużo, tak dużo! Nad destrukcją ich ostateczną pracują: alkohol, rozpusta, hazard... opiekuje się nimi lekkomyślność... i w taki to właśnie sposób wytwarzają się zastępy ludzi moralnie chwiejnych i słabych, niezdolnych do znoszenia „twardego życia“.

MARZENIA O „ANKOCHOLU“.

Hurtownia naszego Związku otrzymała ostatnio taki list od pewnej spółdzielni w okręgu warszawskim:

„Prosimy panów o wyrobienie nam koncesje na wynos sprzedaży ankocholu i prosił bym o zawiadomienie poprzednio wiele kosztować

będzie taka koncesja i jakie będo dochodziły podatki w stosonku jednego roku jeżeli nie było by możliwe wyrobienie sprzedaży detalicznej to prosimy w ostatnim razie dla członków.

Z poważaniem Spół. Spoż. . . . . . . w . . . . . ."

A więc jeszcze nie wiedzą w . . . . ., że spółdzielnie „ankocholu" nie sprzedają, ani „na wynos", ani „w ostatnim razie dla członków". Jest to jedna z zasad spółdzielczych.

Mamy nadzieję, że marzenia o „ankocholu" wywietrzeją władzom spółdzielni w . . . . . z głowy, w przeciwnym bowiem razie na wieczną rzeczy pamiątkę ogłosimy, kto to chce w spółdzielni „ankocholu na wynos".

(Spólnota 1.IX.35 Nr.17.1935 r.)

PRZEMÓWIENIE

(na Kursie Alkohologji w Kowlu).

KOCHANA MŁODZIEŻY! W dwudziestu popularno-naukowych wykładach zaznajomiliście się z jedną z najstraszniejszych klęsk społecznych, która trapi ludzkość od niepamiętnych czasów i którą nauka określa mianem „Alkoholizmu". I słusznie nieśmiertelny Szekspir nazwał alkohol „truciciela ludzkości" szatanem. Bo napoje alkoholowe nie tylko zatruwają ciało, ale i duszę człowieka, powodują degenerację intelektu, etyki, moralności społeczeństw i narodów. — A teraz, po wysłuchaniu kursu, jakie stanowisko powinniście zająć wobec plagi alkoholowej? Przecież musicie wziąć czynny udział w budowie Nowej Niepodległej Polski. — Nad tem pytaniem należy często rozmyślać. I niema innej odpowiedzi jak tylko walka o wychowanie „nowego człowieka, pozbawionego naszych wad narodowych: pijaństwa i ciemnoty. — Nie będzie wolnej, odrodzonej Polski i nowego człowieka zdrowego dopóki nie zwalczymy naszych starych nałogów. Kochana młodzieży! Wy stanowicie o przyszłości Narodu, jego zdrowiu, sile i wartości moralnej. W walce z alkoholizmem Państwo samo nic nie zrobi bez pomocy obywateli. Walka z alkoholizmem jest bardzo trudna, lecz jest ona konieczna. Wytwórzcie na obszarach Rzeczypospolitej bojowników o trzeźwość narodu, o jego zdrowie duchowe i fizyczne, o jego dobrobyt, o kulturę chrześcijańską. Starajcie się rozwinąć w sobie uczucie godności ludzkiej, uczucie solidarności rodzinnej, społecznej i narodowej. Niech ideały dobra, piękna i prawdy będą waszem gorącem pragnieniem. Zróbcie przedewszystkiem nad sobą wysiłek moralny w celu wyzwolenia się z niewoli alkoholizmu, wzmagajcie w sobie obrzydzenie i wstręt do alkoholu, szerzcie zdobytą wiedzę o szkodliwościach i niebezpiecznych skutkach alkoholizmu. Wzniecajcie w sobie ogień świętej miłości Boga i bliźnego, a wtedy zapalicie do życia nowego całą Polskę i stanie się Ona godną nazwy narodu cywilizowanego, chrześcijańskiego.

Kowel, 5.IV. 1936 r. Kierow. kursu *Dr. St. Leszkiewicz.*

KRONIKA.

KONFERENCJA W SPRAWIE ETEROMANJI, zwołana z inicjatywy Polskiego Komitetu do spraw narkotyków i zapobiegania narkomanij odbyła się dn. 4 maja b. r. w Katowicach pod przewodnictwem p. Doc. Dr. Gustawa Szulca, Dyrektora P. Zakł. Higjeny w Warszawie. Szczegółowe sprawozdanie z tej doniosłej Konferencji podamy w następnym numerze.



Z uroczystości poświęcenia nowego lokalu Tow. „Trzeźwość" na ul. Obożnej 4 dn. 10.III.1936 w pierwsz. rzędzie p. Sen. A. Iżycki, Dr. Rozen, ks. prałat W. Balul, prof. M. Orzęcki,



Wycieczka A. L. K. w Tow. „Trzeźwość" w Warszawie 27.V. Siedzą w I rzędzie od lewej 2-ga p. p. Gusłowska, Bystrzejewska, Gusłowski, inż. Szadziewicz, Szymańska, red. Biernaeki, Chwalbiński, red. Szymański, Dr. Rozen.

SEKCJA NAUKOWA Pol. Komitetu Org. XXI-go Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie (12 — 16.IX. 1937), odbyła posiedzenie dn. 29.V. w P. Szkole Higjeny pod przewodnictwem p. Doc. Dr. Władysława Sterlinga. Dotychczas zgłoszono na Kongres 21 polskich referatów naukowych.

JUBILEUSZOWY ZJAZD ABST. LIGI KOLEJOWCÓW odbył się we Lwowie w dn. 21 i 22 maja i miał przebieg bardzo uroczysty, udział delegatów liczny. Obszerne sprawozdanie — w nast. numerze.

WYCIECZKA CZŁONKÓW A. L. K. odwiedziła Warszawę 27 maja. Tow. „Trzeźwość" podejmowało drogich gości podwieczorkiem, urozmaiconym produkcjami artystycznemi członków Świetlicy Tow. „Trzeźwość".

PREZYDJUM ZARZĄDU TOMASZOWSKIEJ FABRYKI SZTUCZNEGO JEDWABIU przekazało na rzecz Świetlicy Tow. „Trzeźwość" 300 zł., a następnie przesłało dla Koła dramatycznego tejże Świetlicy kilkadziesiąt m. materjałów na kostjumy. Zarząd Gł. przesłał Prezydjum Zarządu T. F. Szt. J. pismo z wyrazami serdecznej podzięki za Jego obywatelski czyn.

PRZECIW ZAKAZOWI. Pisma doniosły, że Związki restauratorów wystąpiły do władz z prośbą o zniesienie zakazu wyszynku alkoholu podczas jarmarków. Zakaz ten został wprowadzony przez władze administracyjne ze względu na zajścia w czasie odbywających się jarmarków, wywołane przez spożycie alkoholu.

ZAKAZ. Na podstawie przepisów Ustawy Przeciwalkoholowej władze administracyjne zakazały sprzedaży i podawania dnia pierwszego maja w miejscach publicznych napojów alkoholowych.

LWÓW. Bojkot alkoholu. Zarząd Główny Ridnej Szkoły wydał ozdobne karty, których nabywcy zwolnieni są w czasie świąt od podawania gościom napojów alkoholowych (Kurjer Warszawski z dn. 31 grudnia 1935).

WYKŁADY O ALKOHOLIZMIE I WYROBIE MOSZCZÓW BEZALKOHOLOWYCH. Rada Naczelna Gospodarczego Wykształcenia Kobiet i Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemianek urządziły w Chyliczkach, koło Warszawy w szkole gospodarczej dla kobiet im. hr. Platerówny 4-dniowy Kurs dla Instruktorek z zakresu gospodarstwa. Na kursie tym pani Marja Karczewska mówiła o społecznem i ekonomicznem znaczeniu wyrobu moszczu (bezalkoholowego z owoców) i o organizacji jego wyrobu w Kołach Gospodyń Wiejskich, a o podstawowych zasadach wyrobu moszczu p. M. Błociszewska. Ćwiczenia praktyczne wyrobu moszczu prowadziły pp. Januszewska i Błociszewska—2 wykłady p. t. „Alkoholizm i jego zwalczanie" wygłosił Redaktor Jan Szymański.

KOBIETY I WALKA Z ALKOHOLIZMEM. Z powodu organizowanego przez Centralny Komitet Wykonawczy P. P. S. i Centralny Wydział Kobiecy P. P. S. „Tygodnia Kobiet" (13—21.VI b. r.) wydana została Odezwa, w której m. in. czytamy: „Rząd robotniczo-chłopski niech żyje!, bo rząd taki, to gwarancja pokoju, to walka z faszyzmem..., to spełnienie wszystkich postulatów kobiecych, jak ochrona macierzyństwa, opieka nad dzieckiem, prawo kobiet do pracy, walka z alkoholizmem".

WIEŚ CHCE WALKI Z ALKOHOLIZMEM. Otrzymaliśmy następujące pismo: „Słuchacze Kursu Ogrodniczego w Leduchowie po wysłuchaniu referatu „O alkoholiźmie" jednego z kolegów na zebraniu własnego samorządu, solidaryzując się całkowicie z akcją Towarzystwa „Trzeźwość" — walki z alkoholizmem, którego zły wpływ na wsi tak bardzo jest widoczny, zobowiązują się przystąpić do pracy nad podniesieniem trzeźwości wsi. Będziemy pracować dobrym przykładem

i wiadomościami zdobytemi na terenie trzech powiatów, względnie dziesięciu gmin, z których pochodzimy".

Następuje 24 podpisy, t. j. wszystkich uczestników Kursu.

GŁOS WOŁAJĄCYCH NA PUSZCZY...

Do

Urzędu Skarb. Akcyz i Monopoli Państwowych w Radomiu.
Ogółu gospodarzy wsi Borek, gm. Sarnów, pow. Kozienicki.

Memorjał.

W spokojnej wsi naszej, pielęgnującej dobre obyczaje, moralność, uczciwość i pracowitość powstała w czerwcu 1935, dzięki nadaniu przez Władze Akcyzowe, niejakiemu Marcinowi Kamionce, koncesji wódczanej, placówka nieograniczonej sprzedaży napojów alkoholowych. Od tej pory zmienił się nastrój wsi, jej mieszkańców, a niepokój i troska o duszę i ciało dorastającej młodzieży ogarnęły podpisany odłam poważnie myślącego społeczeństwa.

W ciągu niewielu miesięcy wymieniona placówka zdołała poczynić ogromne spustoszenie w umysłach ludności, szczególnie wśród młodzieży, która popita napada na domy spokojnych mieszkańców, wybija okna, rzuca kamienie na dachy domów i bije jeszcze gospodarzy, broniących całości swych domów. Wódka, sprzedawana przez Kamionkę o każdej porze dnia i nocy w ilościach nieograniczonych, w dodatku chłopcom nieletnim, a nawet dzieciom, zatruwa ciała i dusze naszych synów, doprowadzając ich samych do demoralizacji i przestępczości. Ścisłe doniedawna węzły rodzinne, pracowitość i uczciwość oraz inne cnoty ludzkie i obywatelskie, jakie przez długie lata wpajaliśmy w nasze dzieci, stają się pod oparami alkoholu przedmiotem kpin i drwin.

Biedna wieś nasza nie posiada organizacji, ani instytucji oświatowej, któraby zawrócić mogła młodzież naszą z drogi zepsucia i występku, na którą spycha ją skład wódek, będący istnem nieszczęściem i plagą naszą.

W poszukiwaniu drogi ratunku, nie mamy innego wyjścia, jak starać się o zlikwidowanie tej placówk, o którą chyba oprócz Kamionki, nikt z mieszkańców naszej wsi nie prosił, a która jest zgubą dla całej naszej wsi.

Z myślą o ratowaniu dusz naszych dzieci i dobrych ideałów cnót i zasad, jakieśmy jej powierzyli, zwracamy się niniejszem do Urzędu Akcyzowego z gorącą prośbą o zniesienie we wsi naszej składu wódek, który napewno nie przysporzy Monopolowi Spirytusowemu i Skarbowi Państwa takiej korzyści, którąby pod względem rozmiaru dorównywała ogromowi nieszczęść i szkód moralnych, jakie poniesie ogół społeczeństwa wsi naszej i całego kraju.

(48 podpisów gospodarzy).

BŁONIE. Zrzeszenie Starszoharcerskie w Błoniu z inicjatywy p. Edwarda Przybysza urządziło dn. 14 marca b. r. w sali gimnastycznej szkoły Nr. 2 wieczór poświęcony akcji przeciwalkoholowej. W I-ej części wieczoru p. red. J. Szymański wygłosił dla dzieci szkół powszechnych kl. V, VI i VII pogadankę o szkodliwości alkoholu — sala była wypełniona przez dziatwę — następnie odbył się właściwy „wieczór" dla dorosłych, który zagaił p. Przybysz, witając tłumnie przybyłą publiczność. Na program złożyły się: referat: „Harcerstwo i abstynencja", który wygłosiła harcerka, chór odśpiewał dwie pieśni harcerskie, p. red. J. Szymański wygłosił referat o alkoholiźmie, jako klęsce społecznej, poczem nastąpiły recytacje utworów poetyckich przez harcerzy i harcerki (m. in. p. Herwichowej i p. Krzepkowskiej). Całość wieczoru robiła bardzo sym-

patyczne wrażenie, zwłaszcza, że inicjatywa wyszła zupełnie samorzutnie z łona młodzieży.

ŁÓDŹ. Uczenice kl. VII szkoły powszechnej Nr. 159 zwróciły się do Tow. „Trzeźwość" z prośbą o nadesłanie literatury przeciwalkoholowej. „Wiemy dobrze, co za szkody przynosi pijaństwo... pragniemy w przyszłości stać w szeregu uświadomionych obywateli, którzy walczą z pijaństwem". Literatura została wysłana. Nadeszła odpowiedź: Łódź, 24.II. „Serdecznie dziękujemy za uprzejmą odpowiedź, jak również za książki. Z książek nadesłanych i tych, które nasza szkoła posiadała z tego działu, założymy bibljotekę dla rodziców. Postanowiłyśmy najłatwiejszą z tych książek opracować i referat ten wygłosić dla dzieci naszej szkoły. Również dla rodziców wygłosimy referat, ilustrowany przezroczami, które nam przyrzekła lekarka szkolna. Spodziewamy się skutecznie w ten sposób wpłynąć na młodzież, która nabierze wstrętu do alkoholu, a dorośli może zastanowią się nad szkodliwością trunków i dla dobra ogólnego i własnego wyzbędą się tego szkodliwego nałogu. Jeszcze raz dziękujemy za książki, które tyle dobrych pomysłów nam nasunęły".

ZMARLI. Ruch nasz poniósł nowe dotkliwe straty. Odeszli na zawsze: ś. p. *Doktorowa Aniela Chmielińska*, ś. p. *Dr. Justyna Budzińska-Tylicka*, ś. p. *Prof. Dr.* Panek, ś. p. Inż. Władysław Rogiński i ś. p. *Jan Reytan-Tchorzewski.*—Obszerniejsze wspomnienia zamieścimy w następnym numerze. Cześć Ich pamięci!

PORADNIA PRZECIWALKOHOLOWA W KRAKOWIE.

Jako jedna z placówek higjeny psychicznej została uruchomiona przed rokiem przez Klinikę Neurologiczno-Psychjatryczną U. J. Poradnia przeciwalkoholowa. Poradnia mieści się w gmachu Kliniki (Kopernika 48) i korzysta z wszystkich urządzeń klinicznych zarówno badawczych jak i leczniczych. Poradnia jest czynna trzy razy w tygodniu: w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17—19-ej.

Należy zaznaczyć, że już przed szeregiem lat istniała Poradnia przeciwalkoholowa w Krakowie, później jednak z powodu trudności finansowych została zwinięta.

GRODZISK MAZOWIECKI. W Grodzisku odbywał się w początkach lutego Kurs dla młodzieży wiejskiej. Pierwsze trzy dni przeznaczono na sprawy rolne, drugie trzy dni na sprawy społeczne. W tym drugim dziale przeznaczono dwie godziny na alkohologję. Po wysłuchaniu na ten temat 2 referatów p. sen. *Aleksandra Iżyckiego*, wywiązała się ożywiona dyskusja. Zastanawiano się nad tem, w jaki sposób na wsi wyplenić zwyczaje alkoholowe, zabezpieczyć zebrania i zabawy od przynoszenia wódki i od ekscesów, których pod wpływem wódki młodzież męska niejednokrotnie się dopuszcza. Znamienny był głos jednej z uczestniczek, która zaproponowała, aby panienki nie zgadzały się tańczyć z tymi chłopcami, którzy na zabawie piją wódkę. Na tę propozycję wszystkie obecne na kursie panienki chętnie się zgodziły.

Z WOLNEJ WSZECHNICY W WARSZAWIE. Słuchacze Seminarjum Dyskusyjnego p. Prof. Michała Omęckiego z inicjatywy profesora poświęcili jedno ze swych zebrań omówieniu zagadnienia alkoholizmu; w zebraniu tem odbytem dn. 9.III. 36 r. na zaproszenie p. Profesora Omęckiego wzięli udział pp. red. Szymańscy. Bardzo ożywioną dyskusję zagaił prof. Omęcki. Wszyscy bez wyjątku dyskutanci zajmowali stanowisko bezwzględnie potępiające alkoholizm — różnice i to poważne ujawniły się co do metod walki z tą klęską. W dyskusji kilkakrotnie przemawiali pp. prof. Omęcki i red. J. Szymański.

DRUK UKOŃCZONO DN. 13.VI. 1936 R.

POLSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA, Sp. z o. o., Senatorska 17. Tel. 251.58